PAWEŁ ŚWIETLIKOWSKI

WOŁAŁO NAS W I L N O

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

WOŁAŁO NAS WILNO

Drogiej Danusie Szyksznian,
ps. „Sarenka" Towarzyszce Kolegium
Łącz. Okr. AK, dzielnemu żoł-
nierzowi walki o Polskę
i Wilno
w dowód uznania i sza-
cunku

Autor

3.10.92.

PAWEŁ ŚWIETLIKOWSKI

WOŁAŁO NAS WILNO

Z DZIEJÓW GARNIZONU MIEJSKIEGO ARMII KRAJOWEJ OKRĘGU WILEŃSKIEGO

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCECHA — POZNAŃ 1991

Projekt okładki
MAREK HAŁADUDA

PRZEDMOWA

Następstwem paktu Ribbentrop — Mołotow z sierpnia 1939 roku była umowa ministra spraw zagranicznych Litwy smetonowskiej, J. Urbšisa z tymże Mołotowem (z 10 października 1939 r.) o oddaniu Wilna oraz części Ziemi Wileńskiej Litwie. Litwinów zachwyciło urzeczywistnienie popularnego hasła „Vilnius musų" — „Wilno nasze", ale w umiarkowanych ich kręgach, głównie wileńskich autochtonów narodowości litewskiej, powstała w czerwcu 1940 roku parafraza: „Vilnius musų, a Lietuva Rusų" — „Wilno nasze, a Litwa rosyjska". 10 października 1939 roku poseł Rzeczypospolitej, p. Charwat, opuścił Kowno na znak protestu przeciwko bezprawnemu dysponowaniu terytorium Polski przez okupanta. Do Wilna zaś ruszyła z Kowna fala aktywistów litewskich w mundurach wojskowych, policyjnych i po cywilnemu. Rychło u wspomnianych wyżej umiarkowanych autochtonów narodowości litewskiej zyskali sobie miano „galileuszy", które w Polsce międzywojennej miało wydźwięk pejoratywny. Objęli oni administrację, handel, porządek i bezpieczeństwo. Z chwilą włączenia Litwy do Związku Sowieckiego utrzymali się w administracji i obficie zasilili milicję. W czerwcu 1941 roku znów objęli administrację, policję, oddali wojsko pod niemieckie rozkazy, utworzyli Saugumę (bezpiekę) i podjęli służbę w gestapo.

Przed najazdem „galileuszy" w Wilnie było 2 procent Litwinów i około 54 proc. Polaków, w województwie spisy wykazały 3,3 procent Litwinów („Wilno i Ziemia Wileńska", praca zbiorowa pod red. prof. Ferdynanda Ruszczyca).

Taka proporcja i szereg innych czynników sprawiły, że społeczeństwo polskie od samego początku, tzn. od 1939 roku organizowało się i szykowało do kolejnej rozgrywki zbrojnej — o wolność. Przygotowania, opłacone licznymi ofiarami, zmierzały do tego, by, gdy okoliczności dojrzeją, wzniecić powstanie. Dojrzały w lipcu 1944 roku, kiedy front doszedł do polsko-sowieckiej granicy, oczywiście tej wynikającej z traktatu ryskiego. Ale wydarzenia przyjęły bieg inny, niż to sobie wyobrażało dowództwo i żołnierze Armii Krajowej. Niemcy zamienili Wilno w twierdzę (Fester Platz Wilna). Dotyczyło to zwłaszcza śródmieścia i południowych oraz wschodnich przedmieść, tj. obszaru otoczonego zakolem rzeki Wilii. Fakt ten uniemożliwił

oddziałom Wileńskiego Garnizonu AK koncentrację i wydobycie ukrytej broni, a więc i wzniecenie powstania od wewnątrz. W pewnym stopniu udało się to oddziałom Dzielnicy A, leżącej poza Wilią, to znaczy — na północ od niej. Natomiast autor i narrator niniejszej książki miał przydział do Dzielnicy B, leżącej w śródmieściu, wewnątrz właściwego umocnionego obszaru, a przypadek sprawił, że znalazł się również na północ od Wilii, w terenie przypisanym Dzielnicy A, rzadziej nasyconym punktami oporu niemieckiego, mógł więc wziąć udział w walkach.

Historia „Powstania Wileńskiego" była z wiadomych powodów przemilczana lub zniekształcana. Znaczna jej część czeka w maszynopisach lub zawodnej ludzkiej pamięci na opublikowanie. Archiwa przepadły w ogniu wojny albo zostały zniszczone czy też zawłaszczone przez wroga, czasem zniszczone przez akowskich uczestników wydarzeń jako materiał obciążający w oczach NKWD.

W tych warunkach wspomnienia uczestników wydarzeń stają się cenne. Są bowiem zeznaniami świadków, a więc dokumentami. Zwłaszcza jeśli spełniają warunek wiarygodności. Relacje Świetlikowskiego są wiarygodne. Jako dowódca pododdziału miał lepsze niż podkomendni rozeznanie w celu i sensie podejmowanych działań, z drugiej zaś strony — przytacza nazwiska lub pseudonimy dodatkowych świadków — licznych żołnierzy swojego oddziału. Zanotował też spostrzeżenia o oddziałach z nim współdziałających. Historia „Powstania Wileńskiego" pełnieje.

Jerzy Urbankiewicz

WSTĘP

Wrzesień 1939 roku pozostanie dla nas dramatem psychologicznie i historycznie nie do zatarcia w pamięci. Chociaż przez większość narodu spodziewany, atak Niemiec hitlerowskich na Polskę równocześnie od zachodu, północy i południa wywołał zrozumiały w społeczeństwie szok a zarazem wolę zdecydowanej walki o wolność kraju. Jednak bierna postawa naszych sojuszników: Anglii i Francji oraz zadany przez Armię Czerwoną 17 września najmniej oczekiwany cios w plecy od wschodu sprawiły, że bohaterska walka polskiej armii równocześnie na dwa fronty skazana była na przegraną.

Wiarołomna agresja Związku Sowieckiego była aktem haniebnym i zbrodniczym. Rozbrojenie i deportacja 250 tysięcznej polskiej armii w głąb Rosji był akcji tej tragicznym w skutkach epilogiem. W ten sposób, zgodnie z tajnym protokołem z 23 sierpnia 1939 roku, Stalin i Hitler dokonali czwartego rozbioru Polski.

Autor niniejszej relacji był jednym z uczestników tych zdarzeń. Przeszedł szlak bojowy z 29 Dywizją Piechoty: Grodno—Skierniewice—Tomaszów Mazowiecki—Piotrków Trybunalski—Sulejów — 20 września przeprawa na wschodni brzeg Wisły w odległości 12 kilometrów na południe od wsi Dąbrówka w Puszczy Kozienickiej. W dalszym marszu defensywnym 25 września stoczyliśmy zwycięską bitwę z niemiecką załogą w Janowie Lubelskim, ale wkrótce zostaliśmy zaskoczeni spotkaniem z Armią Czerwoną, która zamykając południową granicę z Rumunią przystąpiła do rozbrajania cofających się pod naciskiem Niemców jednostek armii polskiej.

Rozbrojenie mojego oddziału nastąpiło 3 października koło Zamościa. Udaremniona została próba osiągnięcia i przekroczenia granicy południowej w celu dalszego prowadzenia walki na Zachodzie.

Wyprowadzony szczęśliwie przez nieznaną dziewczynę z pociągu w Kowlu, uniknąłem z łaski Bożej losu ofiar Katynia i 10 października dobrnąłem w końcu do rodzinnego Wilna. Niech mi wolno będzie przy tej okazji podziękować wspaniałej Polce, córce majora, która wyprowadziła mnie ze zgubnego pociągu, oraz polskim kolejarzom, którzy narażając się dowieźli mnie do mego miasta.

Wilno zastałem już pod okupacją sowiecką. Niby czarna chmura

gnębiła myśl: utraciliśmy niepodległość. Ponad 200 tysięcy mieszkańców Wilna przeżywało stan ciężkiego przygnębienia. Stało się to wszystko tak nagle, że przyprawiło moich rodaków o długotrwały szok. Dla wszystkich Polaków nastał czas ogólnonarodowej żałoby.

Władzę w mieście sprawowała Komendantura Wojskowa, a sine czapki z czerwonymi otokami pracowników aparatu NKWD dały znać o sobie serią pierwszych aresztowań obywateli polskich. Wracający z frontu Polacy, zgodnie z wydanym już przez sowieckie władze wojskowe zarządzeniem, zobowiązani byli do niezwłocznego meldowania się w miejscowej Komendanturze.

Zgłaszających się zatrzymywano i wywożono w nieznanym kierunku. Poczułem się w sytuacji tropionego przestępcy, a przestępstwem moim okazał się udział w walkach frontowych, co było jedynie spełnieniem szczytnego względem Ojczyzny obowiązku.

Do Komendantury nie zgłosiłem się. Ułatwił mi to mój ówczesny pracodawca, zawiadowca stacji kolejowej w Landwarowie (20 km od Wilna), przezacny pan Bronisław Głowacki, który przewidująco nie wykazał w ewidencji służbowej mego pobytu na froncie, choć był do tego zobowiązany odpowiednim zarządzeniem. Bronisław Głowacki miał dwóch synów, podchorążych rezerwy, którzy również byli zmobilizowani. Niestety, jeden z nich poległ na froncie. Te fakty składają się na ogólną sylwetkę pana Głowackiego, a takich jak on była większość wśród społeczeństwa polskiego.

Uniwersytet Stefana Batorego, którego byłem studentem na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych, jeszcze pełnił swoją kulturotwórczą rolę. Wykłady prowadzono po dawnemu, jak gdyby nic się w świecie nie wydarzyło. Były to jednak tylko pozory. Naokoło wyczuwało się atmosferę niepewności i oczekiwania na coś, co nastąpić musi, a co jednocześnie nam, Polakom, niczego dobrego nie może zwiastować. Zarówno profesorowie, jak i studenci wyczuwali stan ogólnego zagrożenia. Z twarzy profesorów odczytywaliśmy wielkie zatroskanie, spotykaliśmy również spojrzenia po ojcowsku ciepłe i serdeczne, w których znajdowaliśmy wspólny niepokój o los Polski i naszej Almae Matris.

Moja praca na kolei i indeks akademicki w kieszeni były chwilowo wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa osobistego. Stwarzały przynajmniej namiastkę takiego samopoczucia.

Kiedy byłem na froncie, w domu naszym zabrakło Ojca. Zmarł ze zgryzot. Po powrocie na mnie spadł obowiązek wspierania materialnego Matki i sióstr Marii i Czesławy. Życie potoczyło się nową, nieprzewidzianą drogą. Żyłem teraz jakby przyczajony, rozglądając się dookoła i dowiadując w ścisłej konspiracji, kto jeszcze powrócił z frontu z grona najbliższych sąsiadów i przyjaciół. Każde natomiast takie spotkanie, jeżeli do niego tylko dochodziło, wywoływało radość po-

bobną do radości dzieci, gdy odzyskują coś sobie bardzo drogiego. Żołnierski uścisk ręki był wtedy najprawdziwszym wyrazem dławiących serce uczuć. Bez zbędnych słów dobrze wiedzieliśmy, jaki jest nasz naczelny obowiązek i czego od nas żąda Ojczyzna.

GODZINA „X" W WILNIE

Godzina „X" wybiła w Wilnie,
Od kul się robi jasno w krąg,
Serca walą mocniej i silniej,
Prawda wolności w setkach rąk.

Na Kalwaryjskiej ogień z barykady,
Na Pióromoncie czołg zdobyto w mig,
Przez Wiłkomierską się przekrada
Oddział powstańców w cieniu iw.

Toruje drogę granatami,
Nikomu nie zabraknie w tym ataku tchu,
Twierdzą się staje każdy kamień,
Zdobyty schmeisser cenny łup.

Kompania rusza na Zwierzyniec,
Rannych kolegów pozabiera stąd,
Przywita fale Wilii sine,
Szeszkińskiej Górze poda dłoń.

Wokoło miasta partyzanci
Toczą zacięty krwawy bój,
Mierzą się z wrogiem w śmiałych akcjach,
Jak pszczół upartych złoty rój.

Łaskawa Matko w Ostrej Bramie,
Wstaw się u Syna cichą łzą,
Modlitwę serca Ci składamy,
Błogosław przyszłość dłonią swą.

Kazimierz Cis — „Halny"

Lipiec 1944 r.

NARODZINY KONSPIRACJI

Długo nie czekałem. Już w miesiąc zaledwie po moim powrocie z frontu, dokładnie 11 listopada 1939 roku, zjawił się u mnie w domu jak tajemniczy Wernyhora Anatol Rymaszewski. Poznaliśmy się na Zwierzyńcu w domu mego kuzyna Longina Blinstruba, którego był bliskim przyjacielem, a który przebywał w obozie internowanych oficerów polskich na Litwie w Birsztanach.

Tolek, jak go powszechnie nazywaliśmy w gronie kolegów, zawsze był ponad miarę czymś zajęty i zafrasowany. Wpadał tylko na krótko, miał bowiem zawsze wiele pilnych spraw do załatwienia. Z krwi i kości ideowiec i społecznik — myślałem zawsze, ilekroć go spotkałem. Tym razem również rozmowę mieliśmy krótką. Starczyło zaledwie kilka słów, aby podjąć nad wyraz ważną decyzję. Złożyłem przysięgę!

„W obliczu Boga i Tej, co w Ostrej świeci Bramie i Jasnej broni Częstochowy, na honor mój i wszystko, co jest mi drogie, przysięgam Ci, Narodzie Polski, pracować i walczyć niestrudzenie nad Twoim podźwignięciem do wolnego bytu i potęgi.

W każdej okoliczności życia będę miał na celu dobro Narodu Polskiego, przedkładając Jego interes ponad własny. Nie zapomnę nigdy, że jestem synem Polski i poczucie tej przynależności czyni mnie odpowiedzialnym za losy Ojczyzny wobec teraźniejszych i przyszłych pokoleń.

Przysięgam, że będę karnym członkiem Organizacji Wojskowej Narodu Walczącego i zachowam ściśle powierzone mi tajemnice. Nawet w przypadku, gdyby mnie torturowano, nie wyznam nic i nie wydam członków Organizacji.

Za wolność i honor, za Kraj mój i Naród, tak mi dopomóż Bóg".

Kładąc rękę na ramieniu Tolek, ps. „Andrzej", powiedział: „Z tą chwilą stałeś się członkiem Organizacji Wojskowej Narodu Walczącego, spełnij, coś przyrzekł, w imię Boże naprzód!"

Jeszcze dziś, zapisując skrupulatnie powyższe słowa przysięgi — przyznać muszę — odczuwam ich ogromną moc, siłę niezmierną i urzekające zarazem piękno. Bóg, Honor i Ojczyzna — czyż nie są

to pojęcia dla każdego Polaka najświętsze, najdroższe i najbardziej polskie?

Przy okazji należy zaznaczyć, że treść przysięgi była różna. Wynikło to z różnorodności zalążkowych komórek wileńskiej konspiracji zupełnie z sobą w tym początkowym okresie nie związanych.

Na początek „Andrzej" przekazał mi trzech członków Organizacji już przez niego zaprzysiężonych, którymi byli: Tadeusz Kowzon, ps. „Zuk" — student Wydziału Filologii, Edward Kieda, ps. „Witold" — student Wydziału Medycyny, i Kazimierz Cis, ps. „Halny" — student Wydziału Prawa i Nauk Społecznych, już wtedy dobrze zapowiadający się poeta, który po życiowych perypetiach wydał w 1965 roku pierwszy zbiór wierszy pt. „Wejście do domu".

Pierwsze z nimi spotkanie potraktowałem jako organizacyjne. Było ono okazją do osobistego zapoznania się, uzgodnienia sposobów wzajemnego kontaktowania, przestrzegania zasad konspiracji, kryteriów werbowania nowych członków do szeregów Organizacji i ogólnych kierunków pracy w okresie początkowym. Całą trójkę mianowałem dowódcami drużyn pierwszej tworzonej przeze mnie w konspiracji kompanii.

Świeżo upieczeni dowódcy mieli już za sobą przeszkolenie wojskowe jeszcze w okresie nauki w gimnazjum (przysposobienie wojskowe). W celu poszerzenia przydatnej w konspiracji wiedzy, podjąłem się ich przeszkolenia w zakresie skróconego programu Szkoły Podchorążych Rezerwy. Po ukończeniu przewidzianego programem cyklu wykładów i zajęć praktycznych — otrzymali stopnie podchorążych rezerwy.

W pracy konspiracyjnej posługiwaliśmy się wyłącznie pseudonimami. Prawdziwych nazwisk i imion staraliśmy się właściwie nie znać i w praktyce tego przestrzegaliśmy. Głównym zadaniem w pierwszym okresie pracy konspiracyjnej było stworzenie jedynie siatki dowódczej. Staraliśmy się więc wyłącznie werbować do organizacji oficerów, podchorążych i podoficerów polskiej armii. Zaopatrywać się w broń należało indywidualnie. Obowiązywała przy tym zasada stosowania jak najdalej idących środków ostrożności. Rzeczą najważniejszą było bezpieczeństwo własne, a więc i Organizacji. Należy pamiętać, że był to okres okupacji sowieckiej, a nad poczynaniami organizacyjnymi mogła zawisnąć wszechogarniająca groźba NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutrennich Diel).

Przy wykonywaniu pierwszych zleconych zadań i nawiązywaniu kontaktów posługiwaliśmy się uzgodnionym hasłem i odzewem. Dodatkowymi znakami bezpieczeństwa były uchylone lub otwarte w sposób szczególny okna, stojące na nich doniczki kwiatów, określona sygnalizacja przy otwieraniu drzwi wejściowych i inne znaki ostrzegawcze.

Powszechnie obowiązywał i był stosowany system „Trójek" i „Piątek". Stojący nad nimi dowódca mógł się kontaktować jedynie z dowódcą innej „Trójki" lub „Piątki". Nie znał natomiast pozostałych członków tych komórek. Uzgodnione konspiracyjne spotkania odbywały się na wyznaczonych „kwaterach", które co pewien czas zmieniano.

Posiadacze i właściciele broni przechowywali ją i konserwowali indywidualnie, pamiętając również o potrzebie doskonalenia umiejętności w posługiwaniu się nią. Fakt przynależności do Organizacji Wojskowej był tajemnicą osobistą każdego członka. Nie wiedziała o tym nawet najbliższa rodzina. W obcym gronie nie poruszano nigdy spraw związanych lub dotyczących Organizacji. Kolportaż konspiracyjnych gazetek powierzano wyłącznie członkom Organizacji specjalnie do takich zadań dobranym. Doręczano je osobiście lub pozostawiano „niechcąco" i dyskretnie przy różnych okazjach w mieszkaniach u znajomych. Po przeczytaniu „znalezioną" gazetkę przekazywano dalej na tych samych zasadach. Ten sposób kolportażu gazetek wszedł szybko w zwyczaj, stał się nawet obowiązkiem każdego Polaka. Prasa podziemna odgrywała ważną rolę w życiu okupowanego społeczeństwa. Znaczenie jej było wielorakie. Informowała społeczeństwo polskie o najważniejszych i bezpośrednio spraw Polski dotyczących wydarzeniach w okupowanym kraju i na świecie, podtrzymywała na duchu i wskazywała sposoby obrony przeciw szkodliwemu postępowaniu okupanta.

Z tego właśnie źródła dowiedzieli się Polacy, że 30 września 1939 roku w Paryżu powstał konstytucyjnie prawomocny emigracyjny Rząd Polski, na czele którego stanął generał Władysław Sikorski. 7 listopada 1939 roku obejmuje on stanowisko Naczelnego Wodza tworzącej się na terenie Francji polskiej armii. Były to więc wiadomości dobre i podnoszące na duchu. Cieszyliśmy się z tego wszyscy i przekazywaliśmy je także z ust do ust.

Oprócz jednak informacji pomyślnych zaskakiwały nas także wiadomości złe lub wręcz tragiczne. Oto pewnego listopadowego poranka mieszkańców Wilna obiegła wieść niezwykła: NKWD aresztowało i wywiozło w nieznanym kierunku grupę około 20 chłopców i dziewcząt w wieku 13—14 lat. Zgodnie z krążącą wówczas pogłoską mieli oni tworzyć tajną, niepodległościową organizację. W grupie tej byli także syn i córka mego bliskiego sąsiada Palewicza, mieszkającego przy ulicy Chocimskiej.

Były to więc pierwsze ofiary tworzącej się spontanicznie wileńskiej konspiracji. Patriotycznie wychowana młodzież, kierując się jedynie sercem i wyobraźnią „zabawiała" się w wojsko, płacąc za to być może, rozstaniem na zawsze z Ojczyzną i rodzicami.

Ta wspaniała młodzież była spadkobiercą naszej literatury z okre-

su romantyzmu. W ich pamięci odżyły wizerunki bohaterów dawnych narodowych powstań. Chcieli, być może, pójść śladami Konrada Wallenroda. Znali wszak historię Cytadeli Wileńskiej i kata Polaków Nowosilcowa. Dziś mieli NKWD i świadomość, że ich rodzinne miasto okupują wojska sowieckie. Wspominam dziś o tym tragicznym epizodzie z okresu wojny i myślę, jaki ich był los dalszy...

Tygodnie upływały teraz na pracy, trosce o dzień powszedni i gromadzeniu informacji ze świata oraz kraju. Co pewien czas kontaktowałem się z podległymi mi dowódcami poszczególnych komórek konspiracyjnych, których ilość wciąż rosła. Zawsze pojedynczo. Składano mi raporty z przebiegu pracy konspiracyjnej, ja z kolei przekazywałem otrzymywane odgórnie polecenia, instrukcje, informacje. W zależności od rozwoju sytuacji określałem program działania na najbliższy okres. Wytyczne ogólne korygował biegnący czas i aktualne wydarzenia. Niekiedy były to nowe, wydane przez okupanta ostre restrykcje godzące żywo w bytowo-społeczne interesy polskiego społeczeństwa, przeprowadzona przez organy ścigania doraźnie akcja pacyfikacyjna lub rozstrzygnięcie bitwy toczonej przez czas dłuższy na ważnym odcinku frontu. Zmuszały one do udzielenia natychmiastowej czynnej odpowiedzi, a czasami do powzięcia specjalnych środków ostrożności i jeszcze głębszego wejścia w podziemie. Jednak na żadnym szczeblu organizacyjnym nie prowadziło się notatek, nie sporządzano wykazów, szkiców, rysunków.

Skrócony kurs podchorążych prowadziłem w mieszkaniu stryja Edwarda Kiedy, ps. „Witold", przy ulicy Artyleryjskiej 14 oraz Antoniego Świetlikowskiego, ppor. „Włodzimierz", przy ulicy Chocimskiej 24. Na prowadzonych tam wykładach przez kilku oficerów, oprócz przyswojenia wiedzy teoretycznej z zakresu działań operacyjno-taktycznych, musztry i służby wartowniczo-patrolowej, dzieliliśmy się również wzajemnie otrzymanymi ostatnio ważnymi dla sprawy wiadomościami.

Wojna, jak wynikało z wydarzeń międzynarodowych, rozpoczynała się dopiero na dobre. Musieliśmy się przygotować psychicznie raczej na długą walkę z silnym i groźnym wrogiem.

ŻYCIE CODZIENNE

Utrata niepodległości była dla społeczeństwa polskiego przeżyciem najtrudniejszym. W ciągu jednego zaledwie miesiąca wszystko się diametralnie zmieniło. Wileńszczyzna znalazła się pod przejściową

okupacją sowiecką, choć przybysz ten uzurpował sobie prawa na stałe i rządził się niby zasiedziały od dawna gospodarz.

Wiedzieliśmy, że oceniając to z punktu widzenia prawa międzynarodowego, jest to zwykły gwałt, akt przemocy, brutalna agresja, umożliwiona paktem Ribbentrop-Mołotow okupacja zagrabionych terenów. Bo też i samo zachowanie się agresora stanowiło faktu tego potwierdzenie. Staliśmy się oto mimowolnymi świadkami na dużą skalę stosowanego ogołacania całego regionu z dóbr materialnych. Wywożono dosłownie wszystko, cokolwiek się tylko dało wywieźć. Łupem padały maszyny, urządzenia, całe fabryki, szyny kolejowe, nawet zmontowane już przęsła kolejowe. Ładowano to na samochody, wagony kolejowe, zwykłe czasem tylko furmanki.

Fabrykę radioodbiorników „Elektryt", będącą własnością braci Chwolles, wywieziono razem z jej podstawową załogą do Mińska, gdzie uruchomiono wkrótce ich produkcję tylko już pod nazwą „Mińsk". Przypatrywaliśmy się temu procesowi opustoszania naszego kraju z wypracowanych ciężko przez Polaków bogactw materialnych z uczuciem bezsilnego buntu i moralnej dezaprobaty. Właściciele fabryki „Elektryt", wspomniani już wyżej bracia Chwolles, ratując swoje życie, zdążyli uciec do Anglii, pozostawiając cały dorobek swego życia obcemu grabieżcy.

Nie próżnowało w tym czasie również NKWD. Ten resort pracował z zakasanymi rękawami. „Czornyj woron" krążył bez przerwy nocami po ulicach miasta i okolicznych miasteczek. Ofiarami tych łapanek padali w pierwszej kolejności wojskowi, policjanci, urzędnicy, inteligencja, „kułacy", wszyscy inni, którzy stali się ofiarami sprzedajnych donosicieli, których, niestety, w każdym środowisku nigdy nie brakuje. Podli moralnie i ograniczeni rozumem nie brali pod uwagę, że w ostatnim transporcie znajdą się sami.

Nie ustrzegli się tych aresztowań również uciekinierzy przed gestapo z Warszawy i innych miast Polski, którzy tu w Wilnie znaleźli chwilowe schronienie. Aby zasłużyć na miano „kułaka", bynajmniej nie trzeba było być właścicielem jakiegoś majątku. Bywało, że wystarczającym powodem zaklasyfikowania do tej kategorii „przestępców" był już fakt posiadania skórkowego płaszcza (używali go najczęściej samochodowi kierowcy) lub roweru. Bo też i nie o klasyfikację aparatowi ścigania wtedy chodziło. Byliśmy oto świadkami zaplanowanej przez Stalina i na wielką skalę realizowanej akcji biologicznego wyniszczenia polskiego narodu.

Dziś dopiero wiemy o tych planach już wszyscy dużo, ale nie wszystko. Pakt Ribbentrop-Mołotow, rozbiór Polski, mord w KPP, deportacja 250-tysięcznej polskiej armii w 1939 roku, Katyń, deportacja dziesiątków tysięcy członków Armii Krajowej, wreszcie przedłużenie tej polityki rękami nasłanego już nam z Moskwy stalino-

wskiego agenta Bieruta i jego adherentów i całkowite podporządkowanie sobie komunistycznego aparatu państwowego Polski po wojnie.

My jednak jesteśmy w Wilnie. Budowę podziemia rozpoczęliśmy w warunkach zbliżonych do okupacji i szerzącego się terroru. Administracja sowiecka i władze wojskowe działają jednak według ustalonego odgórnie planu. Wilno i przylegające tereny przekazane zostały aktem jednostronnym Litwie. 28 października 1939 roku oddziały litewskie wkraczają do miasta, jak przy tej okazji żartowano, wsparte dwoma pożyczonymi od Łotwy czołgami. Pozyskaliśmy więc już kolejnego „gospodarza" Ziemi Wileńskiej.

Wkrótce wojska sowieckie opuszczają Litwę. My, Polacy, po stosunkowo krótkim, ale bardzo odczuwalnym okresie terroru NKWD, nabieramy w płuca nieco świeżego powietrza. Miejscowy organ prasowy „Kurier Wileński" podał nawet cząstkową listę wywiezionych w głąb ZSRR Polaków, wyrażając naiwną nadzieję, że poczynione ewentualnie o ich powrót starania mogą okazać się skuteczne.

Ten przyjazny, zdawałoby się, uczyniony w stronę Polaków gest ustąpił wnet drugiemu, tym razem bardzo przykremu. Oto Uniwersytet Stefana Batorego 15 grudnia 1939 roku został przejęty od naszych władz uniwersyteckich przez Litwinów. Profesor Stefan Jędrychowski był właśnie tym wykładowcą, który nam, studentom, tę smutną informację przekazał. Na pożegnanie jeszcze powiedział: „Od dziś Uniwersytet nasz przestaje funkcjonować. Musimy przekazać go Litwinom. Dajcie, podpiszę jeszcze wam wasze indeksy. Dalszego losu Uczelni nie mogę przewidzieć. Miejmy nadzieję, że się jeszcze spotkamy".

Zamykano również częściowo polskie szkoły średnie, przechodząc na litewski język nauczania. Młodzież zaprotestowała zdecydowanym strajkiem. Cóż jednak mogli młodzi ludzie przez to osiągnąć, skoro ich Ojczyzna, Polska, uległa czwartemu z kolei rozbiorowi, dokonanemu 23 sierpnia 1939 roku, o czym oni wtedy nie wiedzieli.

Polscy profesorowie i w ogóle inteligencja utracili miejsca swojej dotychczasowej pracy. Wielu z nich musiało szukać zatrudnienia na robotach fizycznych. Czasami był to trud niemal katorżniczy, jak np. kruszenie dużych kamieni przy budowie dróg. Jedynym narzędziem ich pracy był ciężki, stalowy młot. W ten właśnie sposób budowano szosę od wylotu ulicy Antokolskiej.

Mnie chroniła na razie praca na kolei. Pracowałem na stacji kolejowej w Landwarowie, dokąd dojeżdżałem codziennie pociągiem. Praca w telegrafie wymagała znajomości języka litewskiego, który, o dziwo, opanowałem w stopniu dobrym już w ciągu pół roku. Znajomość jego odda mi wielkie usługi w pracy konspiracyjnej. Niejednokrotnie ratowała z opresji na miarę „być albo nie być".

Wrześniowa wojna i paromiesięczny rabunek sowiecki ogołociły

miasto z żywności. Do domów polskich w mieście zajrzało widmo głodu. Obecnie Litwini, chcąc widocznie złagodzić w odczuciu Polaków fakt przejęcia Wilna, otwierają placówki handlowe „Majstas", „Letukis" i „Pienocentras", dobrze zaopatrzone w produkty mięsne i mleczne, czym poprawili znacznie nastrój ogólny społeczeństwa.

Jednakże stare polskie przysłowie: „Miłe złego początki, lecz koniec żałosny" już wkrótce zaczęło się sprawdzać. Bowiem polityka Litwinów w stosunku do Polaków przybrała formę jawnej niechęci, a nawet litwinizacji. Była to oczywiście akcja z góry skazana na niepowodzenie. Chcący np. nadal studiować Polacy winni byli przyjąć obywatelstwo litewskie. Z wyjątkiem tylko nielicznych wszyscy ze studiów zrezygnowali. Te i tym podobne zabiegi litewskie przyjmowaliśmy jedynie z pobłażliwym, wewnątrz tłumionym uśmiechem.

Wkrótce ujawniona została lista deportowanych do ZSRR ludzi takich, jak:

Dr Wiktor Maliszewski — prezydent Wilna
Józef Rakowski — wicewojewoda wileński
Inż. Emil Głazek — prezes Dyrekcji Kolejowej w Wilnie
Jan Grodzicki — wiceprezydent Wilna
Mazurowski — wiceprezes Dyrekcji Kolejowej w Wilnie
Marian Godecki — kurator Okręgu Szkolnego
Zenon Mikulski — prezes Izby Kontroli Państwa
Olgierd Brandt — sędzia
Dowgiałło — sędzia
Mieczysław Obiezierski — prezes Prokuratury Generalnej
Maculewicz — dyrektor Banku Rolnego
Kazimierz Piłsudski — brat Marszałka
Jan Piłsudski — brat Marszałka

Wymieniłem tu tylko tych kilkunastu szanowanych i powszechnie cenionych w mieście obywateli, których potraktowano jak przestępców i wywieziono gdzieś w syberyjskie, dalekie pustkowia, skąd wrócić już zapewne nie mogli; później nikt z urzędu do tego zobowiązanych upomnieć się o nich nie chciał... albo sam drżał również ze strachu.

CIĄG DALSZY KONSPIRACJI

Ciężyła okupacja, zagrożenie osobiste wisiało nad każdym Polakiem, rosły trudności w uzyskaniu pracy odpowiadającej posiadanym kwalifikacjom, coraz trudniejsze warunki bytowe — to skrótowy

obraz warunków, w jakich znalazło się społeczeństwo polskie w pierwszych miesiącach wojny. Do przezwyciężenia tych trudności i zagrożeń mogła prowadzić jedna tylko droga, a pobudzić do działania jedyne tylko pragnienie: odzyskać utraconą niepodległość.

Zawiązane już pierwsze komórki konspiracyjne rozwijały się powoli, ale systematycznie według ustalonych założeń. Rósł stan ilościowy jednostek podstawowych (Trójki, Piątki), zwiększając stopniowo teren ich oddziaływania. Starałem się, aby przynajmniej raz w miesiącu, na ile mi tylko pozwalała praca zawodowa, odbywać spotkania z dowódcami poszczególnych jednostek podstawowych. Informowano mnie o przebiegu pracy, zwiększeniu ilości członków, napotykanych trudnościach i innych przeszkodach organizacyjnych.

W tej pierwszej fazie rozwoju konspiracji szczególny nacisk kładłem na wartości ideowo-moralne nowych członków Organizacji, a nie na wyniki ilościowe. Rozumiałem, i takie też miałem zalecenia odgórne, że w pierwszym roku tworzymy tylko szkielet kadrowy organizacji odpowiadający wymogom patriotyczno-ideowym i oczywiście założeniom wojskowym. Przykładów wysokiego morale nie brakowało, reprezentowali je inicjatorzy zaczątków konspiracji, kierunek ten był przekazywany odpowiednio na konspiracyjnych odprawach w dół i konsekwentnie kontynuowany.

Tryb życia każdego konspiratora był podobny w zarysie do siebie. Ze względu na różne nakazy i rozporządzenia każdy musiał podjąć jakąś pracę, aby nie ściągnąć na siebie niepotrzebnie uwagi organów policji, szczególnie tajnej, i nie spowodować podejrzeń, mogących zagrozić naszej organizacji. Praca, stwarzając jak gdyby parasol bezpieczeństwa osobistego i zapewniając jednocześnie, skąpe co prawda, ale niezbędne minimum egzystencji, pozwalała na spokojniejszą działalność w konspiracji. Zdarzały się bowiem przypadki, że aresztowano młodych Polaków nie pracujących, oskarżając ich o pasożytnictwo lub w sposób już perfidny o szpiegostwo.

U członków założonej organizacji, szczególnie u zupełnie młodych, odczuwałem gotowość chętnego spełniania obowiązków bardzo ważnych, społecznie znaczących, dających podstawy do dumy. Kłopoty z pracą i inne odchodziły na margines spraw nieważnych, główną natomiast uwagę koncentrowałem na sprawach rozwijającej się Organizacji. Wszystkich swoich dawnych przyjaciół i znajomych przepuszczaliśmy przez filtr wszechstronnej weryfikacji, oceniając ich głównie pod kątem przydatności do wypełniania zadań konspiracji. Rozglądaliśmy się więc wokół siebie zastanawiając się, co jeszcze w tym względzie można zrobić, umocnić, udoskonalić. Nowych członków angażowałem z najbliższego, dobrze znanego mi otoczenia, czasem zaufanego sąsiedztwa, miejsca pracy, nieraz wychodziło się z tym i poza obręb wyznaczonej odgórnie z konieczności rejonizacji.

Zdarzało się to wtedy, gdy nowe podmioty zainteresowania okazywały się szczególnie wartościowe i godne werbunku.

Tak było np. na stacji kolejowej w Landwarowie, gdzie razem ze mną w telegrafie pracowało dwóch studentów podchorążych i jeden były podoficer zawodowy. Znaliśmy się już od dawna, natomiast warunki okupacji dały wiele okazji do tego, aby wartość i prawdziwość postawy patriotycznej człowieka poznać i ocenić jak najwłaściwiej. Podejmowane w takich przypadkach decyzje werbunku nie były trudne, a przede wszystkim zapewniały powodzenie.

W ten sposób powstawały również nowe zalążki tajnej organizacji wojskowej w pobliskich Rudziszkach, gdzie mieszkał Mietek Kondratowicz, w Olkienikach, gdzie nieocenione usługi, jeśli chodzi o zaopatrzenie w brakującą w mieście żywność, oddawała niezastąpiona w tym Halina Wolańska, czy w Landwarowie, gdzie na swój sposób wydajnie pracowała Żenia Maksimowiczówna, później żona porucznika Henryka Borowskiego, oficera wywiadu AK przy Komendzie Okręgu.

Proces przyjęcia do naszej organizacji był ustalony: złożenie przysięgi, określenie funkcji i zadania, przydział do jednostki organizacyjnej lub powierzenie zadania zorganizowania nowej, ustalenie sposobu utrzymywania łączności i na koniec zwrócenie uwagi na żelazne zasady przestrzegania rygorów bezpieczeństwa osobistego.

Niestrudzony w tej pracy „Andrzej" wpadał często do mnie, najczęściej jednak najmniej spodziewanie. Przynosił nowe cenne kontakty, przekazywał nowych członków lub najnowsze informacje od „wysokiej góry", jak mówił: z Dowództwa. W tych warunkach czas wojenny płynął wartko, znajdowałem się w ciągłym napięciu psychicznym, lecz w twardym przeświadczeniu, że podjęta w konspiracji praca ma zasadniczy sens i spełni swoje przeznaczenie.

Byliśmy jednak wszyscy bardzo młodzi, mieliśmy po lat dwadzieścia kilka, a garnąca się do nas młodzież jeszcze młodsza. Myśleliśmy więc i o przyszłości, tej także najbliższej po zakończeniu szczęśliwym dla nas wojny, którą zawsze traktowaliśmy z należną jej powagą. Studia mieliśmy przeważnie nie ukończone. Młodsi od nas byli nierzadko bez matury, dla której uzyskania uczęszczali na zorganizowane tajne nauczanie. Czas toczącej się wojny i pracy w podziemiu nie mógł być przeszkodą w zdobyciu cenzusu naukowego.

Po zamknięciu przez władze litewskie Uniwersytetu im. Stefana Batorego rozpoczęliśmy studia dodatkowe na Wydziale Kultury i Sztuki, prowadzone przez ks. prof. filozofii Józefa Wojtukiewicza i prof. Mariana Morelowskiego. Cegiełkę swoją w zakresie organizacyjnym dołożył „Andrzej". Słuchaczami wykładów byli: Andrzej Rymaszewski, Longin Blinstrub, Paweł Świetlikowski, Kazimierz Cis, Edward Kieda, Tadeusz Kowzon oraz kilkunastu innych, nazwiska mi nie znane, bo to konspiracja! Rektorem tajnej uczelni był prof.

Stanisław Hiller, Wydziałem Medycyny kierował prof. Michał Reider, Wydziałem Prawa prof. Iwo Jaworski, a Wydziałem Kultury i Sztuki dwaj wyżej wymienieni profesorowie.

Tajne nauczanie jest tematem, który zasługuje na potraktowanie go oddzielnie, jak na to zasługuje. Z braku dostatecznego materiału ograniczam się jedynie do tej skromnej wzmianki. Wkładany w naukę wysiłek intelektualny traktowaliśmy jako obowiązek doskonalenia samego siebie w imię lepszego jutra, które przynieść miało wolność całemu polskiemu narodowi. Byliśmy jego drobną cząstką.

DYKTATOR UJAWNIA KARTY

15 czerwca 1940 roku oddziały Armii Czerwonej wkroczyły powtórnie do Wilna. Poddane zostały także okupacji sowieckiej wszystkie trzy państwa bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia, liczące wtedy 3,5, 2 i 1,4 miliona ludności. Konstytucyjny prezydent Litwy Antanas Smetona salwował się ucieczką do Niemiec. Uciekając z własnego kraju, ratował również własne życie. Uniknął więzienia, poniewierki a może i śmierci na wygnaniu.

Wszyscy mieliśmy jeszcze świeżo w pamięci pierwszy, krótki co prawda, lecz jakże bolesny w skutkach pobyt jednostek tej armii w Wilnie w 1939 roku. Gdziekolwiek się wtedy jej żołnierze pojawili, szerzyli grozę, strach i niepokój. W ślad zaraz szły aresztowania, ogólny rabunek, wywózka ludności, rozłączanie rodzin i lament poszkodowanych.

Scenariusz tych działań był jeden i ten sam: wkraczała armia „oswobodzicielka". Zawsze przychodziła „na prośbę" zagrożonego rządu i narodu przez burżuazyjny imperializm. Wkraczała tylko, aby „bronić" przed wyzyskiem i uciskiem faszystów albo „panów".

Rząd dotychczasowy „dobrowolnie" najczęściej ustępował, a klasa robotnicza „powoływała" nowy, inspirowany przez Moskwę. W tym konkretnym przypadku był nim „zaufany" Moskwy, komunista Justas Paleckis, który objął stanowisko prezydenta. Członkowie starego rządu, którzy pozostali na miejscu, zostali deportowani w głąb Rosji.

Nastały czasy niepewności i strachu. W Wilnie znów zobaczyliśmy sowieckie czołgi, w „gimnastiorkach" (bluzach) i szarych szynelach czerwonoarmistów, z pepeszami, czasami nawet z zawieszonymi na sznurkach karabinami. Brezentowo-gumowe buty dopełniały obrazu żołnierzy armii, która przed rokiem zajmowała wschodnie województwa II Rzeczypospolitej. Prezydenci Ulmanis na Łotwie i Päts w Esto-

nii swoje pozostawanie na urzędzie zapłacili uwięzieniem i deportacją, której nie przeżyli.

My, Polacy, zajęci byliśmy głównie zmartwieniami własnymi. Zmieniające się raz po raz porządki polityczno-administracyjne traktowaliśmy jako tymczasowe, dokonywane natomiast przez państwo stalinowskie zmiany o charakterze politycznym — jako bezprawne, nie rokujące przyszłości i trwałości. Czas leciał z podwójną dla nas szybkością, a zdarzenia goniły jedne za drugimi.

Gruchnęła nagle oto wieść, że w lipcu odbędzie się głosowanie. Prezydentem Litwy był już wytypowany przez Moskwę komunista Justas Paleckis, a zwołany wkrótce „sejm" zdążył niebawem powziąć znamienną uchwałę o „przyłączeniu" Litwy do Związku Sowieckiego. Musi jeszcze swoją „wolę" wyrazić również naród litewski w powszechnym głosowaniu, czyli referendum.

Zainscenizowana w szczegółach operetka odbyła się w dniu wyznaczonym. Oczywiście głosowało 99,99 procent obywateli. Zabrakło tylko w tym dniu zmarłych, bo nawet ciężko chorych dowożono samochodami do wyznaczonych punktów. Nie wzięli udziału w głosowaniu tylko ci, którzy w dniu tym zmarli w domach lub w drodze, dowożeni samochodami do punktów wyborczych. Aby głosującym nie stała się żadna krzywda, wszystkie pomieszczenia wyborcze obstawione zostały uzbrojonymi krasnoarmiejcami. Natomiast ulice nasycono masowo wojskiem. Głosującym stawiano w dowodach osobistych kwadratowego kształtu małe pieczątki, aby później przy kontroli NKWD wiedziało, kto jest „wrogiem ludu" i kogo należy natychmiast aresztować.

W taki oto „demokratyczny" i z własnej woli wyrażony sposób socjalistyczna już Litwa pozbyła się burżuazyjnego „gniotu" i stała się Republiką Radziecką! I działo się to wszystko na naszych oczach. Przeżywaliśmy to wewnętrznie rozdarci, pełni goryczy i duchowej rozterki. Nikogo nie mogliśmy się radzić i nikt nam wtedy, w sytuacji bez wyjścia, nie mógł pomóc. Sterroryzowani ludzie stali przed alternatywą: wykonać posłusznie nakaz albo szykować nieco ciepłej bielizny i trochę chleba do torby na daleką drogę. Wszyscy wybrali to pierwsze. Nikt bowiem nie wierzył, że ten haniebny akt zniewolenia będzie miał jakiekolwiek znaczenie po skończonej wojnie.

W analogiczny sposób wchłonięte zostały Łotwa i Estonia. Fakt włączenia Litwy do Związku Sowieckiego pociągnął za sobą konieczność wyłonienia przedstawiciela Wilna do Rady Najwyższej Republiki. Musiał to być oczywiście obywatel litewski i człowiek cieszący się powszechnym zaufaniem. Jednak od czego są dobrzy przyjaciele. Poratowali już raz, gdy obsadzano fotel prezydenta, nie mogli więc zawieść i tym razem. Mieli zresztą pod ręką swego posła na Litwie towarzysza Pozdniakowa, który nauczył się już nawet pozdrawiać

Litwinów słowami: „Łaba diena, tawariszczi" — dzień dobry, towarzysze.

Wynik wyborów (99,99 procent!) potwierdził i był dowodem, że Litwini z moskiewskiego kandydata byli bardzo zadowoleni. Zastanawiając się dziś nad pytaniem, czy mogli wtedy ludzie nie brać udziału w tych groteskowo-tragicznych głosowaniach — trzeba pytanie postawić inne: Po co Stalinowi potrzebne były te wszystkie szopki, skoro grabież tych państw i obszarów miał już załatwioną 23 sierpnia 1939 roku w umowie z Hitlerem, zmodyfikowaną nieco 28 września, kiedy już działania wojenne w Polsce miały się ku końcowi?

Miasto obiegły wiadomości o nowych aresztowaniach. Mieliśmy jeszcze świeżo w pamięci pierwszy pobyt w Wilnie NKWD i tamte liczne aresztowania, przed każdym z nas i naszymi najbliższymi stanęło widmo zagrożenia i niepewności jutra.

Praca na kolei, zdawało się, asekurowała mnie, choć pełnej gwarancji, gdy w grę mogło wejść NKWD, nie miało się nigdy. Znacznie gorzej już było z kolegami, którzy chronili się w innych, dających mniejszą gwarancję pewności instytucjach. Został aresztowany Anatol Rymaszewski, ps. „Andrzej". Widocznie dotarły do uszu NKWD jakieś obciążające go informacje. Piwnice gmachu NKWD przy ulicy Ofiarnej, więzienia Łukiskie i przy ulicy Stefańskiej były przepełnione ponad miarę. Wykorzystano w tym celu podziemia Dyrekcji Kolejowej i inne jako więzienia zastępcze. Ruszyły transporty kolejowe deportowanych. Socjalistyczna już Litewska Republika Radziecka pulsowała nowym, jakże odmiennym od dawnego, życiem. Kto mógł tylko, nie nocował we własnym mieszkaniu, zmieniając stale miejsce swego pobytu.

W maju i pierwszej połowie czerwca 1941 roku aresztowania i wywózki osiągnęły swoje apogeum także wśród Litwinów. Rodziło się uzasadnione przekonanie, że po pół roku takiej czystki w mieście pozostaną jedynie kobiety i małe dzieci. Zabierano nocami z domów wprost z łóżka, zdarzało się, choć rzadko, że nawet z miejsc pracy. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że chroni mnie i to skutecznie tylko moja praca na kolei.

Była niedziela 22 czerwca 1941 roku. Miałem pójść do kościoła. Nagle na bezchmurnym błękicie nieba, nad lotniskiem w Porubanku, pojawiła się eskadra samolotów. Zatoczyły ostre półkole i zrzucając ładunek bomb oddaliły się w kierunku północnym równie szybko, jak się pojawiły. Horyzont zaciemnił się czarnymi kłębami wznoszącego się dymu. W pierwszej chwili przypuszczałem, że na lotnisku piloci sowieccy przeprowadzają ćwiczenia bojowe. Wkrótce jednak

pokazał się kolejny klucz samolotów, które lotem nurkowym, niby drapieżne ptaki ze zwiniętymi skrzydłami, spadły z wyciem w dół, by zrzuciwszy ładunek bomb, wystrzelić na kształt rakiety w górę. Znów kilkanaście głośnych detonacji wstrząsnęło w oddali ziemią i echem głuchym dotarło do miasta. Błyski ognia niby czerwone zygzaki podczas burzy splotły się razem z czernią dymów kłębiących się niby z olbrzymiego krateru.

Elektryzująca myśl przeszyła nagle mój umysł, bo wykrzyknąłem: wojna! Ruszyłem szybko do miasta, aby sprawdzić, jaka tam jest sytuacja. Kiedy byłem na przedmieściu, w dzielnicy Kalwaryjskiej, mogłem odczuć, że coś się ważnego zdarzyło. Była już godzina 10 rano, a ulice świeciły pustkami, tylko gdzieniegdzie przemknął pośpiesznie pojedynczy człowiek. Ludzie coś już wiedzieli. Musieli wiedzieć. Wychowałem się w tym mieście od dziecka, a nigdy ono nie było takim, jak tego ranka, 22 czerwca 1941 roku.

Gdy przekroczyłem Zielony Most i znalazłem się na ulicy Wileńskiej, spotkałem pierwsze wojskowe łaziki wyładowane bagażem i sowieckimi oficerami, mknące w wyczuwalnym popłochu w kierunku dworca kolejowego. Ewakuują się! — stwierdziłem w podnieceniu. A więc jednak wojna. Te zrzucone przed godziną zaledwie bomby na lotnisko Porubanek — to bomby niemieckiej Luftwaffe. A więc napadli na swego dotychczasowego sojusznika. To rzecz niesamowita! Tego się właściwie chyba nikt nie spodziewał.

Z Wileńskiej skręciłem w prawo, w ulicę Mickiewicza. Dochodząc do gmachu będącego siedzibą NKWD ujrzałem scenę, którą pamiętam dokładnie do dziś. Z budynku wybiegło kilkunastu oficerów w czapkach z czerwonymi otokami. Biegnąc w kierunku więzienia Łukiskiego zapinali jeszcze w najwyższym popłochu swoje pasy. Tuż za budynkiem, na skrzyżowaniu z ulicą Ofiarną, pokazała się grupa młodych mężczyzn, która w kierunku uciekających czekistów oddała serię strzałów. Z pośród uciekających kilku upadło na ziemię. Pozostałym udało się dopaść pierwszych zabudowań i skryć się w podwórkach. To młodzi Litwini potwierdzali swoją wdzięczność za „dobrowolne" przyłączenie Litwy do Kraju Rad. Jedni i drudzy nie byli dla mnie, jak wykazywali swoim postępowaniem, przyjaciółmi. Ale odczułem w tej chwili jakiś niesmak natury etycznej. Bowiem strzelania w plecy uciekającym mnie nie uczono.

Wojna była pełnym zaskoczeniem przede wszystkim dla czerwonoarmistów, głównie enkawudzistów. Widać było teraz, jak wybiegali w pośpiechu ze swoich mieszkań, trzymając w rękach tylko teczki lub walizki, szukając naprędce jakiejkolwiek choćby możliwości wydostania się z miasta i ewakuacji dalej na wschód. Ratując swoje nędzne skóry zapewne żałowali, że na swoich biurkach musieli zostawić liczne

wykazy wielu tysięcy przygotowanych już do wywózki kolejnych ofiar, które jednak już nie wyjadą.

Gdzieniegdzie zajeżdżał, hamując gwałtownie, wojskowy samochód, a wskakujący do niego wojskowi i cywile znikali szybko za najbliższym skrzyżowaniem ulic. Przyglądałem się temu z umiarkowanym spokojem. Objawy tak nieoczekiwanie powstałej u przyjaciół Moskali paniki i śmiertelnego niemal popłochu tylko potwierdzały tezę, że niemieckie zmasowane działanie przez zaskoczenie nie pozostawało bez powodzenia. Tak, ale co dalej? Jak się potoczą dalsze losy nas, Polaków, i naszej Ojczyzny? I losy całej Europy?

Lotnisko Porubanek i stacjonujące tam maszyny lotnicze zostały doszczętnie zniszczone. Wojskowi oraz cywilny personel administracyjny uciekali, jak mogli najprędzej, z miasta. Grupy Litwinów, widocznie sądząc, że koło historii odwróciło się dla nich na stałe, ucieczkę czerwonoarmistów kwitowały złowrogimi okrzykami. Czasami strzelano do uciekających żołnierzy.

Reakcje polskie były bardziej opanowane, choć refleksje dość krytyczne. Oto bowiem wczorajsi jeszcze panowie naszego życia i śmierci zwijali teraz rychło zdobyte na cudzym nieszczęściu manatki i opuszczali pośpiesznie miasto. Z różnych miejsc miasta dochodziły odgłosy strzałów. Być może były one wynikiem scen, z których jedną oglądałem sam przy ulicy Ofiarnej. Litwini wystawiali w ten sposób rachunek za pozbawienie ich niepodległości i deportację dużej liczby inteligencji i młodzieży. Tak się też ułożyło, że właśnie w pierwszej połowie tego miesiąca wywózka ludności osiągnęła swój szczyt. Odprawiano na wschód pociąg za pociągiem. Kilka gotowych już do wysłania transportów stało na stacji towarowej, czekając tylko polecenia sowieckiego dyspozytora ruchu.

Orientujący się w sytuacji polscy kolejarze zwlekali pod różnym pozorem z ich wysłaniem lub odprawiali je w innym, aniżeli wynikało z woli NKWD, kierunku. Gdy gwałtownemu bombardowaniu poddano również stację w Wilnie, z powstałego w tym czasie zamieszania skorzystali więźniowie, którzy z przygotowanego już do odejścia pociągu wyskakiwali w różne strony jak tropione przez psy zające. W ten nieoczekiwany sposób kilka tysięcy ludzi uratowało swoje życie. Wyskoczył wtedy z wagonu zadrutowanego „Andrzej". Kilka innych pociągów polscy kolejarze zatrzymali szczęśliwie na stacjach w Podbrodziu, Hoduciszkach i Postawach.

KONSPIRACJA NA WILEŃSZCZYŹNIE PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ

Już we wtorek rano, 24 czerwca 1941 roku, pierwsze jednostki pancerne Wehrmachtu wkroczyły do Wilna, witane przez grupki znajdujących się w Wilnie Litwinów. Niemcy potrzebowali zaledwie dwóch dni, aby z Prus Wschodnich tu dotrzeć. Okazało się, że nie wszystkim Rosjanom udało się w porę ewakuować. Los ich był nie do pozazdroszczenia w wielu wypadkach. Dzieciom i kobietom przychodzili z pomocą Polacy, jak tylko mogli. Nowa sytuacja kolejny raz w tej wojnie zmieniła zasadniczo sytuację polityczną, również naszą, Polaków. W Kownie powstał natychmiast proniemiecki rząd gen. Kubiliunasa, rozpoczynający etap współpracy litewsko-niemieckiej.

Również w naszej pracy konspiracyjnej rozpoczął się nowy okres, okres walki w warunkach okupacji bezpośredniego wroga. Zaszły również ważne zmiany organizacyjne. Powołana 27 września 1939 roku przez generała Michała Tadeusza Tokarzewskiego-Karaszewicza jeszcze w oblężonej Warszawie SZP — Służba Zwycięstwu Polski — dość krótko rozwijała swoją działalność.

Jednakże już wkrótce we Francji z rozkazu generała Władysława Sikorskiego z dnia 8 listopada 1939 roku powstaje Związek Walki Zbrojnej ZWZ. Głównym Komendantem ZWZ mianowany został generał broni Kazimierz Sosnkowski, przebywający na terenie Francji. Później w r. 1940 na rozkaz Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie dowództwo w kraju przejmuje płk. dypl. Stefan Rowecki, ps. „Grot".

Cały kraj podzielono na sześć Obszarów: 1 — Warszawa, 2 — Białystok, 3 — Lwów, 4 — Kraków, 5 — Poznań, 6 — Toruń. Komendanci poszczególnych Obszarów podlegali generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Komendantem Obszaru 1 mianowano płk. dypl. Stefana Roweckiego. Podporządkowano mu Obszary 4, 5 i 6. Komendantem Obszaru 3 mianowano gen. Michała Tadeusza Tokarzewskiego-Karaszewicza, podlegał mu także Obszar 2.

Jak z tego schematu wynika, pominięty na razie został ważny niewątpliwie Okręg Wileński. Zadecydowały tu, jak mi wiadomo, względy natury politycznej. Rząd polski na Zachodzie wiązał wtedy nadzieje na polityczne porozumienie z Litwą. Nie chciał więc zaostrzać stosunków, tworząc na Wileńszczyźnie organizacje wojskowe.

Szkopuł jednak w tym, że o powyższych kalkulacjach nie wiedzieli Polacy zamieszkujący w Wilnie i na Wileńszczyźnie. Wilnianie nie czekali więc rozkazów, poleceń i inicjatyw. Już we wrześniu 1939 roku, gdy 28 skapitulowała bohaterska Warszawa i 29 Modlin, a losy pierwszego etapu wojny były już przesądzone, w Wilnie two-

rzyć się zaczęły zalążki konspiracji. Powracający z frontu oficerowie zawodowi i rezerwy, podchorążowie, profesorowie i studenci, komu tylko Polska głęboko leżała w sercu — rzucili się w wir konspiracji. 27 września 1939 roku złożyli przysięgę Anatolowi Rymaszewskiemu młodzi koledzy poeci Kazimierz Cis, ps. „Halny", i Jan Nagrabiecki, ps. „Wandal". Najzupełniej samorzutnie, z osobistej całkowicie pobudki i inicjatwy powstawać zaczęły „Koła Wojskowe", „Organizacje Wojskowe", „Ruch Niepodległościowy" i tak dalej. Jedni nie wiedzieli o drugich, każdy bowiem z organizatorów angażował ludzi ze swego najbliższego, dobrze mu znanego otoczenia.

Jak już wiemy, SZP powstała w Warszawie 27 września 1939 roku, powołana przez gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza, lecz wysłani przez niego do Wilna, w celu powołania tej organizacji, trzej emisariusze: płk dypl. Janusz Gąladyka, przewidziany na Komendanta Okręgu Wileńskiego SZP, ppłk dypl. Nikodem Sulik, ps. „Jodko", „Jemioła", oraz mjr Aleksander Krzyżanowski, jako szef sztabu Okręgu Wileńskiego SZP — przybyli do Wilna dopiero 8 grudnia 1939 roku, ale we dwójkę, bez zatrzymanego na granicy litewsko-sowieckiej płk. dypl. Janusza Galadyki.

Docierają oni w Wilnie do księdza Kazimierza Kucharskiego, za jego pośrednictwem kontaktują się z miejscowym podziemiem i pamiętnej daty 28 grudnia 1939 roku dokonują scalenia wileńskiego podziemia, tworząc formalnie Wileński Okręg SZP obejmujący: Komisariat Rządu, Koła Pułkowe, Organizacje Wojskowe, Organizacje Wojskowe Piłsudczyków oraz Grupy Endeckie i inne. Ukształtował się również trzon dowództwa:

Dowództwo Komendy Okręgu Wileńskiego SZP

1. Komendant Okręgu — ppłk dypl. Nikodem Sulik, ps. „Jodko", „Jemioła"
2. Z-ca kmdt. i szef sztabu — ppłk Adam Obtułowicz, ps. „Leon"
3. Kwatermistrz — mjr Aleksander Krzyżanowski, ps. „Andrzej", „Wesołowski"

Rada Komendancka jako organ doradczy Komendy Okręgu

1. Dr Jerzy Dobrzański — przedstawiciel PPS
2. Prof. Aleksander Zwierzyński — Stronnictwo Narodowe
   od czerwca 1940 roku mgr Witold Świerzewski
3. Mjr rez. Władysław Kamiński, senator RP — Grupa Piłsudczyków
   Adam Galiński — Grupa Piłsudczyków

4. Ks. Romuald Świrkowski — delegat Kurii Metrpolitalnej
5. Antoni Kokociński — późniejszy szef BIP-u (rok 1943—44)

Już jednak w styczniu 1940 roku, na bazie istniejącego od niedawna SZP, powołano Związek Walki Zbrojnej ZWZ — zgodnie z pełnomocnictwem z Warszawy. Raz jeszcze nastąpiła reorganizacja z powołaniem nowego dowództwa:

Komenda Okręgu Wileńskiego ZWZ

1. Komendant Okręgu Wileńskiego — ppłk dypl. Nikodem Sulik, ps. „Jodko", „Jemioła"
2. Z-ca kmdt. i szef sztabu — ppłk Adam Obtułowicz, ps. „Leon" od 20 marca 1940 roku mjr Aleksander Krzyżanowski
3. Szef wywiadu — ppłk Zygmunt Cetnarowski
4. Ks. Kazimierz Kucharski, ps. „Szymon" — Szef Finansów i Sanitariatu
5. Szef łączności — . . . . . ps. „Jarząbek"
6. Szef propagandy i prasy — mjr Władysław Kamiński, ps. „Śliwa"
7. Kier. komórki likwidacyjnej po zajęciu Wileńszczyzny przez ZSRR — por. Daniel Kostrowicki, ps. „Danek"
8. Komendant m. Wilna — kpt. Karol Zieliński, ps. „Brzoza"
9. Komendant prowincji — por. Czesław Dębicki, ps. „Chudy"
10. Delegat ZWZ w Kownie — por. Zbigniew Jentys, ps. „Habdank"

Pod względem organizacyjnym Samodzielny Okręg Wileński ZWZ został podzielony na trzy jednostki:
1. Miasto Wilno — kryptonim „DWÓR"
2. Prowincja, reszta Wileńszczyzny — kryptonim „POLE"
3. Podokręg Kowieński — teren Litwy — stworzony w sierpniu 1940 roku.

Z braku wyczerpujących źródłowych dokumentów ograniczę się tylko do zanotowania, że 22 marca 1941 roku ZWZ został w znacznym stopniu zdekonspirowany. W okresie do 15 kwietnia aresztowano: ppłk. Nikodema Sulika, mjr. Władysława Kamińskiego, kpt. Karola Zielińskiego i jego zastępcę, por. Zbigniewa Jentysa. Razem aresztowano ponad sto osób. NKWD i Litwini z organów bezpieczeństwa byli przekonani, że akcją tą zlikwidowali całe polskie podziemie.

Okręg Wileński ZWZ podlegał bezpośrednio Komendantowi Głównemu ZWZ w Paryżu, gen. broni Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Łączność utrzymywano za pośrednictwem bazy w Kownie, a później bazy „Anna" w Sztokholmie. Komendantem obu tych placówek był ppłk dypl. Tadeusz Rudnicki, ps. „Wierzba".

Podana wyżej w dużym skrócie historia powstania SZP i prze-

istoczenia jej później w ZWZ jest jakby tłem tylko oddalonym nieco od pracy konspiracyjnej, zapoczątkowanej przed powstaniem SZP i prowadzonej już w tym czasie w licznych, nie związanych z sobą komórkach i różnych jednostkach na terenie całej Wileńszczyzny.

W czerwcu 1941 roku pracowałem jeszcze w telegrafie na stacji kolejowej w Landwarowie. Warto podkreślić, że stosunki moje z litewskim już zawiadowcą tej stacji (Bronisław Głowacki przeszedł na emeryturę) układały się więcej aniżeli poprawnie. Kazis Charunas, tak się bowiem nazywał, władał swobodnie językiem polskim, był mądrym i tolerancyjnym człowiekiem, a co, być może, było w tym najważniejsze — miał żonę Polkę.

Wszyscy pracownicy stacji, z wyjątkiem jednego dyżurnego ruchu, zajadłego szaulisa Łaukajtisa, byli Polakami. Ten nacjonalista, wrogo do Polaków nastawiony Litwin, reprezentował ogólne poglądy znacznej części Litwinów, którzy zneutralizowani w okresie okupacji sowieckiej — obecnie, z chwilą nastania okupacji niemieckiej, otrzymali w darze namiastkę rządu za cenę ścisłej z Niemcami współpracy oraz szereg znaczących przywilejów. Faktycznie w rękach ich była cała władza wykonawcza, sterowana tylko przez Niemców. Batalionom litewskim przekazano pod ochronę linie komunikacyjne, wojskowe garnizony, różne wojskowe obiekty, magazyny i inne punkty o znaczeniu strategicznym w okresie wojny.

Utworzono również batalion do zadań specjalnych pod nazwą „Strzelcy Ponarscy", będący w dyspozycji i na wyłącznych usługach niemieckiego gestapo. Batalion ten dał się wkrótce poznać czynami haniebnymi. W utworzonym w lesie w Ponarach obozie rozstrzelano w ciągu kilku lat ponad 100 tysięcy ludzi, o czym będzie jeszcze mowa.

Otwarte przystąpienie Litwinów do szerokiej współpracy z Niemcami spowodowało, że poczuli się oni w sposób widoczny suwerennymi gospodarzami kraju. Niektórzy stali się aroganccy i pewni siebie, bardziej bezwzględni, bardziej też nieprzejednany stał się ich stosunek w wielu sprawach do Polaków. Niemieckie zarządzenia o charakterze gospodarczym i administracyjnym realizowali kosztem ludności polskiej.

Niemieckie gestapo znalazło wkrótce swego wiernego sługę i sojusznika w postaci powstałego urzędu bezpieczeństwa Litwy, tak zwanej „Saugumy". Ostrze działalności tej jednostki skierowane było w zasadzie przeciw Polakom, głównie zaś przeciw członkom Armii Krajowej.

W tych nowych warunkach trudnego dla Polaków bytowania, gdy

ze strony głównego wroga, to jest Niemców, groziło na każdym kroku i o każdej porze niebezpieczeństwo, usłużny litewski policjant czy pracownik urzędu bezpieczeństwa rozliczał z Polakami swój rachunek historyczny, dotyczący zajęcia i przyłączenia do Polski w 1920 roku przez generała Lucjana Żeligowskiego spornego Wilna. Jątrzyła się ta sprawa przez lat dwadzieścia, aby wybuchnąć teraz w formie brutalnych aktów, np. dokonywanych na spółkę z gestapowcami nagonek i okresowych łapanek młodzieży, połączonych z wywozem na roboty w głąb III Rzeszy.

Terror niemieckiego okupanta oraz szykany litewskie sprawiły, że wileńska konspiracja podjąć musiała walkę o przetrwanie polskiej ludności, mając nieugiętą wolę odniesienia wspólnie z całym krajem końcowego zwycięstwa i odzyskania ustraconej niepodległości. Zwiększyliśmy więc tempo pracy, położyliśmy większy nacisk na rozwój naszej Organizacji Wojskowej pod względem ilościowym, intensywniejszymi stały się wysiłki w celu powiększenia arsenałów posiadanej broni.

Podległe mi drużyny pchor. „Halnego", „Żuka" i „Witolda" rozrastały się coraz bardziej ewidencyjnie, ciesząc stażem i wojskowo-partyzanckimi kwalifikacjami. Podniosłem więc je wkrótce do rangi plutonów, by stały się w ten sposób pierwszą na moim terenie działania kompanią o przygotowaniu partyzanckim. Na dowódcę kompanii powołałem pchor. „Witolda", dowódcę najliczniejszego plutonu, natomiast podchorążych „Halnego" i „Żuka" mianowałem dowódcami plutonów. Na wakujące miejsce po „Witoldzie" dowódcą plutonu wyznaczony został pchor. Tadeusz Adamowicz, ps. „Tadek". Powstałe w tej kompanii nadwyżki w stanie osobowym przekazałem wraz z nowo mianowanym dowódcą plutonu plut. Bojko — ppor. Antoniemu Świetlikowskiemu, ps. „Włodzimierz", który w drugiej połowie 1941 roku rozpoczął organizowanie w batalionie kolejnej kompanii.

W skład przekazanego plutonu weszli również tak wyróżniający się żołnierze konspiracji, jak: Henryk Kosiński, ps. „Goryl", Mieczysław Sakowicz, ps. „Rakieta", Zygmunt Andrys, ps. „Wyrwa", Edmund Lewkowicz, ps. „Kalina", Franciszek Ostrowski, ps. „Franek", Mieczysław Jachimowicz, ps. „Czarski" oraz „Żuk", „Łukasz" i inni.

Kompania ppor. „Włodzimierza", dzięki zdolnościom organizacyjnym jej dowódcy, rozwinęła się szybko i w niedługim czasie stanowiła najliczniejszy w batalionie kadrowo oddział, skupiający aż czterech oficerów.

Na przełomie lat 1941—42 skład osobowy obu kompanii przedstawiał się następująco:

Kompania 4
Dowódca komp. — pchor. Edward Kieda, ps. „Witold"

Pluton 1 — dowódca pchor. Tadeusz Kowzon, ps. „Żuk"
Pluton 2 — dowódca pchor. Tadeusz Adamowicz, ps. „Tadek"
Pluton 3 — dowódca pchor. Kazimierz Cis, ps. „Halny"

Kompania 5
Dowódca komp. — ppor. Antoni Świetlikowski, ps. „Włodzimierz"
Pluton 1 — dowódca ppor. rez. . . . . ps. „Józef"
Pluton 2 — dowódca ppor. rez. Burzyński, ps. „Bury"
Pluton 3 — dowódca ppor. lot. Piotr Bujwid, ps. „Piotr"
Pluton 4 — dowódca plut. rez. Bojko, ps. „Mały"

Do utworzenia kolejnej kompanii niestrudzony wciąż w pracy organizacyjnej „Andrzej" przekazał mi porucznika zawodowego Michała Hrynkiewicza, ps. „Michał", przebywającego formalnie na terenie Wilna. Posiadając ausweis i zaświadczenie pracownika Fabryki Butów Brewińskiego, miał swobodę poruszania się w terenie jako zaopatrzeniowiec.

Słów kilka poświęcić należy Fabryce Butów Brewińskiego. Fabryka wytwarzała buty dla wojsk niemieckich, była jednocześnie schroniskiem dla wielu akowców, którzy korzystając z wystawionych tam zaświadczeń pracy, oddawali się spokojnie działalności w Organizacji. Tu właśnie azyl przed gestapo i Saugumą znaleźli między innymi porucznik zawodowy Wacław Pietkiewicz, ps. „Mocny", brat jego Piotr Pietkiewicz, porucznik Wacław Sawicz i wielu innych. Z pewnej części produkcji tej fabryki korzystała również Armia Krajowa.

Porucznik Michał Hrynkiewicz wynajmował pokój sublokatorski dzięki znajomości „Andrzeja" przy ulicy Zakretowej, gdzie też odbywałem z nim czasami konspiracyjne spotkania. Działałem poza Wilnem, dlatego polecając rozwinięcie nowej kompanii, przekazałem mu jednocześnie już przeze mnie utworzone nieduże grupy wojskowe, będące jej zalążkiem. Dowódcami ich byli:

1. pchor. rez. Mieczysław Kondratowicz, ps. „Miecz" — Rudziszki,
2. ppor. rez. Czesław Kliks, ps. „Lucjan" — Kolonia Wileńska,
3. ppor. rez. Edward Strzelecki, ps. „Strzelec" — Hoduciszki.

Pchor. „Miecz" pracował do 1941 roku ze mną w Landwarowie, mieszkał natomiast w Rudziszkach, gdzie zorganizował pododdział wojskowy przy ważnym szlaku kolejowym Wilno-Orany-Warszawa.

Podporucznik „Lucjan" pracował w charakterze dyżurnego ruchu w Kolonii Wileńskiej, tu też działał w konspiracji, oprócz pracy liniowej organizował oraz prowadził wywiad kolejowy, o czym piszę szczegółowiej w dalszej części relacji.

Podporucznik „Strzelec" — to zawiadowca odcinka drogowego w Hoduciszkach. Białorusin. Oby takimi patriotami byli wszyscy Polacy. Na swoim terenie w Hoduciszkach powołał sprawnie funkcjo-

nujący pluton nieźle uzbrojonych ludzi, wspierając okolicznych polskich chłopów w biernym bojkocie przekazywania na rzecz Niemców rekwirowanego żywego inwentarza.

Jak z relacji z tego okresu poszczególnych działań wynika, okupacja niemiecka w latach 1941—42 oraz połączone z nią szykany administracji litewskiej zmusiły do zmiany przyjętej dotychczas w pracy podziemnej taktyki. Ofiarą wzmagającego się terroru padała ludność polska. Podziemna armia polska musiała ją osłaniać i bronić! Było to nakazem chwili.

Na stacji kolejowej w Landwarowie pracowałem do lipca 1941 roku. Wojna niemiecko-sowiecka postawiła przed koleją zwiększone zadania. Wzrosła ilość wojskowych pociągów, linie komunikacyjne były przeciążone, służba ruchu wymagała radykalnych zmian i usprawnień organizacyjno-technicznych. Teraz praca na kolei prowadzona była w językach litewskim i niemieckim i oba te języki należało znać dobrze. Miałem je już opanowane.

W sierpniu przeniesiony zostałem na stację o nazwie Blok-409 położoną pięć kilometrów od Wilna. Grafik dyżurów ustawiłem w ten sposób, że po jednej dobie ciągłej pracy — miałem dwie wolne. Idealne wprost warunki do pracy w konspiracji. Protegującym mnie jest Kazis Charunas, mój były zwierzchnik z Landwarowa, w tym czasie wysoki już urzędnik w wileńskiej Dyrekcji na stanowisku naczelnika ruchu. Posiadał wtedy pełną dyspozycyjność personalną w zakresie obsady średnich i wyższych stanowisk służby ruchu na wszystkich stacjach Dyrekcji Wileńskiej.

Z awansu tego człowieka cieszyłem się znacznie więcej aniżeli ze swego. Bowiem swój awans traktowałem jako rzecz o znaczeniu doraźnym, natomiast tak znaczący awans Kazisa Charunasa otwierał przede mną drogę pomocy członkom Organizacji. W tym okresie tworzono siatkę wywiadu kolejowego w węźle wileńskim, w czym byłem bezpośrednio zaangażowany. Było to jednak w mojej pracy konspiracyjnej zadanie o znaczeniu wtórnym. Wykonywanie jej pokrywało się z pełnionymi przeze mnie obowiązkami służbowymi, natomiast sterującym tą odpowiedzialną robotą był porucznik rezerwy Jerzy Łoziński, oficer wywiadu Komendy Okręgu, któremu dostarczałem zebrane z poszczególnych stacji kolejowych raporty.

Dzięki przychylnej postawie K. Charunasa mogłem właściwie obsadzić członkami Organizacji wszystkie stacje, a na miejsca brakujące skierować odpowiednich ludzi na kolejowe kursy szkoleniowe, organizowane przez Dyrekcję Kolei. Po ich pomyślnym ukończeniu kursanci kierowani byli do miejsc pracy.

Zdążyłem już wspomnieć, że Kazis Charunas sprzyjał, na ile tylko mógł, Polakom. Mnie jednak i Cześka Kliksa traktował serdeczniej, z czym się zresztą nie krył. Zapraszał nawet do siebie do domu na

gościnne przyjęcia. Cieszyliśmy się również przychylnością jego żony, Polki. Ukształtowała się sytuacja bardzo wygodna, niemal rodzinna. Jedynie fakt, że wykorzystywałem to również koniunkturalnie dla dobra swojej Organizacji, utrzymując to w tajemnicy — stawiał mnie w roli niewdzięcznika. Bóg mi to, sądzę, wybaczy. Kazisowi Charunasowi i jego przemiłej żonie poświęciłem trochę miejsca, bo też na to naprawdę w pełni oboje zasłużyli. Na tle ogólnie spotykanej niechęci a często także nienawiści Litwinów do Polaków — stosunek tej pary do nas był po prostu darem niebios.

Z por. Jerzym Łozińskim skontaktował mnie ppor. „Lucjan", kolega mój i bliski przyjaciel jeszcze z ławy szkolnej i wyczynów na niwie sportowej. Jerzy Łoziński zaś był bliskim kolegą Cześka. Koło zaufania było szczelnie zamknięte. Spotkanie ze mną zainicjował Jerzy Łoziński. Odbyło się ono u niego w mieszkaniu w obecności Cześka. Rozmowa była krótka i nie wymagała przygotowania. Jerzy zaproponował mi nawiązanie z nim współpracy. Chodziło o wykorzystanie moich możliwości zorganizowania na kolei siatki wywiadu. Potrzebne były informacje o ruchach wojsk niemieckich na liniach kolejowych. Głównie szło o ludzi i przerzuty wojskowego sprzętu.

Zgodziłem się na to bez chwili wahania. Ceniłem zawsze w każdej pracy rozmach i zaangażowanie. Ta nowa praca wynikała częściowo z moich obowiązków zawiadowcy stacji. Potrzebnych Jerzemu informacji nie musiałem zdobywać z narażaniem swojej osoby. Miałem je bowiem często w dokumentach na swoim biurku służbowym. W innym wypadku, kiedy odprawiałem na stacji pociąg, należało tylko przekazać liczbę znajdujących się na platformach czołgów, samochodów czy armat. Wysiłek przy tym był mały, a wartość informacji niewspółmiernie do wysiłku ogromna. Dziś dopiero wiemy, że z informacji tych korzystał również sztab armii aliantów.

Pracę tę należało rozpocząć od zorganizowania siatki wywiadu. Węzeł kolejowy wileński obsługiwał pięć kierunków:

1. Wilno—Orany—Warszawa—Zachód.
2. Wilno—Kowno—Leningrad.
3. Wilno—Podbrodzie—Oszmiana—Wschód.
4. Wilno—Podbrodzie—Postawy—Królewszczyzna.
5. Wilno—Lida—bocznica na lotnisko Porubanek.

Wszystkie leżące na tych liniach kolejowych stacje obsadziłem wyłącznie członkami konspiracji — zawdzięczałem to K. Charunasowi. Korzyść z tego była podwójna: zapewnione zostało sprawne działanie siatki wywiadu, a zatrudnieni tu członkowie Organizacji mieli bezpieczne, chroniące przed wywózką do Niemiec alibi. Zdobyli też większą swobodę przy poruszaniu się w terenie, co miało

ogromne znaczenie przy wykonywaniu określonych zadań konspiracyjnych.

Informacje z pięciu linii komunikacyjnych składały się na informację zbiorczą, którą, podawaną szyfrem, przekazywałem co miesiąc por. Jerzemu Łozińskiemu. Zbierającymi te informacje na stacjach byli w zasadzie dyżurni ruchu, którym zakres pełnionych obowiązków służbowych umożliwiał obserwację zwiadowczą bez ściągania na siebie jakichkolwiek podejrzeń. Kazis Charunas, zatrudniając na moją prośbę Polaków, kierował się jedynie życzliwym do nas stosunkiem. Powstaje pytanie, czy był świadomy roli, jaką Polacy spełniali w konspiracji. Jako człowiek wykształcony i inteligentny, znając panującą na Wileńszczyźnie sytuację polityczną, nie mógł nie wiedzieć lub nie domyślać się, że Polacy konspirują, z utraconej niepodległości na pewno nie zrezygnowali i tradycyjnym już zwyczajem spiskują. Tak, sądzę, myślał i po swojemu i z wyrozumiałością to tłumaczył. Że nigdy nie podjął ze mną na ten temat rozmowy — tym większe dla niego uznanie i szacunek. Na moją prośbę zatrudnił na kolei ponad 20 młodych, wykształconych ludzi. Wszyscy oni byli członkami polskiego podziemia, a wielu z nich miało stopnie oficerskie. Późno jednak dziś na rozważania, czym się naprawdę wtedy kierował ten szlachetny i wspaniały Litwin. Takim bowiem utrwalił się w mojej pamięci, na taki sobie wizerunek solennie zasłużył.

Ster kierowania pracą Wileńskiej Dyrekcji Kolejowej spoczywał w rękach niemieckich, natomiast władza wykonawcza w przeważającej części należała do pracowników litewskich. Za to obsługę stacji i ruchu pociągów w 90% stanowili Polacy. Sytuacja ta wynikała z aktualnego układu kadrowego od czasu wybuchu wojny oraz możliwości personalnych Wileńskiej Dyrekcji.

Oto jeden tylko z przykładów, który na panujące wtedy na kolei stosunki rzuci odrobinę światła i przybliży panujące warunki codziennej pracy. W styczniu 1942 roku otrzymałem służbowe przeniesienie na dotychczas pełnione przez siebie stanowisko, ale na stację na linii oszmiańskiej. Należy podkreślić, że na tym terenie rozpoczęła wtedy działanie partyzantka sowiecka. Obecność swoją zaznaczyła częstym minowaniem torów i wysadzaniem w powietrze pociągów. Przeprowadzając jednocześnie napady na stacje kolejowe, uprowadzała z sobą pracowników stacji, którymi przeważnie byli Polacy. Słuch po nich wtedy wszelki ginął, natomiast wieść niosła, że byli oni w lesie rozstrzeliwani. Działalność ta miała już charakter stosowanego w stosunku do ludności polskiej terroru. Uprowadzano zresztą nie tylko pracowników kolei. Wiedziałem, że korzystają z informacji swego wywiadu i kierują się sobie tylko znanymi przesłankami dotyczącymi aktualnego postępowania i polityki.

Trafiając na tak niebezpieczny odcinek pracy, musiałem przez

zwykłą tylko ciekawość rozeznać, co było przyczyną mego tu przeniesienia. Zwróciłem się z tym oczywiście do swego zaufanego i serdecznego dobroczyńcy Kazisa Charunasa. Wyjaśnił mi to bez namysłu. Poprosił jednak o dyskrecję. Otóż wiadome służby niemiecko-litewskie podejrzewały mnie o przynależność do polskiego podziemia, nie miały jednak żadnych dowodów na to. „Miałem nawet trochę z tego tytułu przykrości" — powiedział mi Kazis. I dodał: „Uważają, że tacy ludzie, jak pan, nie mogą nie należeć". Zastanowił się na chwilę i zakończył: „Niech pan uważa — śledzą pana". Stąd wynikła ich decyzja o przeniesieniu. „Linia jest niebezpieczna, niech więc tam pracuje, dalej będzie od Wilna" — zakończyli swoją z Kazisem Charunasem rozmowę.

Poznanie prawdy miało swoje znaczenie, wiedziałem, co o mnie „przełożeni" myślą i czego w pewnych momentach mogę się jeszcze od nich spodziewać. Powyższy przypadek nie miał oczywiście żadnego ujemnego wpływu na naszą serdeczną znajomość z Charunasem, większy tylko teraz poczułem dla jego osoby szacunek, głębsze stało się uznanie. Z pewnością domyślał się, że załatwiając na moją prośbę pracę dla tak wielu osób, pomaga organizacji. Rozumiał jednocześnie, że nie mogę mu tego powiedzieć.

Skoro przedstawiłem kartę o wywiadzie, nie sposób nie wspomnieć o poruczniku Jerzym Łozińskim. Postać to tak świetlana, a los, który mu zgotowano już w rodzimym kraju, tak szyderczo był okrutny — że napisać tylko o tym — to mało. Porucznik Jerzy Łoziński mieszkał w Wilnie, w dzielnicy Kominy, tuż przy stacji towarowej. Bywałem tam co miesiąc przez lat kilka, choć nazwy ulicy już nie pamiętam. Staruszka matka i dwaj młodsi bracia to Jerzego rodzina. Żyli skromnie, żeby nie powiedzieć biednie. Znalazła w tej rodzinie schronienie również 18-letnia Wiktoria Sawicka, maturzystka z Grodna, która przyjechała tu na lato w 1939 roku, a wrześniowa pożoga wojenna tu ją zatrzymała na lata okupacji.

Wszyscy trzej synowie Łozińscy — to żołnierze najpierw ZWZ, potem Armii Krajowej. Staruszka matka dzielnie im w tej niebezpiecznej pracy sekundowała. Rolę główną w tej pracy grał Jerzy. Był oficerem wywiadu w Komendzie Okręgu Wileńskiego ZWZ i AK. Kierował również pracą wywiadu kolejowego, o którym już wspomniałem. Ale nie tylko. Nam, pracującym w tym wywiadzie na kolei, dostarczał nie znanej mi produkcji butelki z benzyną z zapalnikiem zegarowym, które wrzucaliśmy w nocy do odprawianych przez nas pociągów wojskowych idących z Niemiec na front wschodni.

Wrzucone do towarowych pociągów butelki, w rezultacie ciągłego ruchu pociągu, zapalały się daleko od miejsca ich wrzucenia, powodując najpierw wybuch, a później pożar. Skuteczność tej formy sabotażu zależała głównie od rodzaju wiezionego ładunku. Był bo-

wiem okres, gdy idące w kierunku Leningradu pociągi załadowane były balami prasowanej słomy. Idące o tym za Zachód nasze meldunki przyjmowane były, o ile mi wiadomo, początkowo z dużym niedowierzaniem. Dopiero gdy Niemcy rozpoczęli ofensywę bronią pancerną właśnie od strony błot jeziora Ładoga, alianci doszli do wniosku, że transporty prasowanej słomy miały swój określony cel. Wermachtowcy układali ją wielowarstwowo, tworząc w ten sposób elastyczną, ale dostatecznie wytrzymałą drogę do przejścia czołgów od strony, którą dowództwo sowieckie uważało za bezpieczną i osłoniętą.

Wiem, że atak Niemców od strony błot się nie powiódł. Z meldunków por. J. Łozińskiego do sztabu aliantów o wysyłanej przez Niemców w pobliże tego miasta słomie korzystali również Rosjanie. Byli chyba o tym uprzedzeni.

Wiem z pewnością, że butelki z benzyną wrzucano nie tylko na poszczególnych, dalej od Wilna położonych, stacjach. Będąc w Wilnie dowiedziałem się, że na stacji towarowej w Wilnie, podczas prowadzonych tam prac przetokowych, w rękach jakiegoś nie zidentyfikowanego młodziana nastąpił wybuch niesionego przez niego przedmiotu. Wybuch był tak silny i niespodziewany, że nawet pracująca w pobliżu przy budowie toru brygada Organizacji Todt czmychnęła szybko do pobliskiego rowu sądząc, że się rozpoczyna atak lotniczy. Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że zanim Niemcy się zorientowali, co zaszło, ryzykancki młodzian zdążył już przeskoczyć kilkanaście dzielących go od wysokiego nasypu stacji torów, a będąc już w swojej dzielnicy, dobrze wiedział, gdzie się należy bezpiecznie ukryć.

Otóż tym ryzykanckim młodzianem był młodszy brat Jerzego Łozińskiego. Różnie z punktu widzenia działania konspiracji oceniać można zaistniały i przytoczony tu wypadek. Jednego tylko człowiekowi temu nie odmówimy: poświęcenia i patriotyzmu! Rozmawiałem o tym już później z Jerzym. Brat dokonał tego sam, nie dzieląc się przed tym zamiarem z nikim. Miał w rezultacie osmalone na szczęście tylko brwi i prawą stronę głowy. Mógł narazić wielu, działając do tego w biały dzień. Skończyło się tym razem na naganie od starszego brata. Miał jednak chłopak w sobie krew rodziny Łozińskich.

Jeszcze o jednym zdarzeniu warto wspomnieć. Tym razem dotyczy to Jerzego. Wieś Bogusze, godzina 18. Zgodnie z życzeniem gen. „Wilka" zebrało się kilkudziesięciu oficerów AK, których bardzo niby pragnął poznać gen. I. Czerniachowski 17 lipca 1944 roku. Była to ohydna ze strony dowództwa sowieckiego pułapka. Skończyło się aresztowaniem i deportacją w głąb Rosji.

Tylko dwóm polskim oficerom udało się ujść z tej przemyślnej zasadzki. Z miejsca trafnie rozszyfrowali ten zdradziecki zamysł.

Po prostu rozepchnęli stojących półkolem bojców z automatami i spokojnie oddalili się w stronę pobliskiego lasu. Uratowali się na razie sami, a powiadamiając o tym, co się stało, kogo należało, uratowali także innych. Jednym z tych dwóch oficerów był porucznik Jerzy Łoziński, drugim por. Banasikowski, ps. „Jeż", lub por. Henryk Borowski.

Przebywałem jeszcze w jednym z katorżniczych obozów Workuty, gdy doszła mnie drogą okrężną wieść niesamowita: por. Jerzy Łoziński, ppor. Henryk Borowski — to ten drugi czy trzeci uciekinier z Bogusz — i dwóch jeszcze, których nazwisk już nie pamiętam — we własnym kraju skazani zostali na karę śmierci za... współpracę z Niemcami! Niewiarygodne ludobójstwo popełnione przez „Polaków" na Polakach-patriotach.

Rodziny rozstrzelanych Polaków, wspaniałych żołnierzy i bojowników o niepodległość Polski, do dziś nie wiedzą, gdzie zakopano ich zwłoki.

Czy się kiedy dowiedzą? Czy doczekają pośmiertnej rehabilitacji... Udało się jednak rodzinom sądzonych i pomordowanych uzyskać nieco informacji, warto więc je przytoczyć.

Akt oskarżenia zarzucał współpracę z Niemcami, straszenie komunistów bronią oraz współpracę z rządem w Londynie. Oskarżonych sądzono w dwóch grupach: Jerzego Łozińskiego, Władysława Subortowicza i dołączonego do nich nieznanego bliżej Milwida — w Bydgoszczy, natomiast Henryka Borowskiego i Antoniego Olechnowicza w Warszawie. Pomijając Milwida, wszyscy pozostali to oficerowie AK Okręgu Wileńskiego. Podczas rozprawy w Bydgoszczy nie sądzono Edwarda Petrulewicza, który zmarł w okresie śledztwa, a był to człowiek jeszcze młody. Jerzy Łoziński, Henryk Borowski i Władysław Subortowicz skazani zostali na karę śmierci.

W Warszawie, na zewnętrznej stronie cmentarnego kościoła na Bródnie widnieje pamiątkowa tablica. Wyryte są na niej nazwiska i pseudonimy Jerzego Łozińskiego, Władysława Subortowicza i Henryka Borowskiego. Napis głosi, że jako członkowie AK polegli w walce o wolność Ojczyzny.

W Bydgoszczy rodzinom pomordowanych udało się dowiedzieć o miejscu przypuszczalnych mogił. Po odkopaniu stwierdzono autentyczność zwłok porucznika Jerzego Łozińskiego, ps. „Jurek", oraz podporucznika Władysława Subortowicza, ps. „Hanusz". Ciała złożone były w osobnych skrzyniach po obuwiu.

Podczas rozprawy obaj zachowali niezwykłą powagę i godność. Jerzy Łoziński oświadczył, że walczył w latach okupacji o Polskę, ponieważ był oficerem II Rzeczypospolitej, składał na jej wierność przysięgę, z której nikt go dotąd nie zwolnił. Poruszył też sprawę

mordu w Katyniu, powodując przez to pewne zamieszanie w rozprawie. W rezultacie zarządzono przerwę.

O Władysławie Subortowiczu prasa w relacji z procesu doniosła z ironią, że w swym końcowym przemówieniu zachował się tak, jakby oczekiwał na wysokie odznaczenie, a nie karę śmierci.

Piszę o tych wydarzeniach z ciężkim sercem i bólem. Znałem ich wszystkich bardzo dobrze z ofiarnej pracy w konspiracji. Edek Petrulewicz i Władek Subortowicz to wspaniali, starsi koledzy z ławy gimnazjalnej.

Sędziowie mieli pełną świadomość, że skazują ludzi niewinnych, że popełniają mord Polaków o wielkich zasługach. Ludzie o zbrodniczej ideologii wydawali wyroki śmierci ustami dyspozycyjnych sędziów, którzy tymi zbrodniami obciążali również własne sumienia. Niektórzy z nich żyją zapewne jeszcze i dziś, być może, w glorii odznaczeń, dostatni w przywilejach.

Los najmłodszego z braci Łozińskich — Leona — ułożył się znacznie szczęśliwiej. Walcząc w lipcu 1944 roku z Niemcami, osaczony wraz z kolegami z brygady „Szczerbca" w stodole — poniósł śmierć w płomieniach podpalonego przez Niemców budynku. Bowiem walczyli do końca. A działo się to w pobliżu Kolonii Wileńskiej. W ten sposób dzielna grupa Leona Łozińskiego uniknęła oskarżenia już w kraju przez UB o współpracę z Niemcami i zdradę narodu.

ARMIA KRAJOWA

Sytuacja polityczna Wileńszczyzny określona została dekretem Hitlera z dnia 17 lipca 1941 roku: „Administracja terytoriami na Wschodzie", zgodnie z którym na Wileńszczyźnie wraz z Litwą, określonej jako Generalbezirk Litauen, stworzone zostały dwa Gebietskommissariate: Wilna-Stadt pod zarządem Kreisleitera NSDAP Hansa Hingsta i Wilna-Land pod zarządem SS-Obersturmfuhrera Horsta Wulfa. Obok niemieckiego gestapo, służby bezpieczeństwa i policji powstały odpowiedniki litewskie z polityczną Saugumą na czele.

14 lutego 1942 roku Związek Walki Zbrojnej przemianowano na Armię Krajową. Na wiosnę tego roku z Komendy Głównej AK w Warszawie przybyli: mjr Lubosław Krzeszowski, ps. „Ludwik" — obejmując funkcję szefa Sztabu Okręgu Wileńskiego AK — oraz kpt. Teodor Cetys, ps. „Sław" — cichociemny szef Oddziału III Operacyjno-Szkoleniowego.

Komendantem Okręgu został ppłk Aleksander Krzyżanowski (awans na ppłk. 22 stycznia 1942 roku). Zgodnie z przywiezionymi

z Warszawy wytycznymi nastąpiła zasadnicza reorganizacja struktury organizacyjnej AK. Zamiast dotychczasowego podziału na „Dwór" i „Pole" — wprowadzono inspektoraty rejonowe, które z kolei dzieliły się na obwody.

W rezultacie powstało pięć inspektoratów podległych bezpośrednio Komendantowi Okręgu. Nowy schemat organizacyjny Armii Krajowej, opracowany zgodnie z ostatnimi wytycznymi z Warszawy, przedstawiał się następująco:

Komenda Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej po 21.06.1941 r.

Komendant Okręgu — ppł Aleksander Krzyżanowski, ps. „Wilk"
Szef Sztabu — ppłk Lubosław Krzeszowski, ps. „Ludwik"
Oddział I Ogólnoorganizacyjny — ppłk Julian Kulikowski, ps. „Ryngraf", „Witold", „Drohomirski"
Oddział II Wywiad Operacyjny — Stefan Stawiej, ps. „Otto"
Kontrwywiad — sędzia Mieczysław Głębocki, ps. „Cecylia"
Oddział III Operacyjno-Szkoleniowy — mjr Teodor Cetys, ps. „Sław", „Wiking"
Oddział IV Kwatermistrzowski — mjr Kazimierz Heilman, ps. „Tomasz"
Oddział V Łączności — kpt. Stefan Czernik, ps. „Orwat"
Oddział VI BIP — Antoni Kokociński, ps. „Julian", „Tulipan"
Komórka Kedywu — mjr Kazimierz Radzikowski, ps. „Dąbek"
Wojskowy Sąd Specjalny — ppor. czasu wojny Stanisław Ochocki, ps. „Argus"
Służba Duszpasterska, Dziekan Okręgu — ks. ppłk Piotr Rynkiewicz, ps. „Piotr", „Aleks"

Delegatura Rządu

Delegat Rządu — dr Zygmunt Fedorowicz, ps. „Albin", „Józef", „Maria"
Z-ca delegata — dr Jerzy Dobrzański, ps. „Maciej", „Irwit"

Delegatura Rządu działała niezależnie, współpracując z Komendą Okręgu AK. Delegatura Rządu była najwyższą władzą polityczną w Okręgu Wileńskim, podlegała Rządowi Polskiemu gen. Władysława Sikorskiego za granicą. Społeczeństwo reprezentował Konwent Stronnictw podległy Delegaturze Rządu.

Konwent Stronnictw

1. Dr Jerzy Dobrzański — przedstawiciel PPS
2. Prof. Aleksander Zwierzyński — Stronnictwo Narodowe, od czerwca 1940 roku mgr Witold Świerzewski

3. Mjr rez. Władysław Kamiński — Grupa Piłsudczyków
4. Ks. Romuald Świrkowski — delegat Kurii Metropolitalnej

Inspektorat A

1. Komendant Inspektoratu — mjr Antoni Olechnowicz, ps. „Pohorecki"
2. Szef Sztabu — mjr Aleksander Wasilewski, ps. „Olesiński"
3. Oficer Informacyjny — por. Wacław Walicki, ps. „Poręba"
4. Oficer Operacyjny — por. Jan Urbanowicz, ps. „Ryszard"
5. Kwatermistrz — por. Wacław Sawicz, ps. „Emil"
6. Oficer Łączności — kpt. Lewandowski, ps. „Tokarczyk"
7. Oficer Łącznikowy Podinspektoratu Puszczy Rudnickiej — ppor. Roman Korab-Żebryk, ps. „Korab"
8. Adiutant — por. . . . . ps. „Jerzy"

W skład Inspektoratu wchodził również Garnizon Miejski Wilna.

Garnizon Miejski Okręgu Wileńskiego AK

1. Komendant Garnizonu — mjr Leon Koplewski, ps. „Skarbek"
2. Szef Sztabu — kpt. Dąbrowski, ps. „Kryś", w pewnym okresie funkcję tę objął mjr art. Stanisław Skrzecz, ps. „Poleski"
3. Kwatermistrz — por. Kazimierz Pietraszewski, ps. „Kondrat"

Garnizon Miejski składał się z pięciu Dzielnic:

Dzielnica A

Prawa strona Wilii, ul. Kalwaryjska, Zwierzyniec, Werki
Dowódca Dzielnicy — mjr art. Bolesław Zagórny, ps. „Jan"
Rejon 1 — dowódca por. art. Wacław Korzeniowski, ps. „Andrzej"
Rejon 2 — dowódca por. zaw. Wacław Pietkiewicz, ps. „Mocny"
Rejon 3 — dowódca por. art. Władysław Roszkowski, ps. „Biały"

Dzielnica B

Lewa strona Wilii, Śródmieście, Zarzecze płn. i środkowe, Antokol, Belmont, Nowa Wilejka
Dowódca Dzielnicy — mjr Władysław Zarzycki, ps. „Rojan"
Oficer Wywiadu — por. Aleksander Śleszyński, ps. „Jan"
Rejon 1 — dowódca por. Stanisław Wąsowicz, ps. „Słowianin"
Rejon 2 — dowódca por. (kpt.) Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef"
Rejon 3 — dowódca por. Jan Owczarek, ps. „Owczarek" — Nowa Wilejka
Rejon 4 — dowódca por. Leon Tejwan, ps. „Ogniwo" — Zarzecze

Dzielnica C
Markucie, Popławy, Zarzecze płd.
Dowódca Dzielnicy — mjr Topor-Wąsowski, ps. „Nowicki"

Dzielnica D
Nowy Świat, Kolejowa, Lipówka
Dowódca Dzielnicy — kpt. Józef Grzesiak, ps. „Czarny", „Kmita"

Dzielnica E
Tory kolejowe, do lotniska w Porubanku włącznie.

Dzielnica zorganizowana była podobno w końcowym już okresie działania Armii Krajowej, przed akcją na Wilno. Brak dalszych danych o jej działaniu. Podczas walk o Wilno próby ataku na lotnisko dokonał rtm. hr. Stanisław Plater, ps. „Wisling", był to jednak szwadron spieszonej kawalerii z brygady „Szczerbca".

Inspektorat B

Komendant Inspektoratu — mjr Mieczysław Potocki, ps. „Węgielny"
Szef Sztabu — kpt. Jan Kamiński, aresztowany w listopadzie 1943 roku, po nim mianowano na to stanowisko kpt. Jana Smela, ps. „Janusz"
Oficer Informacyjny — por. Michał Siedlicki ps. „Gil"
Oficer Operacyjny — por. Edward Gapik, ps. „Rolland"
Kwatermistrz — por. Witold Ciechanowicz, ps. „Żaba"
Szef Łączności — pchor. Jan Kozłowski, ps. „Jan"
Szef Sanitarny — dr Marian Sylwanowski, ps. „Doktor Jan", od 1943 roku dr Tadeusz Ginko, ps. „Doktor Jan"
Kapelan — ks. Józef Preisser, „Protazy"
Inspektorat obejmował dwa Obwody: Bracławski i Święciański.
Dowódca Obwodu Bracławskiego — ppor. Michał Białokur, ps. „Lech"
Z-ca dowódcy Obwodu — ppor. Stanisław Wołkowski, ps. „Sęk"
Dowódca Obwodu Święciańskiego — kpt. Jan Smela, ps. „Janusz", „Szary", pełnił jednocześnie funkcję z-cy mjr. „Węgielnego", od 1944 roku Stanisław Łuczyński, ps. „Laska".

Inspektorat C

Komendant Inspektoratu — mjr Stefan Świechowski, ps. „Sulima", „Kalina"
Adiutant — por. Jan Drozdowicz, ps. „Trubadur"
Inspektorat obejmował Obwody: Postawski i Dziśnieński.
Obwód Postawski — dowódca . . . . . ps. „Brzoza"

Obwód Dziśnieński — dowódca inż. Eugeniusz Tarasiewicz, od 1943 roku mjr Zenon Gajewski

Wiosną 1943 roku mjr „Sulima" zostaje ciężko ranny, w konsekwencji decyzją Komendy Okręgu nastąpiło połączenie Inspektoratów B i C pod ogólnym dowództwem mjr. „Węgielnego".

Inspektorat D

Komendant Inspektoratu — mjr Zbigniew Brodzikowski, ps. „Rańcza", po nim mjr Czesław Dębicki, ps. „Jarema"
Adiutant — por. Marciszewski, ps. „Achilles"
Szef Sztabu — kpt. M. Kwakszys, ps. „Kowal"
Oficer Operacyjny — por. Edmund Banasikowski, ps. „Jeż"
Oficer Informacyjny — kpt. Adolf Wiśniewski, ps. „Rola"
Szef Łączności — por. czasu wojny Witalis Stacewicz, ps. „Rafał"

Inspektorat obejmował powiaty: oszmiański, starowilejski, a od stycznia 1943 roku: wołożyński, mołodeczański.
Obwód Oszmiański — dowódca por. Witold Turonek, ps. „Tur"
Obwód Mołodeczański — dowódca por. Władysław Burak, ps. „Gajewski", a po nim por. Adam Walczak, ps. „Nietoperz".

Inspektorat E

Komendant Inspektoratu — dr Stanisław May. Obejmował Litwę — Okręg Podkowieński
Szef Sztabu — por. Wincenty Chrząszczewski, ps. „Kruk"

Dwa niezmiernie ważne lata pracy w konspiracji mieliśmy już za sobą. Armia Krajowa stała się symbolem narodu walczącego. Wchodziliśmy już w drugą połowę 1942 roku. W moim batalionie powstały już i rozwijały się trzy kompanie. Sytuacja i zakres działania wymagały zwiększonej kontroli rozrzuconych w terenie oddziałów, znacznie więcej już musiałem poświęcić tej pracy czasu, dotychczasowy system łączności wymagał usprawnienia. Coraz to więcej napływało odgórnie rozkazów, poleceń i ostrzeżeń. Gestapo i litewska Sauguma raz po raz dawały o sobie znać jakąś groźną akcją. Sytuacja polityczno-społeczna wymagała przyśpieszonego działania. Zwiększano już stany liczbowe oraz magazyny broni.

A trzeba było pamiętać, że to czas okupacji, że ukrywamy się i działamy pod stałym zagrożeniem gestapo i Saugumy. Jeden z czo-

łowych pracowników Saugumy Marian Podobas to mój najbliższy sąsiad z ulicy Trzecia Słomianka, znajomy jeszcze z lat szkolnych i wspólnych kąpieli na pobliskich, u podnóża Gór Szeszkińskich położonych, stawach. Ale czy te wszystkie „zażyłości" mogą być gwarantem mego bezpieczeństwa dziś, podczas wojny, gdy od dobrych kilku lat nie spotykaliśmy się ze sobą, wiedząc o sobie dostatecznie dużo?... Ilekroć tylko myślałem o nim, pojawiała się iskierka nadziei, ale realna ocena sytuacji i rozumienie tego, co nas dzieli, zalecało jak najdalej idącą ostrożność i konieczność, aby być przygotowanym na najgorsze. Sytuacja więc zaostrzyła się, warunki konspiracji stały się trudniejsze, należało wzmóc środki ostrożności.

Zaistniała uzasadniona potrzeba powołania kobiecej siatki łączności. Wymagały tego sprawność dowodzenia całością oraz związane z tym bezpieczeństwo organizacji. Kandydatkę na drużynową miałem nawet w niedalekim sąsiedztwie. Mieszkała z matką przy ulicy Trwałej 10, maturzystka, ps .„Mucha".

„Mucha" podejmuje się organizacji drużyny łączniczek i sanitariuszek. Dopiero po złożeniu przysięgi zeznała, że matka działa w konspiracji już od roku. Wiadomość była pocieszająca w myśl powiedzenia, że jabłko niedaleko spada od jabłoni. Do pracy zabrała się z werwą i sprawnie. Odpowiednich dziewczyn w dzielnicy nie brakowało. Angażuje je z grona byłych uczennic wileńskich gimnazjów i liceów. Ze skompletowaniem drużyn nie było kłopotu. Dziewczęta rwały się same do pracy w podziemiu, garnęły się do niej z godnym odnotowania zapałem. Obowiązki swoje wykonywały sprawnie, z wyraźnym poczuciem ważności nowych zadań i dyscypliny. Zaprzysięgane były przez „Muchę", od niej także otrzymały pierwszy instruktarz i podstawowe zasady konspiracji.

Najpierw przejść musiały przeszkolenie z zakresu służby łączności. Ponieważ w dalszej pracy konspiracyjnej łączniczki kontaktować się będą ze mną, wolałem przeprowadzić z nimi kurs, nie dekonspirując innych. Wykłady odbywały się dwa razy tygodniowo w mieszkaniu drużynowej „Muchy" i trwały miesiąc. Już w czasie wykonywania pierwszych zadań służbowych dało się zauważyć, że czas nauki wykorzystany został właściwie, a niezbędna wiedza przyswojona w stopniu wystarczającym. Poprzez dalszą praktykę poczynią dalsze postępy, a doświadczenie i wrodzony spryt kobiecy z niejednej trudnej i niebezpiecznej opresji pozwolą wyjść.

Pełnienie funkcji łączniczki jest nie tylko ważne, ale i niebezpieczne. Przenoszenie meldunków i broni, najczęściej w biały Boży dzień obok rozstawionych niemieckich posterunków — tego dokonywały nasze odważne, w duchu patriotycznym wychowane polskie dziewczęta.

W moim 2 batalionie skupiło się ich 24, w dwóch drużynach po 12 dziewcząt w każdej. Oto one: „Cyganka" — córka naczelnika poczty

w Wilnie, mieszkająca przy ulicy Krakowskiej, „Jaskółka", „Irena", „Wira" — Regina Rutkowska, „Pola" — Danuta Żelaniec, zamieszkała przy ulicy Zawalnej, „Żuczek" — zwana Małą Joasią, zamieszkała przy ulicy Archangielskiej, „Myszka", dwie siostry: „Dziunia" i „Basia", „Zbyszek" — Krystyna Dąbrowska, zamieszkała przy ulicy Lwowskiej 12/3 (obecnie mieszkająca w Olsztynie, ulica Profesorska 4/6, po mężu Ptakowa), „Ala", „Jola", „Linda" — Halina Arcimowiczówna (obecnie zamieszkała we Wrocławiu, pracuje jako nauczycielka), „Hania" — Stenia Szantyrówna (obecnie zamieszkała w Warszawie, ulica Bonifacego 87/50, po mężu Powolna), Anna Norska, „Hanka" (mieszkająca we Wrocławiu, ulica Jelenia 46/6, po mężu Grzywaczowa).

Znałem je wszystkie tylko z pseudonimów, nie z nazwiska, bliższe dane poznałem tylko niektórych z nich i to już z korespondencji po moim powrocie z łagrów Workuty po roku 1956. Wiele dziś bym dał, aby ktoś powiedział, gdzie te wspaniałe i ofiarne w pracy dziewczęta są, czy żyją, co porabiają, jak się czują i co myślą o tamtych dawnych latach naszej wspólnie przeżywanej w mieście Mickiewicza i Słowackiego młodości. Dały się wtedy porwać, jak całe patriotycznie wychowane pokolenie, nurtowi miłości Ojczyzny, wielkiemu umiłowaniu prawdziwej, wymarzonej wolności.

Tymczasem batalion rozrósł się daleko poza wyznaczone mu schematem organizacyjnym granice, określone jako Wilno-Śródmieście. Życie okazało się silniejsze od instrukcji i przepisów. Wydłużyły się znacznie drogi przenoszenia meldunków i informacji, rozkazów czy zwykłych nieraz poleceń. Przeniesienie do tajnego magazynu nowo zdobytej broni, przetransportowanie na wskazane miejsce zdobytego szczęśliwie, a objętego surowym zakazem posiadania, odbiornika radiowego — te trudne często w wykonaniu i niebezpieczne już w swoim założeniu obowiązki łączniczki wykonywały z podziwu godną precyzją i karnością, a przede wszystkim skutecznie.

Każdą taką akcję przeżywały głęboko, traktowały poważnie i odpowiedzialnie. Bo też i warunki, w których wykonywały powierzone zadania, były zawsze niebezpieczne. Ulice miasta stale patrolowane były przez niemiecką żandarmerię i litewską policję. Wszystkie mosty, urzędy i wszelkie obiekty wojskowo-strategiczne pilnowane były przez straż specjalną. Każdy podejrzany osobnik zatrzymywany, legitymowany i badany. Poruszać się w takich warunkach po mieście nawet z pustymi rękami, jedynie ze świadomością, że się jest żołnierzem Armii Krajowej, wymagało opanowania i choćby tylko zwykłego żołnierskiego hartu.

Gdy przechodziłeś koło takiego patrolu z przewieszonym na ramieniu pod płaszczem i gotowym do strzału automatem lub ukrytym pistoletem w wewnętrznej kieszeni marynarki, ponieważ wymagało

tego zlecone ci do wykonania zadanie, chwile te przeżywałeś w napięciu, z dreszczykiem emocji, niekiedy spotęgowanym odczuciem najbardziej naturalnego każdemu człowiekowi lęku, a nawet strachu. Człowiek szedł niby normalnie, udając nawet przesadne zobojętnienie, a serce waliło jak młotem, jakby miało za chwilę się rozerwać.

To przeżywali żołnierze AK w biały dzień wykonujący zadania specjalne. A ja na tym miejscu piszę o dziewczętach konspiracji. Czasami siedemnastoletnich, delikatnych, uroczych, naszych konspiratorkach wilniankach.

Szły tym razem przez most Zwierzyniecki, choć miały go obejść od strony Sołtaniskiej, skracając sobie w ten sposób znacznie drogę i unikając niepotrzebnych zagrożeń. A bagaż miały wyjątkowo ciężki. Niosły na kiju kosz z bronią przykryty warstwą bielizny. Już w połowie mostu zauważyły na jego końcu stojący patrol żandarmerii niemieckiej z przewieszonymi na piersiach błyszczącymi blachami. Na moment zawahały się: iść dalej czy zawrócić?... Żandarmeria już je dostrzegła. Odwrót natychmiast zwróci uwagę patrolu i wzbudzi naturalne w takich przypadkach podejrzenie. Sto myśli naraz przewala się przez głowy dziewcząt. Każda z nich przyprawia o dreszcze i sztywnienie nóg. Świadomość, że nie mogą zdradzić swego zdenerwowania, przynosi chwilową równowagę. Co robić, jak w tej sytuacji postąpić? Wyboru już nie ma. Idą więc, bo iść muszą...

Z miejsca złagodniały, a na ich twarzach wykwitł łagodny, przypominający naturalny uśmiech. Gdy się zbliżyły, jeden z żandarmów dał znak ręką, żeby się zatrzymały. Serca z miejsca zabiły gwałtownie, a w nogach poczuły pudy wlanego gwałtownie ołowiu. Stanęły w miejscu, dygocąc wewnętrznie jak dwie na wietrze osiny. Nie puszczały jednak kosza z rąk. Niemiec podszedł wolnym krokiem do dziewcząt i, wskazując ręką na kosz oraz dwuznacznie się uśmiechając, zapytał: „Was tragen Sie in diesen Gepäck?" (Co panie niosą w tym bagażu?) I nie czekając odpowiedzi, sięgnął ręką po leżące na wierzchu prześcieradło.

„Mucha" i „Zbyszek" zamarły z przerażenia (one to właśnie niosły ten niebezpieczny kosz). „Mucha" sięgnęła szybko pamięcią po cały zdobyty w gimnazjum repertuar swojej wiedzy z języka niemieckiego i pośpiesznie wypaliła jak z procy: „Entschuldiegen Sie, meine Mutter ist austeckend krank" (Przepraszam pana, moja matka jest zakaźnie chora). Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Niemiec cofnął rękę z kosza i spojrzał z niedowierzaniem na mówiącą. „Mucha" odetchnęła z ulgą i już z filuternym uśmiechem na twarzy ciągnęła: „Wir tragen Mutterswasche zur Waschanstalt" (My niesiemy bieliznę matki do miejskiej pralni). „Es braucht Desinfektion" (To musi przejść dezynfekcję) — zakończyła szybko, obdarzając Niemca już całkiem swobodnym uśmiechem.

Niemiec jakby nieco złagodniał, raz jeszcze z niedowierzaniem rzucił okiem w stronę kosza i odwzajemniając się zmieszanym nieco wyrazem twarzy, rzekł: „Bitte sehr, Sie sind frei" (Proszę bardzo, panie są wolne). Dla pewności „Mucha" obdarzyła jeszcze wpatrzonego w nią Niemca „oczkiem" i dziewczęta spokojnym już krokiem, choć wzburzone jeszcze tym, co przed chwilą przeżyły, przyśpieszając zginęły za najbliższym zakrętem ulicy.

Przytoczyłem jedno tylko z wielu podobnych przeżyć. Były chlebem powszednim. Każda z nich przeżyła chwil grozy przez okres kilku lat okupacji bez liku. Kto wszystkie je zliczy, opisze czy choć tylko innym przygodnie opowie. Czyż nie są tego warte nasze kochane wileńskie dziewczęta, dzielne i odważne łączniczki Armii Krajowej?

W workuckim lagrze „Kirpiczny" była lwowianka, ps. „Krystyna". Obdarzono ją wyrokiem 20 lat katorgi. Była łączniczką Armii Krajowej Okręgu Lwów. Gdy wychodziła z domu — ręce trzymała najczęściej w staroświeckiej mufie. A czyniła tak nie dlatego, że chroniła je przed zimnem. W mufie, w jednej ręce trzymała odbezpieczony rewolwer. To na wszelki wypadek. Czasy okupacji Lwowa były groźne i o niechciane spotkanie wcale nie było trudno.

Gdy w 1944 roku przyszli Sowieci i swoje „normalne" porządki rozpoczęli od aresztów — „Krystyna" ulotniła się z domu, szukając schronienia u znajomych. Jednak NKWD na nią czyhało. Spotkali ją przypadkowo w mieście. Dranie wiedzieli, że chodzi z bronią. Dwóch podeszło z tyłu i chwyciło ją jednocześnie za ręce. Tym razem sienkiewiczowska Jagienka okazała się bezradna. Wspaniała malarka, wspaniała dziewczyna.

Rozkaz Komendy Okręgu AK o stosowaniu maksymalnych środków ostrożności w każdej akcji i w każdym przypadku obowiązywał zawsze, od pierwszego dnia jej powstania, bezpieczeństwo bowiem jej żołnierzy było naczelną troską. Każde aresztowanie stwarzałoby jednocześnie zagrożenie dla organizacji. Torturowany (a gestapo z tego słynęło) mógł ciężkiej próby nie wytrzymać, mógł się załamać. Byli to ludzie i nie każdego mogło stać na to, aby wytrzymać ból łamanych żeber, wbijania pod paznokcie stalowych szpilek i, po tym wszystkim śmierć z zaciśniętymi z bólu zębami — nie wydając nikogo! A „wsypy" jednak od czasu do czasu, większe lub mniejsze, zdarzały się i to w kadrze oficerskiej.

Łączniczki dzięki wzorowo wykonywanym zadaniom uchroniły wielu naszych ludzi przed wpadką. Stało się to możliwe dlatego, że dziewczętom zadania te wykonywać było łatwiej, ściągały na siebie mniejszą uwagę wrogich organów bezpieczeństwa. Nie umniejsza to w niczym ich zasług, były bowiem w akcjach nie tylko odważne, mądre, a gdy wymagała tego sytuacja sprytne. Kierowały się w takich okolicznościach w równym stopniu rozumem jak i intuicją.

Niejedno dawałem do wykonania trudne zadanie, a gdy było ono już zrealizowane, przyjmowałem to jako rzecz normalną, jak normalnie się przyjmuje każde żołnierskie wykonanie polecenia czy rozkazu. Działo się tak zapewne dlatego, że wszyscy bez wyjątku żyliśmy i pracowaliśmy w jednakowo ciężkich i niebezpiecznych warunkach okupacji.

Dziś dopiero z perspektywy pół wieku patrzę na to i oceniam inaczej, pełniej, bo sam jestem bezpieczny, ale uchronić chcę od zapomnienia i piszę o ich dokonaniach, za którymi czaiły się więzienia, tortury i śmierć. Takie były moje odważne dziewczęta, łączniczki 2 Batalionu Dzielnicy B.

Rok 1942 miał się ku końcowi. Przy każdym ze mną spotkaniu „Mucha" oznajmiała wciąż to samo: „Dziewczyny chcą otrzymywać więcej zadań do wykonania. Palą się do działań". Wywoływała uznanie ta budująca postawa.

Był to jednak okres jeszcze przyśpieszonej rozbudowy AK, a nie konkretnych bojowych działań. Stąd też i rola łączniczek podporządkowana być musiała innemu rytmowi pracy. Moja zapobiegliwość w działaniu sprawiła, że drużyna przeszkolonych łączniczek czekała tylko na rozkazy i polecenia, pamiętając przy każdej okazji, że działać przede wszystkim musimy rozważnie i zgodnie z odgórnymi zaleceniami, oraz przestrzegać żołnierskiej dyscypliny. „Mucha" była właśnie wzorem takiego zdyscyplinowanego żołnierza. Słowa moje przyjmowała jako ważną wskazówkę postępowania, choć czułem, że wewnętrznie skłonna jest podzielać postawy podległych jej dziewcząt.

Czas jednak nie stał w miejscu, zmieniał warunki działania i sytuacje zewnętrzne. Wzmagał się ucisk niemiecki, sekundowali w tym zakresie gorliwie współpracujący z okupantem na wszystkich polach, wrogo do Polaków nastawieni Litwini z administracji i policji. Aktywniejszą aniżeli dotychczas postawę przyjąć musiała Armia Krajowa. Prześladowana i gnębiona ludność polska potrzebowała teraz szerszej ochrony i wsparcia. Udzielić jej wtedy mogła jedyna na terenie Wileńszczyzny licząca się siła zbrojna — Armia Krajowa.

Czekała nas walka. Dojrzała więc potrzeba zorganizowania kursów dla przyszłych sanitariuszek. W swoim batalionie miałem już dwóch lekarzy: dr. Czesława Konopkę oraz dr. Antoniego Urbanowicza. Obaj przyjaciele jeszcze z lat szkolnych, obaj też partnerzy do brydża. Mieszkali w tej samej dzielnicy. Czesław przy ulicy Kalwaryjskiej, Toniek przy ulicy Bołtupskiej. Spotykaliśmy się więc często i nie tylko w sprawach organizacyjnych.

Obowiązek przeprowadzenia kursów scedowałem na dr. Czesława

Konopkę. Znałem bowiem jego szczególną rzetelność i skrupulatność w wykonywaniu poruczonych mu obowiązków. Ze względu na bezpieczeństwo dziewczęta podzielono na dwie grupy po dwanaście osób każda. Wykłady odbywały się w mieszkaniu doktora, miał bowiem odpowiednie ku temu warunki. Kursy szły niemal równolegle przez okres paru miesięcy. Dr Czesław Konopko był wspaniałym człowiekiem: obowiązkowy, punktualny, solidny, chodząca wprost doskonałość. Byłem więc zupełnie przekonany, że z nałożonych na niego obowiązków wywiąże się starannie i solidnie. W kontroli nad realizacją i przebiegiem tej akcji ograniczyłem się tylko do krótkich, otrzymywanych od Czesia na ten temat, informacji. Zajęcia przebiegały regularnie, sprawnie, frekwencja uczestniczek bez zarzutu, a zdolność przyswajania materiału wielka. W tym właśnie czasie Niemcy wydali rozporządzenie, zgodnie z którym wszystkie kobiety niezamężne objęte zostały nakazem rejestracji w miejscowym Arbeitsamcie. Cel tego rozporządzenia był znany: po ogłoszonej w Niemczech totalnej mobilizacji zabrakło rąk do pracy w niemieckim przemyśle i rolnictwie. Uliczne, organizowane przez gestapo i policję litewską łapanki Polaków, przeznaczonych na wywózkę do pracy w Niemczech, okazały się niewystarczające. Teraz widmo wywózki stanęło również przed polskimi kobietami. Należało więc temu zapobiec i przeciwdziałać.

Był to również okres tworzenia brygad leśnych. Pojedyncze sanitariuszki znalazły należne sobie miejsce w tychże oddziałach. Nie załatwiało to jednak problemu ogółu polskich kobiet, w tym również i pozostających poza strukturą organizacyjną.

Skutecznym sposobem prawnym było zawarcie małżeństwa. Małżeństwa te miały charakter osłonowy, czysto fikcyjny, zawierane jedynie przed urzędnikiem stanu cywilnego, do tego urzędnikiem okupacyjnego reżymu. W akcji tej, która nosiła charakter patriotycznego obowiązku, udział brali przede wszystkim akowcy. Ratowano panny przed wywiezieniem.

Nie stałem i ja na uboczu tej akcji. Na prośbę porucznika Jerzego Łozińskiego poślubiłem jego kuzynkę Wiktorię Sawicką, ratując ją przed nieuchronną wywózką do Niemiec. Przy tej okazji, wraz z grupą swoich kolegów, złożyłem pamiętne przyrzeczenie: ożenimy się dopiero w wolnej Polsce. Zakładanie bowiem rodziny w czasie okupacji i pracy w konspiracji ogranicza w znacznym stopniu zaangażowanie w działaniu. Troska o rodzinę i stała myśl o jej bezpieczeństwie staje się ważną przeszkodą w działaniach organizacyjnych.

Budując starannie armię podziemną i przezwyciężając wszelkie trudności i zagrożenia stwarzane przez okupanta, śledziliśmy również z największą uwagą przebieg walk na froncie wschodnim. Z jego wszak losem wiązaliśmy swój polski los. Wiedzieliśmy, że od wyniku tych zmagań zależy również i los Polski. Niestety, nie był on

dla nas na razie pomyślny. Nie miało to jednak ujemnego wpływu na naszą działalność. Zaciskaliśmy tylko zęby i nie z mniejszym aniżeli dotąd zapałem budowaliśmy naszą Organizację.

Praca w konspiracji biegła jednak dalej swoim rytmem niezależnie od walk frontowych. W Dzielnicy B powstają nowe oddziały, rosną liczebnie już istniejące. Zwiększa się liczba plutonów, w rezultacie powstają kompanie. Współpraca z niestrudzonym „Andrzejem" układa się wzorowo i przynosi dobre wyniki. Raz po raz kogoś wartościowego dośle, przyniesie z Okręgu informacje lub przekaże stamtąd ostatnie do wykonania zalecenia. Kontakt bardzo bliski, serdeczny, koleżeński i pożyteczny.

Latem 1942 roku na scenę konspiracji wkracza kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef", dowódca 2 Rejonu Dzielnicy B. Uroczyście został wprowadzony i przedstawiony dowódcom batalionów: por. Longinowi Blinstrubowi, ps. „Lech", por. Pawłowi Świetlikowskiemu, ps. „Jerzy", i mjr. Antoniemu Skórko, ps. „Róg". Dowiadujemy się, że jest to nasz aktualny, bezpośredni dowódca. Od tego momentu rozpoczynamy jak gdyby nowy okres pracy w konspiracji.

„Andrzej" po wyjściu z więzienia niemieckiego nadal utrzymuje z nami kontakt służbowy, choć pobyt przez kilka miesięcy w rękach gestapo był poważną przestrogą.

W czerwcu 1943 roku odchodzi on do Kedywu, objemując funkcję zastępcy majora Kazimierza Radzikowskiego, ps. „Dąbek". Odejście „Andrzeja" z Dzielnicy B odczuliśmy bardzo wyraźnie przede wszystkim w sferze psychicznej. Był bowiem dobrym kolegą, poza tym cieszył się opinią miłego w towarzystwie kompana i gawędziarza. Cenił bardzo przyjaźń, ale pracę w konspiracji przedkładał ponad wszystko. Zjawiał się najczęściej, tak jak zawsze, najmniej spodziewany, mając napięte, bardzo ważne do załatwienia, służbowe sprawy.

Już przed wybuchem wojny poznał smak życia trudnego, samodzielnego, mieszkał ze swoją staruszką ciotką, nosił w sercu gotowość cierpienia za innych. Urodzony społecznik. Pracując w podziemiu, czuł się w swoim żywiole. Takim właśnie w naszych oczach zawsze był „Andrzej", czasami zwany Tolkiem. Obracał się zawsze w gronie wartościowych i przystojnych panienek. Wszystkie (przeważnie przez niego) były zaangażowane w konspiracji. Zawsze szczerze uśmiechnięty z tym specyficznym dla siebie wyrazem twarzy. Urodzony konspirator i partyzant. Szerzej nieco ukazałem tę sylwetkę, bo na to zasłużył ogromną pracą, całkowitym oddaniem i poświęceniem.

Wspomniałem już o działającym w Dzielnicy B gronie oddanych sprawie dziewcząt. Nie strzelały do okupantów i nie wyskakiwały przez okna w czasie przesłuchań przy ulicy Ofiarnej. Dlatego zapewne tak mało poświęcono im miejsca w dotychczasowych publikacjach o wydarzeniach z tamtych czasów. Weźmy więc tylko dla przykładu jedną z nich.

Maryla Kuczkówna, ps. „Rysia", mieszkała razem z ojcem przy zaułku św. Ignacego. Dobrze wiedziała o tym, że jest wyjątkowej urody, nigdy jednak tego nie okazywała. Była naturalna, zawsze uśmiechnięta, swoja „Rysia". Naprawdę nie potrafiłbym zliczyć, ilu przeróżnych miała cichych i zabiegających usilnie o jej względy adoratorów: lekarze, studenci, malarze, poeci, że na tych najważniejszych tylko wyliczenia skończę. Wszystkich traktowała jednakowo mile (kokieteria?), ponoć wyróżniała jednego. Natura egzaltowana poetki, pisała ładne wiersze. Pomimo skromnych warunków materialnych, w jakich z powodu wojny musiała żyć, hojność i szczodrość nie były dla niej obcymi pojęciami.

Zdawało się, że przyszłość jej może być tylko jedna: szczęśliwa miłość, udane małżeństwo, dostatnie życie. Ale Maryla była przede wszystkim Polką i kochała ponad wszystko Polskę. Kiedy wstąpiła do AK, pracy konspiracyjnej poświęciła dosłownie wszystko. Pełniła obowiązki niezastąpionej czasami przez nikogo łączniczki, jej też zlecano niebezpieczne zawsze, ale kończące się sukcesem kontakty i pertraktacje z przedstawicielami gestapo, ilekroć w grę wchodziło życie aresztowanego i cenionego przez Organizację akowca. Umiała wszędzie dojść, pozyskać niezbędne względy, wszystko jedynie dlatego, że wymagał tego istotny interes organizacji.

A jak się ułożyło jej dalsze życie? W nagrodę za rzetelną pracę podczas pięciu lat konspiracji, gdy wojna była na ukończeniu, Maryla została aresztowana wraz z ojcem przez NKWD. Więzienie, śledztwo, sąd, 10 lat katorżniczej pracy na dalekiej Północy. Podobno za to, że „zdradziła" swoją ojczyznę i walczyła po stronie „kontrrewolucji". Co prawda nie mogła w żaden sposób zrozumieć, o zdradę jakiej to ojczyzny i czyjej rewolucji chodziło, dla sądzących jednak problemów takich nie było. Dla nich rzeczą istotną był jedynie fakt, że mieli w rękach człowieka, którego musieli skazać i ogłosić wyrok.

Do ukochanego kraju wróciła w roku 1956. Dziesięć najpiękniejszych lat swojej młodości spędziła za drutami katorżniczych łagrów. Dawne uczucia z lat młodości jakby przygasły. Innego nabrały życiowego wymiaru i znaczenia.

W 1958 roku wyszła za mąż za wspaniałego człowieka, akowca, lekarza Adama Łapińskiego, wilnianina. W niecały rok później Adam złożony zostaje niemocą pełnego paraliżu. Przez kilka lat Maryla

z niezwykłą troskliwością sprawowała opiekę nad swoim mężem. Po samarytańsku spełniała rolę Teresy z Kalkuty przy łożu dotkniętego nieszczęściem człowieka. Na nic jednak wkładała troskę i serce. Adam umarł. Wziąłem udział w tym smutnym pogrzebie. Maryla była zrozpaczona. Żyła nadzieją, że mąż stopniowo wróci do zdrowia.

Wróciłem na Śląsk, kopalnia i tzw. obowiązki życia codziennego czekały. Po trzech dniach otrzymałem telegram od przyjaciela dr. Antoniego Urbanowicza: „Maryla popełniła samobójstwo, pogrzeb odbędzie się dnia..." Pochowana została na cmentarzu w Oliwie, obok świeżej jeszcze, kwiatami obsypanej mogiły swego męża Adama.

Lata 1942—43 w pracy wileńskiego podziemia były okresem przełomowym. Okresem nacechowanym wolą przyśpieszonego działania. Zwiększono werbunek do oddziałów. Broń kupowano za gotówkę, znalazły się bowiem na ten cel specjalne fundusze.

Wzmagały się restrykcje niemieckie, brano i rozstrzeliwano zakładników. Wywożono Polaków na roboty do Niemiec. Prowadzoną przez okupanta eskalację terroru należało powstrzymać. Armia Krajowa zmuszona została do wyjścia z podziemia. Tylko ona mogła stanąć w obronie polskiego społeczeństwa.

Z Garnizonu Miejskiego wysłano do lasu pierwsze grupy oficerów i żołnierzy jako zalążki tworzonych tam brygad leśnych. Z Dzielnicy B zapoczątkowano w ten sposób organizację 3 brygady „Szczerbca" i 6 brygady „Konara" a jesienią 1943 roku brygady „Błyskawica". Na dowódcę 3 brygady delegowano porucznika Gracjana Fróga, dając jej nazwę „Szczerbiec" — od pułku Bolesława Chrobrego. Na dowódcę 6 brygady wyznaczono majora Franciszka Koprowskiego. Brygada przyjęła nazwę „Konar", był to pseudonim majora. Obie brygady były w stałym kontakcie z dowództwem Dzielnicy B, która zasilała je swoimi ludźmi, czasami „spalonymi" lub kierowanymi na przeszkolenie.

Brygada „Błyskawica" składała się z wielu grup zalążkowych, tworzonych z inicjatywy por. „Andrzeja". W czasie powstawania grupy przybierały nazwy: „Ziemowita", „Czenga", „Zagłoby" i „Cudzika". Pierwszym dowódcą brygady był podporucznik Janusz Słonina, ps. „Piotr", natomiast w marcu 1944 roku następuje połączenie brygady z oddziałem por. „Tońko", zasilając całością 6 brygadę „Konara".

Z rozkazu gen. „Wilka" powstają stopniowo inne brygady leśne, rozmieszczane w terenie lub kierowane w inne rejony Wileńszczyzny w zależności od sytuacji i potrzeb taktycznych. W tworzeniu brygad ważną rolę odegrała wieś, która karmiła je, zasilała patriotycznie nastawionym żołnierzem oraz dawała schronienie.

Garnizon Miejski, osłabiony nieco odpływem części ludzi do lasu, uzupełniał wnet stany swoich oddziałów i magazynów broni. O zdobyciu broni myślał teraz intensywniej każdy członek organizacji. Świadomość żołnierzy w moim batalionie była podobna. Najsprawniejszą w tych akcjach była 4 kompania ppor. „Włodzimierza", którą zasilił w broń w sposób znaczny drużynowy Edmund Lewkowicz, ps. „Kalina", dostarczając 16 sztuk kbk, 1 rkm, 30 granatów i skrzynkę amunicji. Tajemnica tak wielkiej zdobyczy wyjaśniła się już znacznie później. Okazało się, że zawdzięczał to wszystko swemu ojcu, który przechowywał ją od czasów wojny zakopaną w piwnicy własnego domu. Teraz dopiero przydała się w sam raz.

Było też w tej kompanii niemało chłopców o temperamencie zadziornych watażków, żądnych walki i przygód. Czasami powodowali się chęcią zaimponowania swojej dziewczynie lub choćby kolegom. Nie znaczy to oczywiście, że wątek patriotyczny nie odgrywał tu ważnej roli. Oto jeden z takich wyczynów. Trójka chłopców: Henryk Kosiński, ps. „Goryl", Mieczysław Sakowicz, ps. „Rakieta", i „Szach", napotkawszy pewnego dnia wieczorem na przedmieściach Wilna podchmielonego nieco podoficera Wehrmachtu, nie omieszkała tej rzadko nadarzającej się okazji wykorzystać. Zaatakowali Niemca. Podczas powstałej szamotaniny padł mimowolny strzał, który zranił „Goryla" w rękę. Podoficera jednak zdążyli rozbroić, potem rozpierzchli się każdy w inną stronę. Wyczyn to był lekkomyślny i karygodny, dlatego przez dowódcę kompanii ppor. „Włodzimierza" przekazałem oczywiście naganę, ale przyznać muszę, że uczyniłem to niechętnie. Takich odważnych, wspaniałych chłopców w oddziałach akowskich było dużo.

Z „Józefem" spotykałem się w tym czasie dość często. Coraz więcej było bieżących spraw do załatwienia. „Józef" zapoznawał się z sytuacją w Rejonie, z ludźmi, atmosferą pracy, niedociągnięciami również. Na jednym z takich spotkań, które odbywały się najczęściej u mnie w domu, „Józef" poinformował, że oddziały 2 Rejonu Dzielnicy B od listopada 1941 roku otrzymały nazwę: Pułk im. Bolesława Chrobrego. Z tej okazji siostry zakonne ukrytki wykonały sztandar pułkowy.

Było przyjęte, że wszelkie przychodzące z góry informacje przyjmowane były jako oczywiste, obowiązujące prawnie i formalnie. Istniało bowiem powszechne przekonanie, że cokolwiek się w Organizacji dzieje — ma placet Komendy Głównej AK, jest więc słuszne. Powyższa wiara wynikała z niepisanej ideologii Armii Krajowej, której treść stanowiły trzy słowa: Bóg, Honor i Ojczyzna. Kadra oficerska w bezpośrednich kontaktach z sobą używała zwrotu „per kolego", natomiast w oddziałach, gdzie panowała wytworzona w sposób naturalny dyscyplina, stosunek oficerów i żołnierzy był ciepły,

serdeczny, ale jednocześnie pełen karności i wzajemnego szacunku. Śmiem dziś twierdzić, że właśnie w tym wzajemnym poszanowaniu tkwiła ogromna siła moralna Armii Krajowej, która wszystkich skupionych pod tym sztandarem ludzi jednoczyła i cementowała.

Współpraca z „Józefem" układała się właściwie. W obcowaniu był taktowny, rzeczowy, bezpośredni, koleżeński. Wytworzyła się atmosfera serdecznej współpracy, z pełnym jednocześnie zachowaniem dla kolegów wyższych funkcją i stopniem szacunku.

Rok 1943 był przełomowy dla strategii wojskowej Niemiec i dalszych losów wojny. Pamiętaliśmy rok pierwszy wojny — ten nie przerwany przez nikogo ciąg wielkich, przerażających nas zwycięstw niemieckiego oręża. Z kolei nadszedł czas prowadzonych zażarcie walk ze zmiennym szczęściem, z nakładem dużych sił żywych i zmasowanej techniki. Wyniki były prawie zerowe, a straty w ludziach i sprzęcie ogromne. Na całej szerokości ogromnego frontu sytuacja się stabilizowała, obie walczące strony przegrupowywały swe siły, szykując się do nowych rozstrzygających uderzeń.

W tych ciężkich zmaganiach między walczącymi nadszedł rok 1943. Kapitulacja 300-tysięcznej armii marszałka von Paulusa pod Stalingradem równoznaczna była z klęską o znaczeniu strategicznym. Miała ona jeszcze i znaczenie psychologiczne.

13 maja następuje likwidacja sił niemiecko-włoskich w Afryce. Armia aliantów ląduje 10 lipca na Sycylii, otwierając w ten sposób nowy front w południowej Europie.

Już w 15 dni później, 24 lipca, upada reżym Mussoliniego we Włoszech, a marszałek Badoglio przejmując w państwie władzę ogłasza słynną deklarację o rezygnacji Włoch z ustroju faszystowskiego i przejściu na stronę Aliantów. Szala losów wojny przechylać się zaczęła w sposób wyraźny na stronę Anglosasów i ich sprzymierzeńców. Niemcom po raz pierwszy z taką oczywistością zajrzało w oczy widmo przegranej wojny.

Przebieg wojny na wszystkich frontach śledziłem z niezwykłą dokładnością i zaangażowaniem. Bowiem od wyników walk zależała w dużym stopniu taktyka w naszej pracy w konspiracji. Czas i zdarzenia podpowiadały, że tempo jej należy przyśpieszyć, a metody pracy zaostrzyć.

Tak samo oceniała sytuację Komenda Okręgu — na arenę działania Dzielnicy B wchodzi jej dowódca, major Władysław Zarzycki, ps. „Rojan". Był to jakby papierek lakmusowy sytuacji na froncie. Gdy Niemcom zaczyna być coraz gorzej, Armia Krajowa wzmacnia siły, podnosi się na duchu i przyśpiesza swoje działania.

Na pierwsze spotkanie zapoznawczo-programowe z mjr. „Rojanem" udawałem się trochę podniecony, jak to zawsze chyba bywa, gdy się idzie na rozmowę z kimś bardzo ważnym i okrytym do tego

tajemnicą konspiracji. Fakty świadczą dobitnie, że Armia Krajowa to sprawnie funkcjonująca organizacja, w której wszystkie elementy poustawiane są na swoich miejscach i wchodzą do działania zgodnie z opracowanym odgórnie planem. Psychicznie nastawiony byłem tak, jakbym już za tydzień ruszyć miał do decydującej walki z wrogiem. Szedłem więc na to spotkanie w równym stopniu uskrzydlony duchem walki, co i zwykłą ludziom ciekawością.

Mjr „Rojan" przywitał nas uprzejmie, nawet z pewną kurtuazją, ale nie bez tego charakterystycznego odczucia, że się jest na naradzie wojskowej. Nabyte w ciągu wielu lat służby w wojsku zasady wchodzą głęboko w krew i stają się już drugą nieodłączną naturą.

W naradzie udział wzięli trzej dowódcy batalionów 2 Rejonu: por. Longin Blinstrub, ps. „Lech", por. Paweł Świetlikowski, ps. „Jerzy", mjr rez. Antoni Skórko, ps. „Róg", oraz oficer wywiadu Dzielnicy B por. Aleksander Śleszyński, ps. „Jan".

Na życzenie mjr. „Rojana" dowódcy batalionów przedstawili w skrócie stany ilościowe i uzbrojenia w swoich batalionach oraz stan duchowo-moralny żołnierzy. Było rzeczą zrozumiałą, że dowódca wyraził potrzebę zapoznania się z podstawowymi wskaźnikami pracy konspiracyjnej. Zobowiązany był jeszcze sprawdzić te dane osobiście. Zgodnie zresztą z zasadą, że najlepsze nawet decyzje bez kontroli często nie znaczą nic. W tym właśnie celu wyznaczył datę próbnego, ćwiczebnego alarmu, który miał być jednocześnie sprawdzianem sprawności organizacyjnej poszczególnych dowódców i żołnierzy.

Już pierwsze zetknięcie się z mjr. „Rojanem" pozwoliło sądzić, że reprezentuje on wszystkie znane, typowe walory dla oficera zawodowego, oddanego bez reszty służbie żołnierskiej i wynikającemu z niej porządkowi. Energiczny w postępowaniu, zdecydowany i rzeczowy w decyzjach, z określonym konkretnie planem działania i zamierzeń. W bezpośrednim otoczeniu budzi naturalne zaufanie i szacunek. Trwająca już ponad trzy lata konspiracja wydała mi się w tej chwili tylko mało znaczącym epizodem, wstępem zaledwie do tego, co już się właściwie zaczęło.

Uzgodniliśmy sposób przeprowadzenia próbnego alarmu. Wszystkie oddziały zebrać się miały niedużymi grupami w odpowiednio oddalonych od siebie punktach, którymi były mieszkania wybranych żołnierzy-konspiratorów. Realizując akcję zbiórek, dowódcy mieli zalecenie przestrzegać należnych środków ostrożności. Wyznaczone godziny umożliwiały jednemu człowiekowi przeprowadzenie kontroli w krótkim stosunkowo czasie, bowiem mjr „Rojan" pragnął dokonać kontroli osobiście.

Próbny alarm przeprowadzony został wzorowo organizacyjnie. Ludzie byli punktualni, dowódcy zadowoleni, a zwierzchnik miał powody, aby do swoich podkomendnych nabrać tak bardzo potrzebnego w tej

pracy zaufania. Martwił go jedynie fakt niezadawalającego stanu tajnych magazynów broni. Z tym było rzeczywiście źle, ale i broń nie leżała na ulicy. Jej stan ogólny zaspokajał potrzeby tylko w 15 procentach.

Możliwości jej zdobycia lub nabycia były ograniczone. U służących w armii niemieckiej Holendrów można było niekiedy wymienić na „szpek" (słoninę) lub „wodkę". W sumie były to jednak przypadki sporadyczne. Korzystano więc z każdej nadarzającej się do tego okazji. Nic więc dziwnego, że sytuacjom takim towarzyszyły często okoliczności niebezpieczne.

Oto dwa tylko takie przykłady i to z własnego doświadczenia. U żołnierza Austriaka nabyłem szczęśliwie za słoninę rewolwer. Uszczęśliwiony zdobyczą, gdy znalazłem się już w domu stryjostwa na Zwierzyńcu (w pobliżu doszło do transakcji), poddałem go szczegółowym oględzinom. Nawet go rozebrałem, aby sprawdzić, czy jest dobrze utrzymany. Był do tego świętością — bo pierwszy zdobyty w okupacji.

Nagle alarm. Do pokoju, w którym manipuluję rozebranym rewolwerem, gwałtownie wpadła kuzynka Halina, wołając już od progu: „Uciekaj, gestapo!" Gorąco mi się zrobiło w jednej chwili na całym ciele. Poczułem, jakby zimny pot spływał mi po tętniących skroniach. Rozumiem, gdy żołnierz ginie w walce z bronią w ręce, ale dać się złapać gestapo z rozebranym rewolwerem — sprawa najgłupsza, jaką można tylko sobie wyobrazić.

Już samo tylko słowo „gestapo" kojarzyło się momentalnie z wykryciem organizacji, wpadnięciem na moje ślady i wszystkim, co najgorsze. Myśl pierwsza: pozbyć się szybko broni. Rzucić ją pod najbliżej stojącą szafę, na wysoki kredens lub w zastawiony różnymi przedmiotami daleki kąt.

Dokumenty mam stosunkowo mocne, z tej strony obawiać się nie muszę. Może tylko kogoś szukają? — Uspokajająca myśl wpadła jak zbawienie nagle do głowy. A jeżeli zrobią skrupulatną rewizję i znajdą rewolwer? Aresztują wtedy wszystkich domowników z wiadomym rezultatem. A w domu, oprócz Haliny, są jeszcze starzy stryjkowie. Nie! Nikogo nie mam prawa narażać, tym bardziej swoich najbliższych, którzy w dodatku o niczym nie wiedzą. Uciekać przez drzwi do ogrodu! Razem z bronią! Jeżeli dom obstawili ze wszystkich stron, wyjścia nie ma. Jeżeli pilnują tylko od ulicy, mam szanse umknąć. Zaciskam więc kurczowo rewolwer w ręce i wychodzę pośpiesznie po schodach na podwórze. Słyszę, że w tej samej chwili odgłos otwieranych przez Halinę drzwi frontowych zlewa się z głośnym szwargotem niemieckim.

Podwórze jest wolne. Broń chowam do prawej bocznej kieszeni i wolnym krokiem idę do ogrodu. Jeszcze dziesięć niespokojnych kro-

ków i już kryją mnie gałęzie owocujących, zbawczych drzew. Odetchnąłem z ulgą. Domu nie obstawili, a więc nie była to akcja „na mnie", pomyślałem zupełnie już odprężony psychicznie. Przesadziłem na wszelki wypadek niewysoki płot i skierowałem się do mieszkającego opodal dobrego znajomego.

Po godzinnej zapewne i serdecznej pogawędce o wszystkim i o niczym, nie mówiąc nic o tym, co mnie do niego przywiodło, poprosiłem, aby pofatygował się do domu stryjostwa Blinstrubów i tylko zapytał, czy „goście" już wyjechali. Po uzyskaniu potrzebnych informacji wróciłem spokojnie do domu. Dowiedziałem się, że gestapowcy sprawdzili tylko dokumenty wszystkich domowników i pytali, czy w tym domu nie ma ludzi nie zameldowanych. Cała niespodziewanie przeżyta przygoda zakończyła się szczęśliwie. Gestapo podobne akcje przeprowadzało rzadko. Tym razem musieli otrzymać informacje o kimś ukrywającym się bez meldunku, a więc żyjącym na stopie „nielegalnej". Dziś nazwałem to przygodą. Wtedy bliski byłem momentu, gdy się robi ostatni rachunek sumienia.

Wydarzenie kolejne było znacznie poważniejsze, warte więc przedstawienia. Jechałem pociągiem z kuzynką Haliną Wolańską (miała dziewczyna do takich wydarzeń szczęście), siostrą por. „Lecha", do Hoduciszek, gdzie w latach 1943—44 pracowałem jako zawiadowca stacji. Racje żywnościowe w Wilnie były nader skromne, zabrałem więc z sobą Halinę, aby na znacznie obfitszym wiejskim rynku w Hoduciszkach dokupiła sobie nieco produktów.

Do przedziału, w którym siedzieliśmy wraz z kilkoma innymi pasażerami, na jednej z kolejnych stacji wsiadł podoficer Wehrmachtu. Fakt ten zdziwił mnie bardzo, ponieważ Niemcy korzystali z przedziałów zarezerwowanych „Nur für Deutsche" (tylko dla Niemców).

Zdziwienie moje niepomiernie wzrosło, gdy nasz nowy wojskowy pasażer, czując się widocznie pomiędzy nami jak u siebie w domu, odpiął swój pas i razem z kaburą położył na górnej półce tuż obok mojej leżącej tam walizki. Ze skórzanej kabury wyglądała połyskująca stopka rękojeści rewolweru. Nagła myśl zaświtała mi w głowie. Nadarza się okazja — pomyślałem na razie. Za chwilę już się nad tym zastanowiłem: „Jak by tu ją wykorzystać" — głowiłem się już usilnie.

Kilku siedzących w przedziale pasażerów gawędziło żywo o sprawach rolniczych. Wyglądali na powracających z miasta chłopów. Niemiec siedział milczący i wyraźnie zajęty swoimi myślami. Zdawał się nas nie zauważać. Wiadomo — „Deutschland über alles" (Niemcy ponad wszystko) — pomyślałem z odcieniem ironii.

Na kolejnym przystanku chłopi wysiedli. W przedziale pozostało nas troje: Halina, ja i ten obecnie najważniejszy, zamyślony Niemiec. Sprawa zaczynała się klarować, a mój pomysł nabierać wy-

raźnych kształtów realizacji. W zarysie plan miałem już w głowie, jego realizacja zależała teraz od spełnienia dwóch warunków: Niemiec nie wysiądzie na stacji w Podbrodziu, a po moim tam wyjściu z wagonu nie zajrzy do swojej kabury. Moje ogromne szczęście zależało więc tylko od tych dwóch drobnych na pozór warunków.

Dojeżdżaliśmy właśnie do stacji kolejowej Podbrodzie, odległej o 50 kilometrów od Wilna, na której musiałem z Haliną wysiąść, aby przenocować w miejscowym hotelu, mając dopiero na drugi dzień rano pociąg do Hoduciszek. Rozległ się wnet przeciągły sygnał parowozowej syreny. Był ciepły, słoneczny dzień lipcowy 1943 roku. Niemiec wstał z miejsca, podszedł do otwartego okna i oparłszy się o nie łokciami spoglądał w stronę zbliżającej się coraz bardziej stacji.

Plan zamierzonej akcji powstał teraz błyskawicznie. Niemiec podchodząc do okna narzucił mi sposób jej wykonania. Znacznie ją nawet ułatwił. Tą trasą jeździłem już od roku, znałem dobrze panujące tu warunki i porządki. Każdy przychodzący na stację pociąg oczekiwany był na peronie przez uzbrojony patrol kolejowej niemieckiej żandarmerii, zwanej „Eisenbahnpolizei". Ozdobieni zawieszonymi na piersiach błyszczącymi srebrem blachami, ustawiali się wzdłuż całego peronu, penetrując wszystkich wysiadających, gotowi do każdej zbrojnej akcji.

Na peron wysiadać nie mogłem. W przypadku najmniejszego niepowodzenia nie miałbym tu żadnych szans ucieczki. Postanowiłem więc wysiąść nie na peron, lecz na stronę przeciwną, na tory. Rzuciłem tylko znaczące spojrzenie w stronę Haliny mówiące: wysiadaj na peron.

Peron przylegał w Podbrodziu bezpośrednio do budynku stacyjnego, skąd było wyjście do miasta. Torowisko miało około 60 metrów szerokości, ograniczone drogą i długą, biegnącą wzdłuż niej i torów lizjerą sosnowego lasu. Ten las mógł być jedynym w razie nagłej potrzeby ratunkiem. Zapiszczały zgrzytliwie hamulce, pociąg zmniejszał szybkość biegu. Należało już działać. Halina pośpieszyła, stojąc już przy drzwiach wyjściowych, oczekiwała tylko na zatrzymanie się pociągu.

Wstałem z miejsca. Sięgnąłem rękami górnej półki. Lewą ręką ująłem za uchwyt swojej walizki, prawą w tym czasie odpiąłem kaburę wyjmując z niej bezszelestnie rewolwer. Podszedłem do drzwi, szykując się do wyjścia. Zerknąłem kątem oka w stronę Niemca. Nadal stał przy oknie, spoglądając w stronę peronu. Pociąg stanął. Otworzyłem drzwi i schodziłem w dół po stopniach wagonu. Znów, nie odwracając głowy, kątem oka stwierdziłem ku swemu przerażeniu, że Niemiec podszedł do półki i sięgą ręką po pas. Będzie go nakładać czy sprawdza tylko jego zawartość? — błyskawicznie przeleciała przez głowę myśl...

Rewolwer trzymam w ręce, w kaburze go nie znajdzie, natychmiast podniesie alarm. Do skraju lasu spora odległość, a stojąca na peronie żandarmeria jest gotowa do natychmiastowego otwarcia ognia. Te i tysiące innych myśli jak błyskawica przelatują po głowie. Pod czaszką tylko szum i młoty. Nie czas na wspominki i medytacje. W takich chwilach traci się często głowę. Mnie tego uczynić nie wolno. Decyduję w ułamku sekundy. Pozbyć się rewolweru!

Już jedną nogą dotknąłem kamienno-szutrowego podłoża torów, stanąłem drugą. Wciąż będąc tyłem do Niemca (nie chcę się zdradzić, jestem wszak niewinny), szybkim ruchem prawej kiści rzucam rewolwer za siebie, pod wagon. Nie widzę, jak daleko poleciał, tylko odgłos padającego rewolweru przywraca mi świadomość. Nie patrzę jednak i nie sprawdzam. Nie mogę wszak wzbudzić najmniejszego podejrzenia. Idę pozornie spokojnie w stronę lasu. Niemiec wie już na pewno, że kabura jest pusta. Nie podniósł jeszcze jednak alarmu! Wzdłuż lasu droga. Do niej kieruję wolno swe kroki. Może nawet zbyt wolno. Czynię to jednak celowo, jak bym niczego nie miał na swoim sumieniu. Wewnątrz czułem przeszywający strach, a za mną wciąż ta przerażająca, śmiertelna cisza. A może Niemiec ma już rewolwer wycelowany we mnie i za sekundę padnie strzał. Strzeli mi w plecy lub w tył głowy...

Rozważam błyskawicznie sto możliwych tylko wariantów, ponieważ nie wiem, co się tam w wagonie i w ogóle za mną dzieje. Udaję naiwnie niewinnego człowieka, a przecież Niemiec już dawno stwierdził brak rewolweru i nie może nie wiedzieć, że to tylko ja mogłem zrobić. Taki jednak wybrałem wariant wyjścia z tej opresji i zmienić go już nie mogę.

Mijające sekundy dłużą się w nieskończoność, a ja wciąż tym wolnym i spokojnym krokiem idę w stronę lasu, który w chwili ostatecznej okazać się może lasem zbawienia. A za mną wciąż ta cmentarna cisza. Nic nie rozumiem, ani Niemca, ani siebie samego. Nie zdecydowałem się na ucieczkę przez tory, bo przeważyła kalkulacja, że ucieczką wskażę przestępcę, a wtedy kula będzie szybsza ode mnie. Ale dlaczego, do licha, ten Niemiec dotąd jeszcze nie zaalarmował i nie strzela. Ta cisza trwa już chyba wiek cały. Spojrzę do tyłu — pomyślałem wreszcie. Zobaczę przynajmniej, co on tam robi i gdzie jest.

Zatrzymałem się. Zrobiłem zaledwie ćwierć obrotu w prawo i spojrzałem niby na przód pociągu, na syczącą w dali lokomotywę. Całą jednak uwagę skierowałem gdzie indziej: na opuszczone przed chwilą przeze mnie otwarte jeszcze drzwi wagonu. Osłupiałem, gdy zobaczyłem, że stał w nich właśnie, wychylony nieco do przodu, ten milczący i tajemniczy Niemiec, patrząc tylko wyzywająco i gniewnie prosto na mnie. Dlaczego więc, do diabła, nie alarmuje, pomyślałem,

nie wiem już po raz który. A może odzyskawszy broń, zadowolił się tym, wciąż pytam na próżno sam siebie...

W tej chwili maszynista parowozu dał sygnał, maszyna sapnęła raz, drugi, trzeci, pociąg z wolna ruszył, a Niemiec stał nadal w drzwiach wciąż otwartych i z tym samym na mnie tylko skierowanym wzrokiem.

Ale oto nagle parowóz wyrzucił z siebie w górę słup białej pary, ryknął przeraźliwie na całą okolicę i sapiąc ciężko zabuksował w miejscu kołami a nabierając stopniowo prędkości, migać wnet zaczął oddalającymi się coraz prędzej wagonami pamiętnego na całe moje życie pociągu. Jego ostatni wagon mijał miejsce, skąd przed chwilą wysiadłem, a ja już tam się znalazłem. Przywiodła mnie do tego miejsca nieodparta chęć wyjaśnienia zaistniałej tajemnicy: czy leży tam jeszcze wyrzucony przeze mnie przed chwilą rewolwer i dlaczego Niemiec po stwierdzeniu, że kabura jest pusta, nie wszczął natychmiast alarmu? Dlaczego nie oddał do mnie jednego chociaż strzału, gdy broń swą już odzyskał, wiedząc, że tylko ja mogłem tego dokonać?

Stawiałem te pytania sobie wtedy, gdy powracałem na to miejsce, stawiałem je wielokrotnie później, jak i dziś, gdy o tym piszę, choć minęło od tego czasu 47 lat. Niestety, bezowocnie. Odpowiedzi nie znalazłem, zagadka pozostała do dziś. Wiem za to jedno niezbicie: gdy wróciłem, rewolweru na torze już nie było. Podnieść go mógł tylko Niemiec. Musiałem niezbyt daleko go rzucić, skoro stając w drzwiach wagonu go dojrzał. Podniósł więc go szybko i uradowany — na tym poprzestał. Rodzi się pytanie kolejne — dlaczego na tym poprzestał? Czy dlatego, że wiązało się to ze zbędnymi i kłopotliwymi dla niego tłumaczeniami, że jechał w niewłaściwym dla siebie przedziale, czy może dlatego, że i wśród Niemców byli ludzie na miano to zasługujący. A może był to Austriak, do tego przeciwnik Hitlera i jego doktryny?

Za rozbrojenie pijanego Niemca przez „Szacha", „Goryla" i „Rakietę" udzieliłem im ostrej nagany, określając to jako czyn lekkomyślny i nieodpowiedzialny. Sam zaś dokonałem czynu, który w każdym innym przypadku skończyć się mógł tragicznie. Świadczy to jedynie o tym, jak niezmiernie trudno było wtedy o zdobycie broni i jak niewspółmiernie jeszcze większa była chęć jej zdobycia za wszelką cenę. A motyw takiego działania był tylko jeden: potrzeba posiadania broni do walki z wrogiem w godzinie X.

PARTYZANTKA SOWIECKA

Pierwsze oddziały partyzantki sowieckiej na Wileńszczyźnie pojawiły się wczesną wiosną 1943 roku. Znane były trzy oddziały: Mar-

kowa, Susłowa i Manochina, każdy po około 600—700 ludzi, dobrze uzbrojone w broń produkcji sowieckiej. Oddziały te zostały sformowane i wyposażone we wszelki wojskowy ekwipunek w Związku Sowieckim i przerzucone na nasz teren. Zaopatrzenia w potrzebną broń i amunicję dokonywano za pomocą zrzutów.

Oddziały te rekrutowały się głównie z obywateli sowieckich, przeważnie Rosjan, i tylko w znikomej części spośród ludności miejscowej, w oparciu na funkcjonujących tu komórkach komunistycznych agentów, zorganizowanych zgodnie z podjętą na plenum w Moskwie uchwałą z 22.06.1943 roku, o której dokładnie oddzielnie.

Głównymi terenami działania tych oddziałów były trzy linie komunikacji kolejowej: 1. Podbrodzie—Królewszczyzna, 2. Podbrodzie—Oszmiana—Wilejka, 3. Wilno—Orany—Druskienniki. Na te linie dokonywali wypadów, wysadzając w powietrze całe odcinki torów, parowozy, wagony. Chroniąc deficytowe parowozy przed zniszczeniem, Niemcy zaczęli stosować załadowane żwirem lub kamieniami platformy, doczepione do czoła parowozu. Wybuch miny następował pod platformą, która ulegała uszkodzeniu, chroniło to jednak parowóz i wagony, ulegające jedynie wykolejeniu. Powodowało to przymusową przerwę w ruchu pociągów, a usunięcie awarii wymagało sporo czasu i kosztów. W odpowiedzi partyzanci stosować zaczęli miny z zapalnikiem czasowym. Miny tej konstrukcji wybuchały z pewnym opóźnieniem, właśnie pod parowozem. Analogiczne miny stosowane były również przez oddziały Armii Krajowej.

Pierwsze spotkania brygad Armii Krajowej z oddziałami partyzantki sowieckiej miały charakter przyjazny. Komenda Okręgu Wileńskiego AK uważała, że te przyjazne początki należy podtrzymywać i rozwijać. Skłonna też była nawiązać ścisłą współpracę przy planowaniu i przeprowadzaniu wspólnych akcji dywersyjnych przeciwko wspólnemu wrogowi.

Jednak najbliższe wypadki pokazały, że pierwsze ze strony sowieckiej przejawy rzekomej przyjaźni okazały się tylko przemyślną grą, zmierzającą do uśpienia strony drugiej. Już wkrótce stało się sprawą oczywistą, że przybył nam nowy wróg gotów nawet do aktów ludobójstwa.

Zdarzenie miało miejsce w Nowych Święcianach latem 1943 roku. Grupa z oddziału Fiodora Markowa, w mundurach i opaskach Armii Krajowej, dokonała zbrojnego napadu na urzędującego tu gebietskomissara, zabijając go wraz z dwoma innymi jeszcze Niemcami z jego najbliższego otoczenia. W natychmiastowej odpowiedzi oddział niemiecko-litewski wyciął w pień całą ludność najbliżej położonej wsi polskiej. Miał to być odstraszający odwet. Zginął wtedy Ksawery Misiowianiec, absolwent Liceum im. J i J. Śniadeckich, który odwiedzał swoich rodziców. Był on bliskim kolegą Kazia Cisa.

Zamysł Markowa był podstępny, bandycko przemyślany, a w skutkach tragiczny dla Polaków, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. Przy tej okazji ja sam o mało nie przypłaciłem tego życiem. A było to tak: Niemieckiego gebietskommissara zabito w południe. Tego samego dnia wieczorem jechałem na swój służbowy dyżur do Hoduciszek właśnie przez Nowe Święciany, gdzie chciałem przenocować, ponieważ pociąg miałem następnego dnia rano. Jeszcze nie zdążyłem się rozebrać po wejściu do pokoju w miejscowym hotelu, gdy zjawił się u mnie litewski policjant, żądając okazania dokumentów.

Dokumentów tego dnia właśnie wyjątkowo nie miałem. Musiałem zostawić w Wilnie, wymieniano je bowiem na nowe. A do pracy zmuszony byłem pojechać. Byłem tylko na tyle przezorny, że tego dnia włożyłem na siebie mundur i płaszcz niemieckiego kolejarza. Umundurowanie to otrzymywali wszyscy pracownicy kolei. Uniform ten wykorzystywałem tylko w przypadkach szczególnych, gdy realizowałem ważne i niebezpieczne zadania Organizacji lub takie jak dziś, gdy wyjeżdżałem w drogę bez dokumentów. Znałem biegle język niemiecki i litewski, zdarzało się, że raz występować musiałem jako Litwin, innym razem jako Niemiec. Był czas niebezpiecznej szczególnie w terenie okupacji, trzeba było nie tylko żyć, lecz i wykonywać najprzeróżniejsze tajne misje.

Udając dziś Niemca czułem się pewny siebie, ale w małym peryferyjnym miasteczku wszyscy się znają. Ja byłem tym „nowym i obcym", na którego zwrócono z miejsca uwagę, gdy zdążając do hotelu przechodziłem koło komisariatu. Dodatkowym informatorem policji mógł być jeszcze pracownik hotelu, który przydzielał mi pokój. Dociekać dziś trudno, tak czy owak w pokoju miałem już gościa, a był nim 2-metrowej wysokości policjant, ponieważ do tej służby Litwini innych nie werbowali.

Gdy wszedł, przedstawił się i poprosił o dokumenty. Moje tłumaczenie, że dokumenty zmuszony byłem zostawić w Wilnie i że jadę do Hoduciszek, gdzie pracuję jako zawiadowca stacji, okazały się niewystarczające, żeby nie powiedzieć — podejrzane. Na moje nieszczęście byłem zupełnie nieświadomy tego, co się tu tego dnia zdarzyło.

Ponieważ rozmawiałem po litewsku, policjant wziął mnie za Litwina i tylko dlatego nie sprawdził zawartości mojej walizki oraz nie dokonał rewizji osobistej. Byłem w wielkim strachu i miałem po temu kilka powodów, aby się bać naprawdę. Nigdy dotąd nie miałem przy sobie żadnych materiałów obciążających. Akurat tym razem było inaczej, bo zaistniała wyjątkowa konieczność. Wiozłem bowiem w kieszeni wycinek z planu Wilna określający rejon Dzielnicy B Okręgu Wileńskiego AK. Był to rysunek na sztywnej kreślarskiej kalce o wymiarach 10×10 centymetrów. W schowku walizki miałem

jeszcze kilka lewych dokumentów wystawionych dla kilku członków AK w Hoduciszkach, gdzie zdążyłem już zorganizować oddział ppor. Edwarda Strzeleckiego, ps. „Strzelec". Były to wystarczające dowody moich związków z organizacją, aby znaleźć się w rękach gestapo i zakończyć karierę w Lesie Ponarskim.

Policjant uznał za stosowne doprowadzić mnie do komisariatu, znajdującego się niedaleko hotelu. Wejście było wprost od ulicy. Wewnątrz były dwa pomieszczenia: pierwsze wyposażone w stół z telefonem, szafę oraz kilka krzeseł. Drugie spełniało zapewne rolę podwójną: izolatki dla zatrzymanych, ewentualnie było miejscem wypoczynku dla policjanta w nocy, gdy zatrzymanych nie było. Policjant ulokował mnie w tym właśnie pomieszczeniu, a sam zajął się telefonem, aby połączyć się z Hoduciszkami i sprawdzić, czy rzeczywiście pracuję tam jako zawiadowca stacji. Stacja Hoduciszki jednak milczała. W biurze, gdzie jest telefon, widocznie w tym czasie nikogo nie było, a mieszkający w budynku stacyjnym dyżurny ruchu Leon Chodziński nie miał telefonu. Policjant nie dawał jednak za wygraną i wciąż usiłował się połączyć.

Ja w tym czasie, pozostawiony na razie w pustym pokoju, zajęty byłem kłopotami osobistymi. Zastanawiałem się wciąż pełen niepokoju, w jaki sposób pozbyć się obciążających mnie materiałów. Policjant mógł przerwać w każdej chwili bezskuteczne na razie usiłowanie potwierdzenia mojej tożsamości i dokonać rewizji. Zgłosiłem więc propozycję, aby zadzwonił do sąsiedniej z Hoduciszkami stacji Łyntupy, gdzie uzyska równie wiarygodne informacje. Policjant radę moją przyjął w dobrej wierze, zyskałem na czasie.

Wróciła myśl — co zrobić z tą nieszczęsną kalką? Zgnieść ją w małą kulkę i rzucić na wysoki, stojący w kącie pokoju piec? — pomyślałem w pewnej chwili. A jeżeli za tydzień, dwa znajdą i skojarzą to z moją osobą, przyszła logiczna myśl druga. Nie, to byłoby nierozważne. Muszę to koniecznie zniszczyć. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko to zjeść! Zgniotłem kalkę w rękach i włożyłem w usta jak arkusik cieniutkiej szeleszczącej blachy. Z wielkim trudem i po długich minutach gryzienia zębami przełknąłem w końcu tę niewygodną, twardą pigułę. Poczułem się z miejsca swobodniejszy i bezpieczny. O dokumenty schowane w walizce byłem raczej spokojny, schowek był dobrze zamaskowany. Noc całą przesiedziałem jednak w komisariacie, ponieważ dopiero nad ranem udało się policjantowi skontaktować się z zawiadowcą stacji w Łyntupach, który potwierdził moje personalia. Okazały się one na tyle autorytatywne, że natychmiast zostałem zwolniony, obeszło się nawet bez jakiejkolwiek kontroli mego bagażu.

Docierając dopiero do Hoduciszek dowiedziałem się, co się stało wczoraj w Nowych Święcianach. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie,

o co mogłem być posądzony i czego dość szczęśliwie uniknąłem. Wiem na pewno, że znajomość języka litewskiego była moim pierwszym i znaczącym sprzymierzeńcem. Policjant był przekonany, że ma przed sobą Litwina, którego już tylko z powodu przynależności narodowej nie można było posądzać o akt sabotażu.

Znajomość języka litewskiego ratować mnie będzie jeszcze z wielu innych podobnych opresji. Tę przynajmniej miałem już szczęśliwie za sobą. Szczególne podziękowanie należało się Litwinowi, zawiadowcy Łyntup, który wiedząc już o napadzie na siedzibę gebietskommissara oznajmił policjantowi, iż jestem również jego bliskim przyjacielem i jakiekolwiek kojarzenie mojej osoby z tą akcją nie wchodzi w rachubę.

Zrodzić się może uzasadnione pytanie: skąd ta życzliwość Litwina dla Polaka? Pracowaliśmy na sąsiadujących, a więc blisko współpracujących z sobą stacjach, na równorzędnych stanowiskach. Znaliśmy się początkowo tylko ze służbowych rozmów telefonicznych. Pewnego razu spotkaliśmy się okazyjnie, osobiście. Były jeszcze kolejne spotkania służbowe, które pozwoliły na bliższe poznanie się. Był moim rówieśnikiem, inteligentny, patrzący daleko w przyszłość. Ta ostatnia cecha sprawiała, że okazywał w stosunku do mnie swą przychylność i serdeczność. Przyjmowałem to za dobrą monetę, odpłacałem się mu tym samym, choć elementarna ostrożność pozostała w tej naszej znajomości naczelną zasadą. Był to bowiem czas wojny.

Miałem też świadomość, że tacy jak on byli potrzebni nie tylko na dziś. Zdarzenie w Nowych Święcianach potwierdziło, że moje rachuby były uzasadnione. Przyjaźń nasza odtąd tylko się pogłębiła. Utrzymywaliśmy między sobą stosunki, będące przykładem cennego polsko-litewskiego partnerstwa. Był to w moim konspiracyjnym działaniu drugi taki Charunas.

Jeszcze jeden przykład określający stosunek partyzantki sowieckiej do polskiej, tym razem nie budzący już żadnych wątpliwości co do właściwych intencji. Była wiosna 1943 roku. Brygada AK por. Antoniego Burzyńskiego, ps. „Kmicic", liczyła już ponad 300 ludzi. Stałą bazę dla swojej brygady „Kmicic" założył w trudno dostępnych bagnach Puszczy Rudnickiej, w pobliżu obozu oddziału sowieckiego Fiodora Markowa. W oparciu o tę bazę „Kmicic" dokonywał zbrojnych wypadów na różne niemieckie punkty oporu i szlaki kolejowe. Z oddziałem Fiodora Markowa, którego znał jeszcze z czasów wspólnej nauki w seminarium nauczycielskim, stosunki układały się więcej aniżeli poprawnie.

I oto 26 sierpnia 1943 roku brygada por. „Kmicica" przestaje istnieć. Dowództwo brygady z por. „Kmicicem" na czele, zwabione pod pozorem towarzyskiego spotkania, zostaje wymordowane, brygada zaskoczona podstępem rozbita, a część ujętych partyzantów na

siłę wcielona do oddziału Markowa. Pobyt Polaków w oddziale sowieckim był krótki. Zbiegli z niego przy pierwszej nadarzającej się okazji i dołączyli do operującej również w tym rejonie brygady AK „Łupaszki".

Markow ma już nowego polskiego sąsiada. Nie traci czasu, proponuje „Łupaszce" nawiązanie przyjacielskiej współpracy. Ten przyjmuje zgłoszoną propozycję, wie jednak już dobrze, czego od Markowa może oczekiwać i do czego on jest zdolny. Przyjacielską współpracę ogranicza na razie do luźno zawartej umowy, zgodnie z którą obie brygady, działając na jednym terenie, zachowają całkowitą wzajemną tolerancję.

Zdarzało się jednak, że brygada „Łupaszki" atakowana była najniespodziewaniej nocą. Gdy walka przeciągała się do świtu, okazywało się, że atakującym nieprzyjacielem był oddział Markowa. Gdy spodziewany manewr zaskoczenia okazał się daremny, a jego twórca był zdemaskowany — Markow przepraszał „Łupaszkę", tłumacząc to zwykłą pomyłką w rozeznaniu nocą przeciwnika.

Wytrawny lis partyzancki mjr „Łupaszka" wiedział już zbyt dobrze, na czym te pomyłki Markowa polegają. Rewanżował się mu z nawiązką takimi akcjami, zadawał poważne straty, a gdy zachodziła potrzeba — również przepraszał i tłumaczył to pomyłką w rozeznaniu przeciwnika. W ten sposób rewanżował się podstępnemu Markowowi. Znając już dobrze jego taktykę i niecne zamiary, był zawsze czujny i dostatecznie ostrożny, by nie dać się zaskoczyć. Po ciężkich nieraz dziennych akcjach przeciwko Niemcom wybierał miejsce na nocleg możliwie bezpieczne i najlepsze do wypoczynku i ewentualnej obrony. Był dobrym dowódcą, dzielnym i przebiegłym taktycznie żołnierzem. Walczył odważnie i zaskoczyć się Markowowi nie dał. Stworzył wokół siebie legendę nieuchwytnego i stał się nawet postrachem partyzantki sowieckiej.

Niektórzy historycy, a także i czytelnicy pytają: Dlaczego ta dzielna brygada nie wzięła udziału w walkach o Wilno w dniach 6—13 lipca 1944 roku? Udziału wziąć nie mogła, ponieważ napadana wielokrotnie przez partyzantkę sowiecką zmuszona była stale do walk obronnych. „Łupaszka" zadał jej wiele poważnych ciosów, figurował tam na czarnej liście zagłady, a przewidywany kontakt z armią idącą ze wschodu był dla niego w najwyższej mierze niebezpieczny.

Jaki był więc stosunek partyzantki sowieckiej do polskiej? Czy haniebne mordy Markowa były wynikiem tylko jego osobistej w stosunku do Polaków postawy, czy też konsekwencją dyrektyw odgórnych?

Markow wielokrotnie proponował „Łupaszce" spotkania na „ich" terenie, które nasz dowódca ciągle odkładał. Zawarto więc zawieszenie broni, które trwało tylko dwa miesiące do kolejnego sowieckiego

napadu w miejscowości Radziusze. Pomimo że oddział Markowa był znacznie liczniejszy, zawsze posługiwał się podstępem. Tak też było i w Radziuszach. Mimo stale powtarzających się zbrojnych incydentów Komenda Wileńskiego Okręgu AK dążyła do osiągnięcia trwałego porozumienia. Dlatego w styczniu 1944 roku we wsi Syrowatki odbyło się kolejne polsko-sowieckie spotkanie. Tym razem na najwyższym szczeblu. Stronie polskiej przewodniczył gen. „Wilk", a sowieckiej niejaki Manochin. Poruszono na nim wszystkie obustronne zarzuty i pretensje, zawarto nawet ugodowe porozumienie. Obowiązywać odtąd miało rozgraniczenie terenów działania, wzajemna neutralność, a nawet planowano wspólne akcje bojowe.

Niestety, zaledwie kilka dni później dokonano podstępnego napadu na brygadę „Łupaszki". Zawarta świeżo umowa zerwana została jednostronnie przez stronę sowiecką. Nie mam dostępu do źródeł sowieckich, jest jednak inna jeszcze wersja pochodzenia Markowa jako sowieckiego pułkownika. Wersji tej nie znałem jednak do 1945 roku, choć przez dwa lata przebywałem w terenie jego działania. Wiedziałem natomiast, że stopień pułkownika otrzymał już w nagrodę swoich „działań" partyzanckich na terenie Polski. Nie ma to jednak znaczenia w omawianym temacie.

Aby w sądzie o partyzantce sowieckiej nie popełnić błędu, sięgnijmy do dokumentów. Przytoczę niżej treść uchwały podjętej na Plenum w Moskwie 22 czerwca 1943 roku przez Komitet Centralny KP Białorusi, noszącej tytuł: „O przedsięwzięciach w zakresie rozwijania ruchu partyzanckiego w zachodnich obwodach Białorusi". Dotyczyła ona również i Wileńszczyzny.

Do wszystkich wtedy Komitetów Obwodowych rozesłano następującej treści pismo okólne: „O wojskowo-politycznych zadaniach pracy w zachodnich obwodach Białorusi". W piśmie tym nakazywano, że podziemne, partyjne i komsomolskie organizacje w swojej polityce w stosunku do polskich burżuazyjnych nacjonalistów powinny kierować się następującymi ustaleniami:

1. Zachodnie obwody radzieckiej Białorusi stanowią integralną część Republiki Białoruskiej. Na zajętym przez Niemców terytorium Białorusi dopuszczalna jest tylko działalność grup, organizacji i oddziałów, które kierują się interesami mas pracujących państwa radzieckiego.
2. Istnienie różnorodnych organizacji, kierowanych przez polskie burżuazyjne ośrodki, należy traktować jako bezprawne wtrącanie się do spraw naszego kraju.
3. Nasze główne zadanie sprowadza się do tego, aby szerzej rozwinąć radziecki ruch partyzancki, wciągając do tego wszystkie warstwy ludności, w tym i Polaków. Nacjonalistyczne koła reakcyjne należy izolować od ludności przez tworzenie radzieckich

oddziałów i grup składających się z ludzi pracy narodowości polskiej.

4. Wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne.

Gdy zapoznamy się dokładnie z treścią powyższej uchwały, a potem przeanalizujemy taktykę i przebieg całej działalności partyzantki sowieckiej, to stwierdzimy bez trudności, że była ona wierną realizacją jej postanowień. To sowiecki najwyższy aparat partyjny nakreślał program, a w rozesłanej do tego instrukcji wskazał sposób praktycznej realizacji. Zgodnie z nią kresy wschodnie najpierw okupowano, a później dokonano wewnętrznej formalnej aneksji. Brygadę „Kmicica" zlikwidowano w sposób ściśle odpowiadający zaleceniom instrukcji, nakazującej: „wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne".

Czy nie tak samo, dokładnie z treścią instrukcji postępował wychowanek nauczycielskiego seminarium polskiego Fiodor Markow, który między innymi za popełnione morderstwa Polaków nagrodzony został przez władze sowieckie stopniem pułkownika?

Udział Litwinów w partyzantce sowieckiej był znikomy i podyktowany wyłącznie względami propagandowo-politycznymi. Wszak na terenach, które Związek Sowiecki jednostronnie przydzielił Litwie, nie mogło nie być partyzantki litewskiej. Wyręczyła ją sowiecka, zasilona litewskimi komunistami, których na Litwie przedwojennej, jak wiemy, było jak na lekarstwo. A swój rzeczywisty stosunek do komunizmu i „Kraju Rad" Litwini wykazali 22 czerwca 1941 roku, o czym wspominałem. Natomiast w lipcu 1944 roku wszyscy Litwini, bojąc się z kolei zemsty ze strony Rosjan, uciekli z miasta w głąb Litwy, skąd zresztą „po wyzwoleniu" Wilna do tego miasta przyjechali.

Powyższe fakty mówią same za siebie. Każdy komentarz jest tu zbędny. Te fakty nie mówią, lecz krzyczą najwymowniejszą prawdę o tym mieście!

NIE TYLKO W KONSPIRACJI

Życie podczas okupacji miało dla nas trzy oblicza: praca, konspiracja i sfera towarzyska. Praca była nakazem i koniecznością życiową, zapewniała bowiem minimum egzystencji oraz zabezpieczała w pewnym stopniu przed wywózką do Niemiec na przymusowe roboty.

Udział w konspiracji to rozdział szczególny. Nikt do niej nikogo nie agitował i nie namawiał. Potrzeba czynnego w niej uczestni-

czenia powstawała w sercu każdego Polaka samorzutnie, rodziła się z poczucia odpowiedzialności za niepodległość, była silnie odczuwaną potrzebą historycznej chwili. Szukając w takich sytuacjach kontaktów, znajdowaliśmy je bezbłędnie, choć kierowaliśmy się najczęściej, poza rozeznaniem, intuicją. A gdy wewnętrzna potrzeba stawała się zaspokojoną rzeczywistością, życie nabierało rumieńców. Wzięliśmy na swe barki trudne obowiązki i odpowiedzialność za dalsze losy skrawka naszej Ojczyzny. Czuliśmy się przez to wyróżnieni i dumni. Byliśmy po prostu Polakami.

Miałem wtedy lat dwadzieścia kilka, a młodość każda ma swoje prawa. Garnie się do rówieśników i potrzebuje życia towarzyskiego. W nowej jednak sytuacji nabrało ono innego zupełnie wymiaru i znaczenia. Przestało bowiem być tylko rozrywką dla samej rozrywki, zaczęło natomiast być kojarzeniem zdarzeń przyjemnych, wplecionych jednocześnie w nurt spraw konspiracyjnych. Przyjemność ze spotkań młodzieży połączona została z poważnymi obowiązkami, których wypełnianie stało się odtąd główną treścią naszego życia.

Był to jednak czas surowej okupacji. Zewsząd spoglądało na nas zagrożenie. Kierując się intencją zapewnienia choćby minimalnej tylko osłony, niektóre spotkania konspiracyjne urządzaliśmy pod rzekomym szyldem wieczorków towarzyskich.

Jednym z najczęściej odwiedzanych było mieszkanie mjr. Michała Budkiewicza przy ulicy Zarzecze 7/2. Na organizowane w tym domu spotkania towarzyskie przychodziła młodzież będąca członkami ZWZ i AK: o złotych włosach Halinka Poniatowska, ciemnooka Wanda Dukalska, Halinka Sienkiewiczówna, Marta Mirska, Kazimierz Cis, Longin Blinstrub, Jan Nagrabiecki, Paweł Świetlikowski, Anatol Rymaszewski, Zygmunt Dziarmaga-Działyński, Bernard Ładysz, Zygmunt Suchodolski, Ferdynand Trojanowski i wielu innych żołnierzy Dzielnicy B.

Głównym organizatorem tych spotkań był Anatol Rymaszewski. Trud to był niemały, w tym się jednak wyżywał i czuł się z tego powodu zadowolony. Na każdym spotkaniu głębokich przeżyć dostarczali zebranym Bernard Ładysz, Jan Markiewicz, Zygmunt Suchodolski, Ferdynand Trojanowski i jedna w tym doborowym gronie godna ich dziewczyna — Marta Mirska. Parę słów przypomnienia o każdym z nich:

Bernard Ładysz zdobył światową sławę, podziwiała go nawet włoska La Scala. Jan Markiewicz, bas-baryton, o głosie co do siły podobnym do głosu Ładysza, talentem równy, był postacią dramatyczną ze względu na brzmienie głosu oraz fakt, że był niewidomy. Fascynował swym wspaniale brzmiącym głosem, grą na fortepianie i doborem odpowiednich pieśni i piosenek. Pieśni o Napoleonie „Mały

Kapral" wykonywanej przez Janka słuchać by się nie chciało bez końca.

Do fortepianu prowadził go zwykle „Andrzej", trzymając lekko pod ramię. Gdy już siadł na stołku przed fortepianem, ręce jeszcze położył bezszelestnie na klawiszach, jakby sprawdzić chciał sam siebie, głowę ciemnowłosą uniósł nagle do góry, testował jeszcze klawiaturę fortepianu, a przez wnętrze pokoju płynął powiew nie dających się określić nastrojów: protestu, buntu, wezwania do walki.

Po pierwszych dźwiękach uderzała nagle salwa grzmiących w oddali armat, a tuż za nimi brzmiący mocą baryton rysował obraz idących do ataku polskich żołnierzy. Rodziło to w sercach zgromadzonych podziw dla ich siły i gotowości do walki, ceną której było zwycięstwo! A gdy na wyniosłym pagórku zgodnie z podpowiedzią wyobraźni ukazywał się nagle „Mały Kapral" i skinieniem prawej ręki wskazywał kierunek głównego natarcia — wnet niby morskie fale uderzały zwarte szeregi walecznych i żądnych żołnierskiej sławy grenadierów. Miażdżąc po drodze każdy bezskutecznie stawiany opór, szli jak groźna lawina naprzód i tylko ciągły okrzyk „hurra" rozlegał się po bitewnym polu. Ten okrzyk i jego echo wnet zlały się w słowo jedno, dla żołnierza każdego najświętsze: zwycięstwo!

Zamilkła pieśń, Janek trzymał chwilę jeszcze ręce nad milczącą klawiaturą, patrząc daleko przed siebie, jakby chciał ogarnąć pole stoczonej przed chwilą bitwy... Podniósł się z miejsca, kilkadziesiąt życzliwych dłoni złożyło się do oklasków, zrobił pół obrotu w tę stronę, skąd one dochodziły, dziękując lekkim skinieniem głowy. „Andrzej" ujął go wolno pod rękę i odprowadził na poprzednio zajmowane miejsce.

Wszyscy byliśmy wciąż jeszcze pod niezapomnianym wrażeniem wystąpienia Janka. Ale i zapowiedziany przez „Andrzeja" „Kiepurka" (jak go nazywano) Zygmunt Suchodolski stał już przy fortepianie. Głos miał piękny i silny, określany w języku muzycznym jako bohaterski tenor. Może był jeszcze momentami nieco surowy, jednak wielką przyszłość przepowiadano mu ze wszystkich stron. Nie mylili się ci wszyscy, uniknął szczęśliwie losu katorżniczego, rozwinął jeszcze swój talent i będąc zdawałoby się u szczytu swej sławy, utracił zupełnie w wyniku choroby swój głos.

Ferdynand Trojanowski był wziętym piosenkarzem. Zawsze uśmiechnięty, powszechnie lubiany, bezpośredni. Losy tego pokolenia rzuciły go po wojnie na Śląsk, gdzie w miejscowej operetce zabawiał publiczność znakomitą konferansjerką.

I nasz rodzynek Marta Mirska. Los nie zaoszczędził jej ciężkich przeżyć. Przeżyła ogromnie śmierć narzeczonego lotnika w walkach powietrznych nad Londynem. Zaciążyła ona na całej jej późniejszej karierze artystycznej. Repertuar dobierała przeważnie w tonacji

smutnej, sentymentalnej, wspomnieniowej. Przez wiele lat społeczeństwo polskie słuchało tej piosenkarki na estradach całego kraju i w polskim radiu.

Występy estradowe przeplatane były deklamacjami wierszy młodych, zdolnych poetów Kazimierza Cisa, ps. „Halny", i Jana Nagrabieckiego, ps. „Wandal" od imienia narzeczonej Wandy. Wiersz „Błękitna modlitwa" K. Cisa wywoływał zachwyt i powszechne uznanie. Również twórczość „Wandala" pełna była subtelnego uroku i szlachetnych, młodzieńczych uniesień. Powyższe spotkania odbywały się z okazji przypadających świąt narodowych i innych wydarzeń. W tych przypadkach zebrana przy fortepianie młodzież służyła za osłonę odbywających się jednocześnie spotkań konspiracyjnych.

Podobne spotkania odbywały się również w mieszkaniu Zbyszka Zambrzyckiego przy ulicy Rzecznej 14, gdzie spotykała się także grupa młodych, wybijających się artystów teatru wileńskiego „Reduta", a wśród nich: Hanka Bielicka, Hanka Skarżanka, Jerzy Duszyński i pieśniarka Harkawa.

Mieszkanie poetki Wichert-Kajruksztisowej przy ulicy Mostowej 3 spełniało rolę wieloraką. Syn poetki, chirurg, był dyrektorem Polikliniki Wileńskiej i pomagał akowcom wychodzić z niejednej trudnej opresji. Tu odbywały się wykłady prof. Mariana Morelowskiego i prof. Henryka Łowmiańskiego, historyka Słowiańszczyzny. Tu również odbywały się wielokrotnie zakonspirowane i strzeżone spotkania wyższych dowódców Dzielnicy B.

Dom na Krzywym Kole 8 to mieszkanie rodziców Wandy Dukalskiej, „kwatera" konspiracyjna, miejsce życia kulturalnego Wilnian i spotkań młodzieży z konspiracji. Wanda Dukalska to utalentowana malarka i pianistka. Częstymi uczestnikami spotkań byli tu: Zbigniew Kopalko z polskiego radia w Wilnie, pianista Czesław Ziębicki i inni. Słuchano utworów poetyckich „Halnego" i „Wandala", grano Chopina, Griega, Rachmaninowa.

Jak z tego choćby tylko wycinkowego obrazu można wnioskować, czas wojny i okupacji nie zabił w nas hartu ducha, a prowadząc walkę z wrogiem nie zapomnieliśmy również o swoich obowiązkach względem polskiej kultury, tradycji i nauki.

GŁÓWNA „KWATERA" DZIELNICY B

Dzielnica B dysponowała wieloma „kwaterami", w których odbywała swoje konspiracyjne oraz kulturalno-towarzyskie spotkania.

Elementarna ostrożność nakazywała stałą czujność i zmiany miejsc spotkań. Czyniono to w zależności od aktualnej sytuacji, ważności spotkań oraz ilości członków biorących w nich udział.

Najczęściej wykorzystywaną „kwaterą" było mieszkanie mjr. Michała Budkiewicza przy ulicy Popowskiej 32/3, a później przy ulicy Zarzecze 7/2. Rola, jaką w tworzeniu Dzielnicy B odegrała ta „kwatera" i mieszkająca w niej rodzina majora, była ogromna i nigdzie dotąd, jak sądzę, nie ujawniona. Czynię więc to ze zrozumiałą satysfakcją, jak na to zasługuje waga wydarzeń, które tam miały swój początek.

Major Michał Budkiewicz, ps. „Maks", „Sokół" pełnił funkcję szefa kontrwywiadu w Sztabie dowódcy 2. Rejonu Dzielnicy B. Rodzina to żona i trzy córki: Wiesia, Maryla i Sława. Wszyscy byli członkami ZWZ i AK. Tu młodzież składała przysięgę, tu otrzymywała pierwsze konspiracyjne ostrogi, stąd również wiodły ich drogi do brygad leśnych. Córki majora spełniały w takich przypadkach rolę przewodniczek.

Przy takich okazjach powstawały nowe znajomości i serdeczne przyjaźnie. Zdarzyło się też, że np. Wiesia odprowadziła Piotra Konarzewskiego, ps. „Orlik", do brygady „Błyskawica", po pewnym czasie do brygady „Konara", a na końcu do ołtarza i została Wiesławą Konarzewską. Pierwsze spotkanie w tym domu przy ulicy Popowskiej 32/3 odbyło się w dniu 11 listopada 1939 roku z okazji obchodzonego wtedy święta narodowego. Spotkanie miało właściwie charakter akademii. Patriotyczne pieśni, deklamacje i przemówienia złożyły się na jej uroczysty przebieg. Słowo wstępne wygłosił gospodarz domu, który jako uczestnik I wojny światowej dzielił się swymi przeżyciami na froncie. Współorganizatorami takich spotkań był „Andrzej" oraz najbliżsi koledzy z otoczenia „Maksa".

Dom ten sąsiadował z obiektem wojskowym, być może dlatego uniknęliśmy szczęśliwie podejrzeń służb specjalnych. Okupant jednak nie pytał i nie pertraktował, gdy sześciopokojowe mieszkanie majora uznał za stosowne zagarnąć dla siebie, wysiedlając pięcioosobową rodzinę lokatora do dwupokojowego przy ulicy Zarzecze 7/2. Pracy konspiracyjnej major jednak nie zaprzestał. Zmienił się tylko odtąd adres naszych spotkań. Nadal w mieszkaniu tym odbywały się spotkania konspiracyjne na szczeblu dowództwa Dzielnicy, kulturalno-towarzyskie wieczorki i akademie.

Cała bez żadnego wyjątku rodzina majora „Maksa" brała czynny udział w pracy podziemia.

Mieszkanie państwa Budkiewiczów było nie tylko miejscem spotkań i narad, miało znaczenie też inne. Przy wejściu do mieszkania była przemyślnie zamaskowana komórka-schowek, w którym mieścił się jeden z większych na owe czasy arsenałów broni. Tu przechowy-

wano karabiny, pistolety, granaty, skrzynki z różną amunicją. Szefem jego, a zarazem i magazynierem był we własnej osobie mjr „Maks". Wychodził bowiem ze słusznego założenia, że im mniej jest ludzi wtajemniczonych, tym jest bezpieczniej.

Transport broni do oddziałów należał do obowiązków trzech dzielnych córek majora. Wszystko więc pozostawało w rodzinie. W uzgodnione dni spotkań czy narad przysłowiowa doniczka z kwiatami wystawiona w umówionym oknie mówiła o bezpieczeństwie w tym domu. Tu wybiegnę nieco do przodu.

Nadszedł wrzesień 1944 roku. Zjawiło się NKWD. Jego ludzie przeprowadzili w tym domu szczegółową rewizję i choć niczego kompromitującego nie znaleźli, majora „Maksa" aresztowali. W dwa dni później przyszli powtórnie, aby aresztować pchor. „Orlika", męża Wiesi.

Nie minął i tydzień, jak pojawili się znowu. Zastukali dyskretnie do drzwi. Otworzyła Wiesia, nie spodziewając się niczego złego. Jeden z dwóch stojących przed drzwiami czekistów (tych poznawało się z miejsca nawet przebranych po cywilnemu) zapytał: „Czy tu mieszka Wiesława Konarzewska?" — Niby prąd elektryczny przeszedł po jej ciele, odgadła, po co przyszli tym razem, więc siląc się na tłumiony spokój, odpowiedziała: — Zaraz ją poproszę — i zamknęła niby chwilowo drzwi. Przez okno wyskoczyła do ogrodu. Szczęśliwie wyprowadziła ich tym razem w pole. Uciekła i ukryła się jakiś czas na wsi.

Żyjąc na nielegalnych papierach starała się jednocześnie o wyjazd do Polski. 5 maja 1946 roku siedziała już w pociągu repatriacyjnym. Wysadzono ją z pociągu już na stacji kolejowej w sławnych Ponarach. Stąd na Łukiszki. Po znanych już dobrze perypetiach — etapy: Karaganda, Bałcharz, Manskil, rejon Krasnojarskiego Kraju.

Dopiero 17 listopada 1956 roku nastąpił powrót do kraju. Cała rodzina spotkała się i zamieszkała w Legnicy. Major „Maks", „Sokół" zmarł 29 października 1972 roku na serce. Przytoczyłem historię losu majora „Maksa" i jego rodziny nie dlatego, że jest ona wstrząsająco tragiczna. Podobny bowiem los spotkał całą szeroką kadrę dowództwa Dzielnicy B, o czym wspomnę na końcu relacji.

HODUCISZKI

Latem 1943 roku dostałem kolejne przeniesienie służbowe na stację kolejową Hoduciszki. Leżała na trasie Wilno—Podbrodzie—Królewszczyzna. Już od Podbrodzia linia kolejowa biegła przez

gęsty masyw leśny, tylko po obu jej stronach Niemcy dokonali wycinki na szerokość 60 metrów, zwiększając przez to stopień zabezpieczenia pociągów przed atakami partyzantów.

Teren ten był bardzo niebezpieczny, ludność miejscowa — wielonarodowościowa, w okolicznych lasach grasowała partyzantka sowiecka, „gospodarzył" tu również dzielny „Łupaszka", pojawiał się też czasami sam mjr „Węgielny".

Partyzantka sowiecka była o tyle niebezpieczna, że działała zawsze podstępnie. W roku 1943 spalili stację kolejową Gieładnia, uprowadzając z sobą do lasu dyżurnego ruchu, po którym, jak to bywało w takich przypadkach, słuch wszelki zaginął. Sowieci korzystali z informacji swoich szpiegów, których w tym terenie im nie brakowało.

Wypadki, że rano znajdowano ciała zabitych mężczyzn gdzieś w odległym polu lub blisko przy torze — nie były wcale zjawiskiem rzadkim ani też nikogo specjalnie nie zaskakiwały. Ludzie się do tego przyzwyczaili, nie usiłowano nawet dochodzić, kogo i za co los taki mógł spotkać.

Na stacji w Hoduciszkach zmieniono w ciągu jednego tylko przed moim przyjściem roku aż czterech zawiadowców stacji, z których jednego wyrzucono za pijaństwo, jednego uprowadziła w nocy do lasu partyzantka sowiecka, a jeszcze innemu udało się przed podobną akcją Sowietów uciec w samej bieliźnie.

Trafiłem w sam raz w towarzystwo najbardziej odpowiednie. Sygnalizowałem już jednak, że u pewnych służb byłem na cenzurowanym, zdradzić się niczym nie miałem prawa, wzmóc tylko musiałem swoją czujność i wzbogacić taktykę postępowania. Wśród podległych sobie na stacji pracowników miałem tylko jednego Polaka, pozostali to Litwini i Białorusini, w tym także jeden przedwojenny komunista, który z tej choroby rzekomo się skutecznie po przyjściu Rosjan wyleczył, lecz w aktualnych warunkach był dla mnie kimś, przed kim należało się mieć szczególnie na baczności. Porucznik „Lech" był już po kursie dyżurnych ruchu, załatwiłem więc z Charunasem jego przydział do Hoduciszek. Wzmocniło to moją pozycję na stacji, pozyskanie zaufania pozostałych pracowników zostawiłem na później.

Podziemie wileńskie znowu poniosło znaczącą ofiarę. W lipcu, po rocznej pracy w BIP (Biuro Informacji i Propagandy) gestapo aresztowało ppor. Zygmunta Andruszkiewicza. Na opuszczone stanowisko powołano Antoniego Kokocińskiego, ps. „Julian".

Ukazuje się gazetka pt. „Niepodległość", redagowana przez dr. Jerzego Dobrzańskiego, ps. „Maciej", i ppor. Stanisława Kiałka, ps. „Bolesław". Współredaktorami gazetki byli: prof. Witold Staniewicz, Marian Morchowski, Ludwik Chmaj i Szczepan Szczaniawski. Stron-

nictwo Narodowe wydaje gazetkę pt. „Walka" oraz szereg innych. Wszystkie one są właściwie jedynym źródłem informacji przekazywanych przez Polaków z rąk do rąk.

Wczoraj rano znaleziono w polu zabitego mężczyznę. To już trzeci w ciągu ostatniego miesiąca taki wypadek. Podłoże zabójstwa jak zwykle nieznane. Barometrem ogólnego napięcia była sytuacja międzynarodowa i przebieg walk na froncie. Pocieszamy się wiadomością, że amerykańskie dywizjony lotnicze rozpoczęły bombardowanie niemieckiego zaplecza przemysłowego. Spóźnioną wiadomość, że w Związku Sowieckim sformowano 3 Dywizję Strzelców Karpackich, przyjęto z wielką rezerwą, zbyt wiele bowiem było wrogich w stosunku do Polski posunięć Kremla. Nic więc dziwnego, że podana wiadomość jeszcze w październiku 1942 roku o pełnym wyprowadzeniu polskich jednostek wojskowych do Iranu wzbudziła różne domysły i komentarze.

Był to jednak okres, gdy armie aliantów wykazywać zaczęły pierwsze inicjatywy bojowe. Rok 1943 stał się przełomowy. 3 września 1943 roku dochodzi do ogłoszenia kapitulacji Włoch.

Jeszcze parę miesięcy wcześniej, 4 lipca, całą Polskę wstrząsnęła wiadomość o tragicznej śmierci generała Władysława Sikorskiego w wypadku samolotowym w Gibraltarze. Był to cios okrutny, traciliśmy bowiem wielkiego Polaka o uznanym autorytecie międzynarodowym.

13 października nowy rząd Włoch wypowiada wojnę Niemcom. Szala losów wojny przechyliła się w sposób widoczny na stronę aliantów. Poprawił się znacznie nastrój Polaków, rysował się już zarys przyszłego zwycięstwa, wzrastały uzasadnione nadzieje w naszych sercach na szczęśliwe i pomyślne dla Polski zakończenie wojny.

Wileńszczyzna okupowana i rygorystycznie zarządzana przez Niemców, wspieranych przez administrację litewską, dźwigała na sobie wszystkie narzucane ciężary i dolegliwości. Pocieszała świadomość, że armia niemiecka, odnosząca do niedawna zwycięstwo po zwycięstwie, straciła nagle na impecie, poniosła kilka nieodwracalnych klęsk, wyczerpała atuty stosowanego dotychczas zaskoczenia. A gdy zabrakło jej buńczucznie wyrażanej pewności siebie, na sprawnie dotąd działającym organizmie brunatnego potwora pojawiać się zaczęły oczekiwane przez nas rysy.

Generał Stasys Rasztikis odmówił współpracy, nie chciał być figurantem, nawet gen. Plechaviczius nie zgodził się na wysłanie swojej dywizji na front wschodni. Niemcy zamknęli Uniwersytet Wileński w 1943 roku. Był to ich odwet za nieposłuszeństwo Litwinów.

Powyższe fakty świadczą jedynie o tym, że Litwini nie zgodzili

się na wojskowe zaangażowanie się w tej wojnie po stronie Niemców. Nie wiemy natomiast nic o stawianych przez obie strony warunkach. Podobne zamierzenia początkowo mieli również Ukraińcy (UPA) oraz 5-milionowa armia gen. Własowa. Wiemy tu jednak, że przywódcom chodziło o uzyskanie niepodległości, na co Hitler nie udzielił swojej zgody. Można więc przypuszczać, że analogiczny był stosunek Hitlera również do Litwy. Hitler wierzył święcie w swoje ostateczne zwycięstwo i dlatego nie szedł z nikim w żadne układy.

Niepomyślne dla Niemców wieści z frontów dostarczały dodatkowych impulsów do przyśpieszonej pracy w naszej konspiracji. Litwini też chcieli mieć swoją konspirację niepodległościową, budowali na wzór AK „Laisves Armija", lecz aktywnej działalności swojej nigdzie nie zaznaczyli.

Na arenę pracy konspiracyjnej Dzielnicy B Wilno-Śródmieście wchodzi latem 1943 roku jej dowódca mjr Władysław Zarzycki, ps. „Rojan", oficer zawodowy 6 pp Legionów. Już po pierwszym z nim spotkaniu można było zauważyć, że reprezentuje wszystkie znane, typowe dla zawodowego oficera walory, oddanego bez reszty służbie żołnierskiej i swemu ideowemu przywódcy marszałkowi Józefowi Piłsudskiego.

Do tej pracy o znacznie wyższym już rygorze wojskowym musiałem się odpowiednio przygotować i nastawić. Dotyczyło to również, a może nawet przede wszystkim, mojej pracy zawodowej. Realizacja tego zadania wymagała spełnienia dwóch podstawowych warunków: pozyskania przychylności i zaufania podwładnego personelu na stacji oraz takie zorganizowanie pracy, które umożliwiłoby mi na możliwie częstsze i dłuższe pobyty w Wilnie. Tam bowiem ogniskowało się gros moich konspiracyjnych obowiązków.

Z ustaleniem odpowiedniego harmonogramu pracy kłopotów było najmniej. Miałem na stacji już trzech dyżurnych ruchu, w tym był por. „Lech". Trzej dyżurni ruchu pełnili dyżur ciągły na trzy zmiany. Porucznika „Lecha" uczyniłem moim zastępcą, aby mieć pewność, że podczas mojej nieobecności w Hoduciszkach praca na stacji przebiegać będzie bez zakłóceń.

Pozyskanie sympatii personelu było sprawą już trudniejszą. Był to czas wojny, okupacji, sprzyjający do uzasadnionych i nieuzasadnionych porachunków osobistych i politycznych. Był to również czas trudnych warunków życia, niedostatków i walki o byt.

Jako zawiadowca stacji otrzymywałem 100 marek miesięcznego wynagrodzenia, to znaczy akurat tyle, ile kosztował na wolnym rynku 1 kilogram wiejskiego masła czy słoniny. Pracownicy moi za-

rabiali proporcjonalnie mniej. Miałem już pomysł i rozwiązanie tak ważnego dla mnie problemu. Mogłem wesprzeć ich materialnie. Chłopom potrzebna była nafta. Za litr tego paliwa dostawało się kilogram masła lub słoniny. Naftę używaliśmy do oświetlenia sygnałów stacyjnych, co miesiąc otrzymywałem zgodnie z przydziałem normatywnym zamówioną ilość.

Jak zwiększyć wielkość tej dostawy — stało się pilnym problemem do rozwiązania. Kierownikiem działu zaopatrzenia w Dyrekcji Wileńskiej był p. Trocki, jak się wkrótce okazało członek AK. Przedstawiłem swoją sprawę, jak było w rzeczywistości. Odtąd otrzymywałem zwiększone ilości nafty.

Dodatkowych ilości nafty przysparzali mi partyzanci, dokonujący ataków dywersyjnych na pociągi i szlaki kolejowe na linii Podbrodzie—Królewszczyzna. Każda taka awaria powodowała przerwy w ruchu pociągów, trwające niekiedy i kilka dni. Ograniczając w tym okresie oświetlenie sygnałów w obrębie stacji, zyskiwałem oszczędności, które powiększały pulę nafty przeznaczonej do podziału dla pracowników.

Podziału dokonywałem raz w miesiącu. Każdy z pracowników otrzymywał jednakową porcję niezależnie od pełnionych obowiązków służbowych. System ten wykluczał powstawanie na tym tle niesnasek, a wielkość każdorazowego przydziału zależała jedynie tylko od ilości „wygospodarowanego" przez miesiąc paliwa. Każdemu przypadało średnio 15—20 litrów nafty miesięcznie, to znaczy tylekroć razy większe wynagrodzenie otrzymywali, mnie to tylko zawdzięczając. W tamtych czasach był to zastrzyk materialny trudny dziś do wyobrażenia. Wdzięczni byli niezmiernie, w pracy starali się być wzorem, a ja na tym „dzikim zachodzie" poczułem się bezpieczniej.

Obie strony, to znaczy ja i moi pracownicy, związane były niepisaną umową zachowania tego wszystkiego w jak największym sekrecie. Za takie transakcje Niemcy karali śmiercią przez rozstrzelanie. Groziło to nam wszystkim bez wyjątku. Pracowałem wtedy jednak w Hoduciszkach i ryzyko takie podjąć musiałem.

Po uporządkowaniu swoich spraw służbowych mogłem teraz ze spokojem i znacznie więcej czasu poświęcić na sprawy konspiracji. Do Wilna jeździłem teraz tak często i na tak długo, jak tego wymagała sytuacja. W Hoduciszkach rezydował w tym czasie por. „Lech", który był moim kuzynem.

W Wilnie nadszedł wreszcie okres przygotowań i działań, których charakter nie budził wątpliwości, że zbliżamy się do końca pracy w podziemiu. Nikt co prawda nie mówił tego jeszcze otwarcie i wprost, ale wszystkim było już powszechnie wiadomo, że tak długo oczekiwana godzina upragnionych walk zbliża się nieuchronnie. Było to

teraz szczególnie wyczuwalne na odbywających się regularnie co miesiąc spotkaniach dowódców batalionów. Czasami bywał na tych naradach również por. Jan Śleszyński, ps. „Jan", oficer sztabu mjr. „Rojana".

Jak już wspomniałem, spotkanie pierwsze przeznaczył mjr „Rojan" na zapoznanie się z ogólną sytuacją w Dzielnicy B, referowaną przez każdego dowódcę batalionu. Dotyczyła ona stanów liczbowych oddziałów, zasobów broni, miejsca jej przechowywania, kadry oficerskiej i podoficerskiej, morale żołnierzy. Poruszył również sprawę łączniczek, ich przeszkolenia i kwalifikacji wojskowych. Zorientowawszy się w podstawowych danych, zarządził przeprowadzenie próbnego alarmu wszystkich jednostek Dzielnicy B. Chciał się bowiem upewnić, na ile podane w ustnym raporcie dane odpowiadają rzeczywistym.

Był to okres okupacji, próbny alarm musiał być przeprowadzony z zachowaniem wszystkich wymogów konspiracyjnej ostrożności. Punkty zbiórek określonych liczbowo grup wyznaczono w mieszkaniach, z uwzględnieniem rejonu i miejscowych warunków. Alarm przeprowadzono zgodnie z planem, bez jakichkolwiek zakłóceń. Na najbliższej naradzie mjr „Rojan" wyraził swoje podziękowanie za sprawność organizacyjną, którą osobiście miał okazję stwierdzić. Był to przyjemny akcent wzajemnego zbliżenia się i zdobycia zaufania dowódcy Dzielnicy przez jego bezpośrednich podwładnych. Należy przy tej okazji podkreślić, że miało to pozytywne znaczenie w dalszej współpracy.

Na kolejnych spotkaniach omawiane były zagadnienia strategii ogólnej i jednostkowej. Zalecano uzupełnienie stanów w niektórych oddziałach, wzmocnienie kadry dowódczej i prowadzenie w miarę możliwości stałego szkolenia bojowego żołnierzy. Szczególny nacisk należało odtąd położyć na zdobycie broni oraz zasilanie ludźmi, związanych organizacyjnie i kadrowo z Dzielnicą B, brygad leśnych „Szczerbca", „Konara" i „Błyskawicy".

Powiązania jeszcze przedwojenne Zygmunta Dziarmagi-Działyńskiego, ps. „Józef", z Bolesławem Piaseckim, „Sablewskim", sprawiały, że te osobiste, dawne kontakty wpływały również na bieżącą współpracę, choć była ona nieformalna i najczęściej miała charakter utajniony. Wszystko odbywało się czasem kosztem 2 Rejonu Dzielnicy B, co w wyniku końcowym doprowadziło do zbędnego i szkodliwego dla Dzielnicy nieporozumienia między mjr. „Rojanem" i kpt. „Józefem". Wspierano w pewnym okresie Uderzeniowy Batalion Kadrowy (UBK) „Sablewskiego" żołnierzem, nawet i bronią, której brakowało w 2 Rejonie.

W czerwcu 1943 roku odchodzi por. Anatol Rymaszewski, ps. „Andrzej", do Kedywu na stanowisko zastępcy dowódcy mjr. Kazi-

mierza Radzikowskiego, ps. „Dąbek". Była to dla Dzielnicy B duża strata. „Andrzej" był bowiem w konspiracji człowiekiem, który w swoim niestrudzonym działaniu stale miał coś jeszcze do zrobienia, zorganizowania, dokonania czegoś jeszcze nowego. Werbował nowych członków do organizacji, tworzył brygady leśne, w Garnizonie organizował spotkania, tajne nauczanie i koncerty towarzyskie, skupiał wokół siebie wartościową młodzież i ludzi, którzy służbę Ojczyźnie uważali za obowiązek największy. Charakteryzując działalność „Andrzeja", staram się być maksymalnie obiektywny. Dlatego też w równym stopniu zobowiązany jestem poruszyć i jego pociągnięcia nieudane, świadczące, jak np. próba dokonania zmiany kadrowej w dowództwie brygady „Szczerbca", że może i dobry skądinąd zamiar realizowany był bez właściwego i należytego w takich przypadkach rozeznania. Ambicje bowiem nieraz zawodzą, nie mogąc sprostać zmieniającej się sytuacji.

Poświęcam należne mu miejsce powtórnie, ponieważ na to sobie zasłużył i zwykła rzetelność pamiętnikarza nakazuje, abym to uczynił. Aby to wszystko opisać, do materiałów żadnych sięgać nie muszę. Współpracowałem z nim bowiem przez lat pięć w konspiracji, przeszliśmy razem dwa więzienia i 16 miesięcy trwające dwa śledztwa, wspólny wyrok oraz 12 lat pobytu w tych samych katorżańskich łagrach zapolarnej Workuty.

W końcu trzeciego kwartału 1943 roku batalion mój traci wspaniałego człowieka i żołnierza, aresztowany zostaje dowódca 3 plutonu 4 kompanii podchorąży, a później oficer działu redakcyjnego Kazimierz Cis, ps. „Halny". Przyczyną aresztu była „skrzynka" kontaktowa, która przez nieostrożność porucznika „Górala" wpadła w ręce pracownika litewskiej „Saugumy". „Halny" trafił do „skrzynki", ponieważ tą drogą załatwiano mu wystawienie nowego zaświadczenia pracy na kolei. Mimo brutalnego traktowania nie przyznał się do niczego i to go uratowało, ponieważ sprawa dotyczyła dokumentów, a nie pracy w podziemiu. Po sześciu miesiącach pobytu w więzieniu został wyznaczony do przygotowanego transportu na prace w Reichu, ale ulotnił się z ulicy Świętojańskiej, gdzie go trzymano, do 3 batalionu 77 pułku AK Podokręgu Nowogródzkiego.

„Halny" zdał celująco trudny egzamin w więzieniu, choć był wtajemniczony i znał dokładnie struktury organizacyjne Dzielnicy B, nikogo nie wydał, a potrafił również uratować i siebie, salwując się szczęśliwą ucieczką. Był jednym ze ścisłego grona dowództwa Dzielnicy B, który przeszedł razem cały okres konspiracji i jakże trudnych 12 lat w łagrach Workuty. Przyczynił się do tworzenia fundamentów Dzielnicy B, tworzył ją, redagował gazetki, był zdolnym, wybijającym się poetą. Okazało się, że ten wrażliwy na piękno słowa i subtelny poeta w życiu potrafił być również twardym żołnierzem.

Przywołując dziś w pamięci dawne zdarzenia i ludzi, nie mogę w tym miejscu nie zadać sobie pytania: Jaka siła, moc i wiara sprawiły, że ci ludzie wszystko to przeżyli, przecierpieli, a powróciwszy do kraju moralnie nieskażeni dokonać jeszcze potrafili rzeczy naprawdę zasługujących na szacunek i uznanie. Gdy wybuchła wojna, często nie mieli ukończonych jeszcze szkół, studiów, a dziś po siedemnastu latach przerwy w życiorysie służą Ojczyźnie, tak jak: Andrzej Święcicki — profesor, Tadeusz Mieczkowski — docent, Lech Iwanowski — docent, członek PAN, Mieczysław Matuszczak — dyrygent, Jerzy Urbankiewicz — pisarz, Lech Bednarczuk — literat, Anatol Rymaszewski — działacz kultury, Longin Blinstrub — wyższe studia ekonomiczne, Krystyna Rzewuska — filolog, Stefana Szantyr — dr medycyny, Halina Urbanowicz — mgr ekonomii, Danuta Ciesielska — mgr prawa, Kazimierz Cis — poeta, literat, redaktor, Tala Zarzycka — mgr ekonomii, Kazimierz Jankowski — mgr inż. górnik, Czesław Kliks — studia wyższe ekonomiczne, Edward Kieda — lekarz, Henryk Sobolewski — mgr ekonomii, że na tych tylko ze swego najbliższego otoczenia poprzestanę.

Pod wspólny sztandar Armii Krajowej ciągnęło nas poczucie obywatelskiego obowiązku. Godne jego spełnienie dało tę siłę moralną, która pozwoliła przezwyciężyć wszystko i przetrwać z wiarą, że wiele ważnych spraw pozostało do uratowania. W latach okupacji Armię Krajową traktowałem jak organizację czysto wojskową, dziś wiem, że wpoiła w nas również wysokie wartości etyczne. Jej zawdzięczamy, że dziś każdy akowiec jest nam bratem.

Czas mojej pracy w Hoduciszkach zbiegł się z ważnymi rozstrzygnięciami na kilku frontach 2 wojny światowej, z wyczuwalną nerwowością okupacyjnych władz wileńszczyzny oraz zdecydowanymi zaleceniami Komendy Głównej AK w Warszawie.

Załamanie się frontu niemieckiego i widoczne już operacje wojskowe o charakterze odwrotowym były powodem wydania przez Komendę Główną AK instrukcji L.Dz. 1300-III z dnia 10.11.43 r., którą znam jedynie w ogólnym zarysie. Takie były jej wytyczne: Atakować straże tylne cofającej się armii niemieckiej. Powyższe zadanie traktować jako główne zadanie Armii Krajowej. W stosunku do partyzantki sowieckiej zachować możliwą neutralność. Wkraczającą do Polski za cofającymi się Niemcami Armię Radziecką traktować jako armię sojuszniczą.

Konsekwencją wydanej Instrukcji było zalecenie mjr. „Rojana" wydane w końcu 1943 roku, aby przygotować się do akcji „U" Otrzymałem osobiste polecnie wyznaczenia w tym celu specjalnej kompanii ze swego batalionu.

Do akcji tej wyznaczyłem 4 komp. ppor. Mariana Homulickiego,

ps. „Wiktor II" z dowódcami wydzielonych plutonów ppor. „Burym" oraz plut. „Bojko". Zadaniem wstępnym było zdobycie pełnego rozeznania o następujących obiektach: Komisariat nr 6 przy ulicy Sierakowskiego, więzienie Łukiskie i gmach Sądu przy ulicy Ofiarnej, fabryka obuwia Brewińskiego przy ulicy Wielkiej, niemiecki magazyn żywnościowy przy ulicy Mała Pohulanka oraz magazyn zapasów różnych przy ulicy A. Mickiewicza, vis-à-vis hotelu „Zorz".

Dowódcą akcji „U" wyznaczony został przez mjr. „Rojana" — „Hubert". Zgodnie z opracowanym planem zaciągnięto nad wyżej wymienionymi obiektami obserwację ciągłą aż do odwołania. Z ramienia mjr. „Rojana" akcją „U" zajmowali się również „Podbipięta" oraz por. Jan Śleszyński, ps. „Jan" — oficer wywiadu. Prowadzone w związku z tym stałe obserwacje pozwoliły po paru miesiącach zebrać dostateczną ilość informacji o porządku i trybie życia zaangażowanych tam w pracy ludzi. Obserwację przerwano na wiosnę 1944 roku na polecenie odgórne, dopiero w pierwszych dniach czerwca obsadzone zostały te obiekty przez 90 ludzi 2 batalionu 4 kompanii ppor. M. Homulickiego. Znaczna część ludzi zaopatrzona została w zaświadczenia jako rzekomi pracownicy tychże instytucji. Był to okres rozpoczętej już w Wilnie ewakuacji Niemców i Litwinów, co w zasadniczy sposób ułatwiło nam wykonanie tego zadania. Nakładało ono obowiązek uwolnienia z więzień znajdujących się tam Polaków oraz niedopuszczenie do zniszczenia pozostałych, strzeżonych obiektów.

Od chwili ujawnienia się mjr. „Rojana" łączność z kpt. „Józefem" stała się sporadyczna, choć w zgiełku „gorącego" czasu nie wzbudziło to mego zaniepokojenia. Tym bardziej że w tym czasie obarczony zostałem nowymi obowiązkami, przez co wizja zbliżającej się wolnej Polski stała się jeszcze bardziej bliska.

Z rozkazu Komendy Garnizonu skierowany zostałem do zespołu ks. prof. Józefa Wojtukiewicza jako przedstawiciel młodego pokolenia Armii Krajowej. Pierwszy kontakt z ks. J. Wojtukiewiczem nawiązałem w jego mieszkaniu nad Księgarnią św. Wojciecha, przylegającym do kościoła OO. Dominikanów przy ulicy Dominikańskiej.

Zespół zajmował się rozpracowywaniem zagadnień dotyczących życia Polaków w przyszłej Polsce. Przedmiotem pierwszych narad były referaty na temat: przyszły ustrój Polski, reforma rolna, wychowanie młodzieży. Z wyjątkiem Ks. Profesora wszyscy pozostali członkowie zespołu występowali incognito, większość z nich stanowili księża. Spotkania te odbywały się stale w tym samym mieszkaniu ks. Wojtukiewicza, co 2—3 tygodnie, do czerwca 1944 roku.

Praca w Hoduciszkach przebiegała względnie normalnie. Wśród miejscowej policji uchodziłem prawdopodobnie za Litwina, wyrażali

bowiem czasami rzadko spotykaną u nich grzeczność. Miałem widoczne dowody, aby przypuszczać, że moi pracownicy są w stosunku do mnie lojalni i dyskretni.

Na dzień przed wyznaczonym spotkaniem z mjr. „Rojanem" stał akurat na mojej stacji pociąg towarowy załadowany bydłem, idący do Podbrodzia. Miał kilka pustych wagonów w końcu pociągu. Zabrałem się nim w drogę. Był ciepły, słoneczny dzień. Siedziałem w otwartych drzwiach krytego wagonu, nogi zwiesiłem w dół na zewnątrz, skierowałem twarz ku słońcu. Rozmyślałem o jutrzejszym spotkaniu i czekających mnie w Wilnie obowiązkach.

Minęliśmy już stację Łyntupy, jeszcze tylko Gieladnia i już będzie Podbrodzie. Nagle z przodu pociągu rozległ się potężny odgłos detonacji. Pociąg się gwałtownie zatrzymał, a wagony, jak ściśnięta w rękach harmonijka, kurczyły się szybko, uderzając po kolei z hukiem o siebie. Wagon mój uderzył o poprzedzający go, jak o ścianę z betonu. W rezultacie zamykające się ciężkie drzwi uderzyły mnie w czoło krawędzią stalowej ramy. Krew trysnęła jak z fontanny. Skacząc już do pobliskiego rowu, zauważyłem kątem oka, że od czoła pociągu zbliża się partyzancka tyraliera. Żołnierze w zielonych mundurach, jak półkolistą klamrą, otaczali z trzech stron wykolejony pociąg.

Padło kilkanaście pojedynczych strzałów. Na skraju lasu ukazał się oficer, okryty długą, wojskową, zieloną peleryną. Z daleka poznałem sylwetkę mjr. „Węgielnego". Zauważyłem, że jeden z biegnących w tyralierze upadł, w to miejsce biegła już sanitariuszka. Przypadła nisko do ziemi, mignęła białym opatrunkiem.

Załoga niemiecka, zresztą nieliczna, poddała się bez walki. Wzięci w ogień jednocześnie z dwóch stron, nie mieli żadnych szans na obronę, ratowali życie. Chłopcy „Węgielnego" pootwierali drzwi wszystkich wagonów. Z otwartych wagonów wyskakiwały przestraszone krowy, kryjąc się wnet wśród drzew gęstego lasu. Walka była zakończona. Niestety, nasi ponieśli jedną ofiarę śmiertelną. Różnie o niej mówiono. Odważną i dzielną sanitariuszką była „Żanetta" Janina Terlecka, dziś mieszkająca w Kielcach lekarz dentysta. Spotkałem się z nią dwa lata później już w Workucie. Jak temu rannemu w ogniu walki, niosła swą bezcenną pomoc również w dalekiej Workucie nam, katorżanom. Na zakazany, ogrodzony i strzeżony surowo teren kopalni przedostawała się wchodzącym tu torem, z dużym kluczem w ręce, pozorując robotnika torowego, tzw. „putiejca".

Dokonywała tego w mistrzowski sposób. Zabierała od nas nielegalną pocztę do rodzin, doręczała nam przesyłaną na adresy Polaków mieszkających poza obozem. Należy przypomnieć, że za wysłanie lub doręczenie więźniowi drogą nielegalną listu groził sąd i wyrok 20 lat katorgi. Taką właśnie cenę miała świadczona nam

przez „Żanettę" w Workucie pomoc. W roku 1947 została zwolniona z „sylki" i powróciła do kraju. Zdobyła maturę, ukończyła medycynę, założyła rodzinę.

Miał miejsce w rejonie Hoduciszek jeszcze jeden fakt wart upamiętnienia. Pełniłem normalny dyżur na stacji. Odebrałem telefon od znajomego z sąsiedniej stacji Postaw. Aresztowano na peronie wysiadającego tam z pociągu młodego mężczyznę, który w bagażu miał radiostację. Jak się już później dowiedziałem, był to syn p. Trockiego, mieszkającego w Wilnie przy ulicy Kalwaryjskiej, w pobliżu ulicy Lwowskiej. Wszelki słuch o nim wtedy zaginął, niczego więcej nie mogłem się o tej sprawie dowiedzieć. Może ta moja krótka wzmianka pomoże komuś wyjaśnić tę sprawę i ustalić dalszy los tego człowieka.

Dobiegał już rok mojej pracy w Hoduciszkach. Był maj 1944 roku. Goszcząca w Hoduciszkach siostra por. „Lecha", a moja kuzynka, Halina Wolańska wracała z targu, mając w koszyku kilogram lub półtora kupionego masła. Miejscowy policjant, widząc „obcą" osobę, potraktował ten skromny zakup jako dowód spekulacji, sporządzając protokół.

Udałem się więc do komisariatu, aby wyjaśnić, że Helena Wolańska jest siostrą pracującego tu w Hoduciszkach dyżurnego ruchu Longina Blinstruba, a kupione przez nią masło przeznaczone jest wyłącznie na potrzeby rodziny. Nie pamiętam już dzisiaj przebiegu mojej rozmowy z litewskim policjantem, wiem za to na pewno, że w jej rezultacie policjant zasiadł za stołem, zabierając się do spisania protokołu tym razem na mnie za „zakłócenie spokoju" w komisariacie. Kłopot z tego byłby może niewielki, gdyby nie fakt, że do protokołu należało podać narodowość. Gdy na postawione pytanie odpowiedziałem: „Lenkas" — tzn. Polak — Litwin prawie oniemiał. Był bowiem przekonany, że jestem Litwinem. W taki to zupełnie przypadkowy sposób, po rocznym pozorowaniu, szydło wyszło z worka. Chronili mnie przez cały ten czas skutecznie moi pracownicy na stacji, dziś zdradziłem się sam, ponieważ słowo Litwin nie przeszło mi przez usta. Kłamca, jak mówią często w takich sytuacjach, zapadła. Wszedłem w poważny konflikt z policją, która w tym małym miasteczku była największą władzą i decydowała o wszystkim.

Zostałem zdemaskowany. Był czas wojny. Czekać, co z tego wyniknie, nie mogłem, ryzyko było zbyt wielkie. Wyjście pozostało tylko jedno: zwijać manatki i wiać. Miałem tylko pełną satysfakcję, że w tym trudnym terenie udało mi się przetrwać tak długi okres i wykonać kawał porządnej roboty konspiracyjnej. Zorganizowany tu oddział ppor. Edwarda Strzeleckiego, mając w tym terenie zorganizowane zaplecze, był już na tyle silny i skonsolidowany kadrowo, że gotów był do podjęcia działalności samodzielnej. W tej kwestii, dla mnie najważniejszej, byłem całkowicie spokojny. Pozostawał tu nadal

na swoim stanowisku por. „Lech", na którego sprawne barki włożyłem dodatkowe obowiązki. Był odtąd ważnym pomostem łączącym ppor. „Strzelca" i mnie już w Wilnie.

Pozostała jeszcze tylko sprawa przekazania stacji, opuszczając ją bowiem po cichu, sprawiłbym zawód K. Charunasowi i sporo związanych z tym kłopotów służbowych. Dlatego swoje obowiązki zawiadowcy przekazałem nieoficjalnie mieszkającemu na stacji dyżurnemu ruchu ppor. Leonowi Chodzińskiemu, zaufanemu członkowi konspiracji. Natomiast rozmowę z p. K. Charunasem postanowiłem przeprowadzić po przyjeździe do Wilna.

Tak więc moja epopeja z Hoduciszkami skończyła się w pierwszych dniach maja 1944 roku. Wyjechałem dyskretnie, aby już nie wrócić, świadomy jednak ogromnych i poważnych zadań, które czekały na mnie w Wilnie

POWRÓT DO WILNA

W Wilnie zastałem atmosferę fascynującą. Po raz pierwszy od pięciu lat okupacji poczułem się gospodarzem swego rodzinnego miasta. Ze wszystkich stron świata wiatry przynosiły wieści pomyślne, armie aliantów odnosiły same zwycięstwa, a buńczuczny Wehrmacht był w ciągłym odwrocie. Na ulicach miasta dał się zauważyć wzmożony ruch niemieckich funkcjonariuszy i wojskowych, których nie widziało się tylu dotąd.

Nie pracowałem, czasu wolnego miałem teraz znacznie więcej. Chodziłem więc spokojnie po ulicach Wilna, przyglądając się dokładnie wszystkiemu, cokolwiek się tu działo. A działo się wiele. Oto wzdłuż lewego brzegu Wilii, od ulicy Antokolskiej aż do więzienia Łukiskiego, Niemcy budowali betonowe bunkry obronne z licznymi otworami strzelniczymi.

Szykują się do obrony miasta czy może zamiar ten tylko pozorują — pytałem sam siebie. Choć moje wątpliwości pozostały niezaspokojone, to jednak przechadzka po mieście stawała się coraz bardziej ciekawa i zajmująca.

Zlustrowałem całą długość ewentualnej linii przygotowywanej obrony. Otwory strzelnicze bunkrów skierowane były na prawy brzeg rzeki, w stronę dzielnicy Kalwaryjskiej. Oznaczało to, że z tej strony Niemcy oczekiwali nieprzyjaciela. Oznaczało to również, że rejonem obrony niemieckiej może być tylko centrum miasta. Skierowałem więc swoje kroki w stronę południową miasta. Przy ulicy Subocz

natknąłem się na wybudowany już bunkier betonowy, który rozmiarami przypominał twierdzę warowną. Stał nieco na wzniesieniu, skąd miał dobre pole ostrzału w obie strony wzdłuż całej niemal strony wschodniej miasta.

Miałem już w wyobraźni nakreślony zarys niemieckiej obrony: rejon obrony to centrum miasta. Od strony północnej chroniony przez rzekę Wilię i ciąg betonowych bunkrów. Od strony wschodniej rzeka Wilenka, góra zamkowa oraz potężny bunkier przy ulicy Subocz. Zabezpieczeniem strony południowej był szeroki, w kotlinie położony, pas torów kolejowych i dwa dworce: osobowy i towarowy. Strona zachodnia, najmniej zagrożona, osłonięta była zalesionym Zakretem.

Takie były moje wstępne wnioski. Czasem rozporządzałem do woli, nazajutrz postanowiłem sprawdzić to wszystko raz jeszcze, wyjść poza punkty obrony już stwierdzone na obrzeżach przedmieść, aby zdobyć pełniejszy obraz tak ważnych teraz dla nas informacji. Oddziały Garnizonu Miejskiego miały wszak uderzyć wewnątrz miasta, spełniając rolę konia trojańskiego. Musiałem przebadać to raz jeszcze dokładnie.

Interesowała mnie szczególnie strona północna. Wilia dzieliła miasto niemal na połowę, czyżby cała strona północna miasta miała pozostać wolna? Nie spostrzegłem nawet, jak znalazłem się już na rogatkach dzielnicy Kalwaryjskiej. Biegły stąd dwie główne arterie drogowe na północ. Były to ulice Kalwaryjska i Werkowska. Po ich lewej stronie rysowały się na horyzoncie Góry Szeszkińskie, bliżej nieco ciemniała potężna, kulista w kształcie bryła betonu, z patrzącymi na wszystkie strony groźnymi otworami. Miałem przed sobą nowy, kolejny punkt obrony niemieckiej.

Minąłem wkrótce ciągnący się po prawej stronie plac Broni i spojrzałem w prawo. Znów zaskoczenie — groził mi bunkier drugi, będący kopią tego pierwszego. Oba powiązane z sobą polem ostrzału, zamykały dojście do miasta od północy od podnóża Gór Szeszkińskich aż do mostu Strategicznego na Wilii po wschodniej stronie placu Broni. Była to więc pierwsza, wstępna linia obrony niemieckiej od strony północnej. Przezorni Niemcy zabezpieczali się ze wszystkich stron. Czekałem teraz z niecierpliwością na spotkanie z mjr. „Rojanem" i szczegółowe polecenia na najbliższy okres.

Całym sercem tkwiłem w Wilnie i czekających mnie wkrótce zadaniach, nie mogłem być jednak obojętny na to, co się teraz dzieje w „moich" Hoduciszkach. Zostawiłem tam wszak rok życia, zorganizowany oddział ppor. „Strzelca", niemało przyjaciół i bezinteresownie życzliwych ludzi. Byłem co prawda tam w stałym zagrożeniu, którego wagę mogę zrozumieć dopiero dziś, gdy jestem już w Wilnie całkowicie bezpieczny. Myślałem beztrosko o granej tam roli, kiedy

chodziłem w masce raz Niemca, raz Litwina, w zależności od sytuacji i ludzi, z którymi miało się do czynienia, nie określając i nie nazywając tego nigdy otwarcie po imieniu. Przyświecała mi bowiem myśl tylko jedna: wytrwać za każdą cenę i stworzyć silne podziemie Armii Krajowej również i na tym terenie. Powracam dziś często do tamtego okresu pracy, choć nie jestem pewien, czy w tym wszystkim było więcej zwykłego patriotyzmu, czy młodzieńczego hazardu.

Tymczasem w Komendzie Okręgu po czerwcowym przyjeździe gen. „Wilka" z Warszawy zrobiło się gwarno. Dotychczasowy plan „Burza" należało szybko zmienić na plan pod kryptonimem „Ostra Brama". Wywołało to zrozumiałe ożywienie i wyznaczyło pilnie nowe zadania sztabowe.

Atmosfera przyśpieszonego działania przeniknęła samorzutnie w dół, do oddziałów Garnizonu i w lesie. Co kilka dni odwiedzałem obiekty objęte przez oddział ppor. „Wiktora II", sprawdzając stopień zabezpieczenia obiektów oraz samopoczucie ludzi. Stwierdziłem z zadowoleniem, że zadanie realizowane było zgodnie z założeniem, a nastrój i morale wśród żołnierzy były bojowe.

Odbyło się kolejne spotkanie dowódców batalionów: por. „Lecha", por. „Jerzego" i mjr. „Roga" z mjr. „Rojanem". Narada nie trwała długo. Omówiono zaistniałą sytuację w mieście i na frontach oraz zalecono pogotowie w oddziałach.

Sytuacja w Wilnie nie ulegała zmianie. Ewakuacja zauważalna była nadal, dotyczyła ona jednak tylko administracji niemieckiej i niektórych Litwinów, natomiast Wehrmacht wciąż trwał na miejscu, nie wykazując większego niepokoju. Widać było, że mają dobre rozeznanie w sytuacji i działają z pełnym spokojem i opanowaniem.

Z centrum miasta Niemcy wysiedlili znaczną część ludności. Zabezpieczali się od wewnątrz, było to posunięcie już wielce wymowne i odkrywające ich zamierzenia wojskowe. Starałem się teraz utrzymywać możliwie stałą łączność z dowódcami moich oddziałów. Podchorąży Tadeusz Kowzon, ps. „Żuk", mieszkający z rodzicami przy ulicy Wileńskiej 42, również objęty akcją wysiedleńczą, zmuszony był szukać tymczasowego miejsca u przyjaciół w Tuskulanach. Wiele innych rodzin szukało schronienia w pobliskich wsiach i podmiejskich miejscowościach.

SCHEMAT ORGANIZACYJNY GARNIZONU MIEJSKIEGO OKRĘGU WILEŃSKIEGO AK
(stan na 1.07.1944 roku)

Zgodnie z rozkazem gen. „Wilka" z dn. 25.06.44 r. ppłk Lubosław Krzeszowski, ps. „Ludwik", mianowany został komendantem Okręgu

Wileńskiego AK, z podporządkowaniem mu oddziałów Garnizonu Miejskiego, mających za zadanie wzięcie udziału w akcji „Ostra Brama" (atak wewnątrz miasta).

Szefem Sztabu mianowany został ppłk dypl. Julian Kulikowski, ps. „Witold Drohomirski", „Ryngraf". Przydzielone zostały też dwie łączniczki: Aniela Dziewulska, ps. „Krystyna", i Barbara Skarżanka, ps. „Ewa". M.p. sztabu — Księgarnia św. Wojciecha przy ulicy Dominikańskiej.

Komenda Garnizonu

Komendant Garnizonu	— mjr Leon Koplewski, ps. „Skarbek"
Szef Sztabu	— mjr art. Stanisław Skrzecz, ps. „Poleski"
Oficer Wyszkolenia	— kpt. Władysław Dąbrowski, ps. „Wojno"
Kwatermistrz	— por. Wiluś, ps. „Urban"
Oficer broni	— por. art. N.N.
Łączniczka	— ps. „Myszka"

Garnizon Miejski

Dzielnica A	— prawa strona Wilii, dzielnica Kalwaryjska
Dowódca Dzielnicy	— mjr art. Bolesław Zagórny, ps. „Jan"
Rejon 1 — dowódca	— por. art. Wacław Korzeniowski, ps. „Andrzej"
„ 2 — „	— por. Wacław Pietkiewicz, ps. „Mocny"
„ 3 — „	— por. art. Władysław Roszkowski, ps. „Biały"
Dzielnica B	— lewa strona Wilii, całe Śródmieście, Zarzecze płn. i środkowe, Antokol, Belmont, Nowa Wilejka
Dowódca Dzielnicy	— mjr, wkrótce ppłk Władysław Zarzycki, ps. „Rojan"
Rejon 1 — dowódca	— por. Stanisław Wąsowicz, ps. „Słowianin"
„ 2 — „	— kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef"
„ 3 — „	— ppor. . . . . ps. „Owczarek" — Nowa Wilejka
„ 4 — „	— por. Leon Tejwan, ps. „Ogniwo" — Zarzecze płn.
Dzielnica C	— Zarzecze płd., Popławy, Markucie
Dowódca Dzielnicy	— mjr Topor Wąsowski, ps. „Nowicki"
Dzielnica D	— Nowy Świat, Nowe Miasto, ulica Kolejowa, Kominy

Dowódca Dzielnicy — kpt. Józef Grzesiak, ps. „Kmita", „Czarny"

Dzielnica E — bocznica kolejowa Porubanek i lotnisko
Dowódca Dzielnicy — kpt. Aleksander Tomaszewski, ps. „Al"

Schemat organizacyjny Rejonu 2 Dzielnicy B pod nazwą Pułk im. Bolesława Chrobrego

Krótki zarys historyczny 1 Pułku im. Bolesława Chrobrego: Z inicjatywy kpt. Zygmunta Dziarmagi-Działyńskiego i przy poparciu por. Anatola Rymaszewskiego powzięto decyzję utworzenia 1 Pułku im. Bolesława Chrobrego na bazie powstających w 2 Rejonie trzech batalionów: por. „Lecha", por. „Jerzego" i mjr. „Roga". Wymagało to zgody Komendanta Okręgu Wileńskiego AK oraz Delegata Rządu Rzeczypospolitej na Wilno i Okręg Wileński dr. Zygmunta Fedorowicza, ps. „Albin", „Pani Maria", „Józef".

Zgodę na wykonanie sztandaru Pułku wyrażono 11.11.1941 r. Sztandar został poświęcony 11.11.1943 roku w Ostrej Bramie przez ks. Aleksandra Lachowicza, ps. „Leszczyna", kapelana tworzonych oddziałów.

Dowódca Dzielnicy B, mjr Władysław Zarzycki, wolał, aby pułkowi nadano nazwę: 6 Pułk Piechoty Legionów. Dodam tylko, że sam był oficerem zawodowym tego pułku do wojny i zwolennikiem Marszałka. Sprawa powołania pułku w Dzielnicy B zawisła w powietrzu.

7.07.44 r. sztandar wziął udział w walkach o Wilno na odcinku Kolonia Kolejowa — wieś Góry wraz z oddziałem przyprowadzonym do pułku 77 przez „Józefa". Przez 20 lat przechowywany był w Wilnie w klasztorze u sióstr ukrytek.

2.11.1963 roku przekazano go do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie przy udziale 13 oficerów Dowództwa. Sztandar sprowadzono do kraju dzięki staraniom Zygmunta Dziarmagi-Działyńskiego, polskiej ambasady w Moskwie oraz dyrektora Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie płk. Sadory.

W uroczystości przekazania sztandaru udział wzięli: ppłk. dypl. Julian Kulikowski, ppłk art. Lubosław Krzeszowski, płk Sadora dyr. Muzeum WP, mjr Aleksander Wasilewski, mjr Antoni Skórko, kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, por. Longin Blinstrub, Janina Wojnicka, por. Anatol Rymaszewski, ppor. Stanisław Czepułkowski, ppor. Teodor Sawicki, ppor. Kazimierz Cis, pchor. Antoni Tomkiewicz, strzel. z cenz. Rokicki.

Struktura organizacyjna Pułku

Dowódca Pułku — kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef"
Szef Sztabu — pór. Anatol Rymaszewski, ps. „Andrzej", od 1943 roku płk Lucjan Żelichowski, ps. „Kamień"
Oficer takt. — mjr Antoni Pietraszun, ps. „Kotek"
Oficer takt. — kpt. Józef Urbanowicz, ps. „Wiarus"
Oficer wywiadu — mjr Michał Budkiewicz, ps. „Maks", „Sokół"
Oficer inform. — kpt. Kazimierz Mackiewicz, ps. „Kamień", „Wilia"
Adiutant — por. Stanisław Mackiewicz, ps. „Ruczaj"
Szef duszpasterstwa — ks. ppłk Jan Żywicki, ps. „Świerk"
Kapelan Pułku — ks. Lucjan Pereświet-Sołtan, ps. „Żniwiarz"
Kapelan Pułku — ks. Aleksander Lachowicz, ps. „Leszczyna"
Szef służby zdrowia — płk dr Józef Zwierz, ps. „Jan"
Poczet sztand. — pchor. Antoni Tomkiewicz, ps. „Jerzy", strzel. z cenz. Wincenty Rokicki, ps. „Boruta", strzel. ps. „Kazik".

Batalion 1

Dowódca			— por. Longin Blinstrub, ps. „Lech", „Łoś"
Kompania	1	Dowódca	— ppor. Anatol Lulewicz, ps. „Podkowa"
Pluton	1	„	— plut. pchor. Grzegorz Konarzewski, ps. „Orlik"
„	2	„	— pchor. Henryk Gulbinowicz, ps. „Zagłoba"
„	3	„	— plut. pchor. Jan Sawicki, ps. „Dorek"
Kompania	2	„	— ppor. Stanisław Gigałło, ps. „Zamk"
Pluton	1	„	— sierż. Stefan Chodyko, ps. „Grunwald"
„	2	„	— pchor. Jan Lipski, ps. „Stefan"
„	3	„	— pchor. Władysław Zon, ps. „Dąb"
„	4	„	— sierż. Władysław Bohużyński, ps. „Władek"
Kompania	3	„	— ppor. Zbigniew Zambrzycki, ps. „Zbyszek"
Pluton	1	„	— plut. Piotr Trompakajtis, ps. „Leszek"
„	2	„	— pchor. Tadeusz Jungnikiel, ps. „Sawan"
„	3	„	— ppor. Kitowski, ps. „Kitek"

Batalion 2

Dowódca			— por. Paweł Świetlikowski, ps. „Jerzy"
Kompania	4	Dowódca	— por. Marian Homulicki, ps. „Wiktor 2"
Pluton	1	„	— pchor. Tadeusz Kowzon, ps. „Żuk"
„	2	„	— pchor. Tadeusz Adamowski, ps. „Tadek"
„	3	„	— ppor. N.N. ps. „Ryszard"
Kompania	5	„	— ppor. Antoni Świetlikowski, ps. „Włodzimierz"
Pluton	1	„	— ppor. N.N, ps. „Józef"
„	2	„	— ppor. Burzyński, ps. „Bury"
„	3	„	— ppor. lot. Piotr Bujwid, ps. „Piotr"

Kompania 6		„	— por. zaw. Michał Hryniewicz, ps. „Michał"
Pluton	1	„	— ppor. Czesław Kliks, ps. „Lucjan"
„	2	„	— ppor. Edward Strzelecki, ps. „Strzelec"
„	3	„	— pchor. Mieczysław Kondratowicz, ps. „Miecz"
„	4	„	— pchor. N.N, ps. „Zawisza" z oddz. harc. z bat. 4 por. „Żubra"
Służba sanitarna			— dr chir. Czesław Konopko, ps. „Czesław" dr med. Antoni Urbanowicz, ps. „Toniek"

Drużynowa sanitariuszek-łączniczek NN, „Mucha" i 24 dziewcząt.

Wywiad kolejowy
Por. Paweł Świetlikowski plus 19 pracowników kolejowych na liniach komunikacyjnych: 1 Wilno—Warszawa, 2 Wilno—Leningrad, 3 Wilno—Oszmiana i dalej, 4 Wilno—Królewszczyzna, 5 Wilno—Lida, 6 Wilno—lotnisko Porubanek.

Batalion 3

Dowódca			— mjr Antoni Skórko, ps. „Róg"
Kompania 7		Dowódca	— por. Paweł Słonina, ps. „Piotr"
Pluton	1	„	— ppor. Zygmunt MacKaerney, ps. „Kirkor"
„	2	„	— sierż. Czesław Wasilewski, ps. „Czech"
„	3	„	— pchor. Jerzy Andruszkiewicz, ps. „Jurek"
Kompania 8		„	— por. Zygmunt Żelichowski, ps. „Mirosław"
Pluton	1	„	— pchor. Jan Nagrabiecki, ps. „Wandal", później ppor.
„	2	„	— pchor. Ferdynand Trojanowski, ps. „Danuta"
„	3	„	— pchor. Edmund Józefowicz, ps. „Aleksander"
Kompania 9		„	— por. Michał Sedler, ps. „Miś"
Pluton	1	„	— por. Marian Świerczyński, ps. „Bajka"
„	2	„	— pchor. Julian Szered, ps. „Jul"
„	3	„	— pchor. Bohdan Kacperski, ps. „Danek"
Służba sanitarna			— por. dr Zygmunt Kanigowski, ps. „Ordynator"

W Dzielnicy B funkcjonowała również podziemna Szkoła Podchorążych Rezerwy, której komendantami byli: kpt. Kazimierz Mackiewicz, ps. „Kamień", „Wilia", i kpt. Broniewicz, ps. „Zebra". Do Szkoły Podchorążych kierowano żołnierzy AK, którzy w szkołach średnich mieli ukończone przysposobienie wojskowe, a w oddziałach Garnizonu Miejskiego pełnili funkcje dowódców plutonów. Na wy-

kładowców powołano będących w dyspozycji Garnizonu oficerów, w tym czterech z Dzielnicy B. Szkoleniem objęto 28 kandydatów. Wykłady prowadzono w dwóch grupach ze względów bezpieczeństwa. Kwatery, w których prowadzono wykłady, zmieniano co pewien czas. Wykłady prowadzono 3 razy tygodniowo przez okres sześciu miesięcy. Brało w nich udział kilku harcerzy z Oddziału Ochrony Powstania por. Romana Piekarskiego, ps. „Żubr", „Osterwa". Program obejmował musztrę, naukę o broni (rodzaje, posługiwanie się nią), służbę wartowniczą oraz ćwiczenia z taktyki operacyjnej w terenie. Na zakończenie kursu odbyły się egzaminy, a kończącym go z pozytywnym wynikiem wydano zaświadczenia o ukończeniu w stopniu kaprala podchorążego.

Wykładowcami Szkoły Podchorążych Rezerwy byli:

1. kpt. Józef Urbanowicz, ps. „Wiarus"
2. kpt Edward Taurogiński, ps. „Dryja", „Julian"
3. rtm. Józef Duszyński, ps. „Nałęcz"
4. por. Gracjan Fróg, ps. „Szczerbiec"
5. por. Zygmunt MacKaerney, ps. „Kirkor"
6. por. Henryk Bień, ps. „Grad"
7. por. Longin Blinstrub, ps. „Lech"
8. ppor. Jan Łapiński, ps. „Dariusz"
9. ppor. Czesław Mazurkiewicz, ps. „Trzon"
10. ppor. Wacław Dobrzyński, ps. „Łuk"
11. pchor. Wiktor Zapaśnik, ps. „Wiktor I".

W Dzielnicy B powstawały również oddziały, które w okresie organizacji nie wchodziły w istniejący już schemat organizacyjny. Istniały one na zasadzie jednostek rozwijających się, które przydzielano później do oddziałów leśnych bądź w Garnizonie. Rolę taką spełniał oddział ppor. Jana Łapińskiego, po nim dowództwo przejął rtm. Józef Duszyński. W 1943 roku oddział jako Samodzielna Brygada przebywał koło Sużan.

Jednym z twórców tego oddziału był ppor. Czesław Mazurkiewicz, ps. „Trzon", „Młot", rozstrzelany w Ponarach w 1943 roku, po nim funkcję przejął kpt. Edward Taurogiński, ps. „Dryja". W różnym czasie i na różnych stanowiskach w jednostce tej byli: kpt. Piotr Willner, ps. „Mazur", por. „Zawisza", ppor. „Zdankiewicz", ppor. Wieczorek, ppor. Mikołaj Naumik, ps. „Kola", ppor. Henryk Bień, ps. „Grad", ppor. Jan Kasprzycki, ps. „Jos", pchor. Wiesław Baryń, ps. „Wiesiek", pchor. „Janusz", rtm. „Boski", sierż. „Lubart", sierż. Tadeusz Cieleń, ps. „Wydra".

Powyższe dane odtwarzam z odpisów „Józefa" zachowanych wśród jego bliskich, jak również i z własnej wiedzy o powstaniu, rozwoju i zakończeniu działalności Dzielnicy B, jako jeden z jej współtwórców przez cały okres konspiracji.

Gromadzone przez wiele lat materiały o Dzielnicy B przez kpt. Z. Dziarmagę-Działyńskiego zabrane zostały z jego mieszkania już nazajutrz po jego śmierci przez nie znanych dotąd ludzi.

Służba Sanitarno-Szpitalna

Garnizon Miejski rozporządzał w Wilnie kilkoma szpitalami, z których w nagłych przypadkach korzystali żołnierze Armii Krajowej. Były to szpitale: na Zwierzyńcu przy ulicy Witoldowej 15, św. Jakuba na placu Łukiskim, przy ulicy Sawicz oraz Czerwonego Krzyża.

Oprócz szpitali w Wilnie funkcjonowały również lazarety w terenie, obsługujące rannych żołnierzy z brygad leśnych. Dwa takie szpitale były pod Oszmianą i w Onżadowie niedaleko Turgiel. Ten drugi posiadał nawet dyspozycyjny samochód.

Pracujący tam lekarze, członkowie Armii Krajowej, nieśli rannym ofiarną i troskliwą pomoc, najczęściej z narażeniem własnego życia, bowiem gestapo i litewska Sauguma kontrolowali również i pracę w szpitalach. W pracy tej przodowali następujący lekarze: Zygmunt Kanigowski, ps. „Ordynator", Edward Kieda, ps. „Witold", Lech Iwanowski, ps. „Lancet", dr Prażmowski, kierownik Instytutu Sanit.-Bakteriologicznego, Irena Fippówna, ps. „Niemen", Janina Hurynow, ps. „Docent". Niektórzy z tych lekarzy pracowali bezpośrednio w oddziałach.

Samodzielny Oddział Ochrony Powstania

Dowódcą był por. Roman Piekarski, ps. „Żubr", „Osterwa", obowiązki zastępcy sprawował ppor. Zdzisław Piekarski, ps. „Dziadek", mając podległe sobie cztery plutony harcerskie. SOOP jako formacja specjalna podlegał Delegaturze Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Wilnie. Współpracował jednak organizacyjnie z Dzielnicą B, przez jej oficerów był szkolony, aby w pierwszym okresie po uzyskaniu niepodległości jego członkowie mogli spełniać rolę straży obywatelskiej albo policji i zabezpieczać określone obiekty, utrzymywać należyty porządek, chronić mienie ludności, likwidować zawsze możliwe wystąpienia elementów przestępczych. Por. Roman Piekarski przez cały okres okupacji współpracował blisko z kpt. „Józefem" i por. „Andrzejem".

Garnizon Miejski rozporządzał również dobrze zorganizowanym zapleczem gospodarczym. Relacjonując pracę prowadzonego przeze mnie wywiadu kolejowego, informowałem o stosowaniu butelek z cza-

sowym zapalnikiem. Jak wynika z materiałów kwatermistrza i adiutanta gen. „Wilka" w jednej osobie ppor. „Bolesława", produkcją tych butelek zajmowała się komórka „Perkun" w Wilnie. Ona to zaopatrywała w ten dywersyjny materiał por. Jerzego Łozińskiego, który z kolei dostarczał nam, na poszczególne stacje kolejowe, do praktycznego zastosowania.

Funkcjonowała także w okolicy Turgiel, 30 kilometrów od Wilna, duża pracownia krawiecka, która w remizie strażackiej szyła mundury wojskowe na potrzeby 3 brygady „Szczerbca", zorganizowana przez jej dowódcę. Produkcję realizowano na ośmiu maszynach, a materiałem było lniane płótno, które farbowano na kolor zielony. Wojskowe furażerki natomiast szyto w prywatnych domach w Wilnie.

Nie obeszło się również bez terenowych warsztatów rusznikarskich, samochodowych i szewskich. Wojsko, aby normalnie żyć i funkcjonować, potrzebowało właściwego wyposażenia: butów, mundurów, bielizny, furażerek, płaszczy. Należało zdobyć materiał, wykonawców, narzędzia i środki produkcji, a wszystko czynić w warunkach surowego reżymu okupacji. Że te trudne i niebezpieczne zadania były jednak realizowane, świadczy tylko o patriotycznym i gotowym do poświęceń społeczeństwie.

Poważnym dostarczycielem butów dla brygad leśnych była wspomniana już fabryka Brewińskiego, która zaopatrywała jeszcze akowców w fikcyjne zaświadczenia pracy, a nawet ausweisy ze swoją pieczątką rzekomego zatrudnienia. Ratowało się w ten sposób przed wywiezieniem do Niemiec kilkudziesięciu akowców, szczególnie członków Dzielnicy A, jak: por. Wacław Pietkiewicz, ps. „Mocny", por. Wacław Sawicz, ps. „Emil", Piotr Pietkiewicz, Stefanowicz i inni.

W broń zaopatrywano się przeróżnie, głównie zdobywano ją w walce. O jednym z tych sposobów wspomnieć należy szczególnie. Mianowicie na szlaku Wilno—Oszmiana ustawiony był zwykły szlaban drogowy, strzeżony przez niemiecką żandarmerię. Przejazd w tym miejscu polegał na tym, że przepuszczano nie pojedyncze pojazdy drogowe, lecz kompletowano je grupowo. Strzeżone czasami w sposób niewystarczający, stawały się obiektem ataków z zasadzki przez oddziały, które zdobywały w ten sposób pokaźne nawet ilości broni i amunicji.

Zdarzało się nieraz, że „spalony" akowiec, jedyny żywiciel rodziny, zmuszony był pójść do lasu. Obowiązkiem Garnizonu było wtedy udzielenie rodzinie pomocy materialnej. Korzystano wtedy, i nie tylko, z pomocy majątków tzw. ostlandowskich, znajdujących się pod administracją niemiecką, których rządcami byli Polacy, członkowie AK. Korzyści z takich majątków Armia Krajowa czerpała wielorakie. Oprócz wspomnianej już żywności udzielały one w nagłych przypadkach bezpiecznego azylu, własnych magazynów, schro-

nienia, dla ukrywających się, opieki lekarskiej dla ciężko rannych żołnierzy, wystawiały również fikcyjne zaświadczenia o zatrudnieniu.

Przy załatwianiu tego rodzaju spraw wielkie zasługi położył Władysław Komar, który w rezultacie zapłacił za to własnym życiem, zamordowany w przystępie nienawiści przez grupę szowinistycznie nastawionych Litwinów 20.06.44.

Brygada „Błyskawica"

Powstanie tej brygady jest typowym przykładem, jak bez rozkazu i zalecenia, a tylko z inwencji jednego człowieka, rodzi się najpierw myśl powodowana wolą działania, a gdy zostaje zrealizowana, stajemy się świadkami czynu. Tak też było z brygadą „Błyskawica". Głównym twórcą jej był por. Anatol Rymaszewski, ps. „Andrzej". Najpierw założył w terenie pierwsze organizacyjne zalążki, które stopniowo się rozrastały. Kolejne zadanie polegało już na koncentracji powstałych komórek w określonym miejscu.

Pierwsze spotkanie powstałych w Wilnie grup z „Andrzejem" odbyło się w październiku 1943 roku przed kościołem św. Piotra i Pawła na Antokolu. Stawili się tam między innymi: Henryk Gulbinowicz, ps. „Zagłoba", Grzegorz Konarzewski, ps. „Orlik", „Konar", i inni. Po otrzymaniu od „Andrzeja" instrukcji ósemka rwących się do walki zuchów odjeżdża przygotowaną ciężarówką na pierwszy punkt kontaktowy do Drożnikówki przy trakcie Sużany. Właścicielem tego punktu był Kosmowski, ps. „Starża". Po przybyciu do Drożnikówki znaleźli przygotowane już chwilowe schronienie oraz otrzymali dalsze niezbędne wskazówki.

Nazajutrz wyruszają w drogę do leśniczówki Janowo, której gospodarzem był Piotr Trompakajtis, ps. „Leszek". W tym miejscu wyznaczony został punkt zbiorczy tworzącej się brygady. Wkrótce nadciągają kolejne grupy: „Ziemowita", „Czenga" „Zagłoby" i „Chudzika". Przyjeżdżają tu również por. „Andrzej" i por. Paweł Słonina, ps. „Piotr". „Andrzej" oznajmia, że nowy oddział nosi nazwę „Błyskawica", a por. „Piotra" wyznacza jego dowódcą.

Określone również zostały tereny działania oddziału: okolice Jezior Dubieńskich, Niemenczyna i Sużan. W marcu 1944 roku „Andrzej" dokonuje połączenia oddziału „Błyskawica" z oddziałem por. Adama Boryczki, ps. „Tońko", „Brona" i inne, umacniając brygadę mjr. „Konara" — Franciszka Koprowskiego, utworzoną i zasilaną już kilkakrotnie przez ludzi Dzielnicy B.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI A ARMIA KRAJOWA

Kościół katolicki zawsze był z narodem, wspólnie dzielił z nim najgorsze losy, szczególnie w groźnych okresach dziejowych walki o egzystencję narodu. Lata okupacji 1939—1945 były tego dobitnym potwierdzeniem.

Wielu kapłanów, braci i sióstr zakonnych Diecezji Wileńskiej włączyło się w nurt pracy podziemnej w obronie Ojczyzny, wiary i podstawowych praw narodu. Rola przewodnika duchowego w tej walce przypadła J.E. ks. arcybiskupowi Romualdowi Jałbrzykowskiemu, noszącemu godność metropolity wileńskiego. Ks. arcybiskupa należało jednak osłaniać przed możliwością oskarżenia o bezpośredni udział w pracy konspiracyjnej.

Szefem tej działalności konspiracyjnej był ówczesny kanclerz Kurii Wileńskiej ks. prałat Adam Sawicki, ps. „Stempel". Z ks. arcybiskupem kontaktowano się jedynie w przypadkach niezbędnych. Za jego zgodą wyznaczono dwóch szefów duszpasterstwa: w szeregach konspiracji Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej był nim ks. ppłk Piotr Rynkiewicz, ps. „Piotr", Okręgu Nowogródzkiego ks. ppłk Giedymin Pilecki, ps. „Długosz". Do siatki konspiracyjnej zaangażowało się wkrótce około 200 kapelanów, braci i sióstr zakonnych. W miarę rozrastania się ogranizacyjnego Armii Krajowej zasiliło ją jeszcze około 200 osób. Była to struktura całkowicie tajna, działająca jednak niezwykle sprawnie i skutecznie.

Kościół służył nie tylko opieką duchową, lecz wspierał także wszelkimi możliwymi doraźnymi sposobami. A były one znaczące i, co najważniejsze, niezbędne. Fundusz specjalny AK w gotówce i złocie przechowywany był w jednym z pomieszczeń klasztornych w Wilnie. Broń i amunicja — w trzydziestu kilku punktach w samym mieście, jak też w różnych miejscowościach w terenie.

Ks. ppłk Giedymin Pilecki, ps. „Długosz", redagował oficjalny organ wojskowy Okręgu Nowogródzkiego pt. „Świt", a drukarnię przechowywał w Hermaniszkach w stodole, pod klepiskiem. Stąd również wychodziło jedyne w Polsce podziemnej pismo dla kapłanów i oficerów oświatowych pod nazwą „Sursum corda". W zależności od sytuacji i potrzeby drukowano tam także ulotki. W pracy tej udział brali młodsi księża, bracia zakonni i siostry. Całość dzięki wkładanej przez personel kościelny ofiarności i rozumnej ostrożności działała sprawnie i bezpiecznie przez cały okres okupacji.

Wspomnieć przede wszystkim należy o księżach, którzy w pracy niepodległościowej wyróżnili się w sposób szczególny. Dotyczy to również okresu walk 1939 roku. Ks. kpt. Bolesław Gramza, kawaler Krzyża Virtuti Militari V klasy, ps. „Legnica", później w podziemiu

pełnił funkcje specjalne: kapelana konspiracyjnego, następnie kapelana 23 Brygady Brasławskiej AK. Przez Armię Krajową został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Akademicką konspirację wojskową wspierał, jak tylko mógł kapelan ks. Henryk Hlebowicz, ps. „Słowik". Później, niosąc Polakom pomoc na dawnych terenach I Rzeczypospolitej i pełniąc posługę Bożą, stał się męczennikiem za wiarę.

Dzielnica B Garnizonu Miejskiego miała w swoich szeregach czterech wspaniałych księży: szefem duszpasterstwa organizowanego Pułku im. Bolesława Chrobrego był ks. ppłk Jan Żywicki, ps. „Świerk", który do wojny piastował funkcję szefa Duszpasterstwa Okręgu Korpusu Grodno.

Kapelanem 1 batalionu był ks. kpt. Lucjan Pereświet-Sołtan, ps. „Żniwiarz". Za wierną Bogu, Polsce i narodowi służbę zapłacił zsyłką do Workuty, skąd już nie wrócił.

Ks. Stanisław Pyrtek, ps. „Olszyna", pełnił służbę jako kapelan 2 batalionu. Batalion trzeci był pod duchową opieką ks. Władysława Kisiela, ps. „Wiąz", wikarego katedry. Podzielił los ks. „Żniwiarza" i pozostał na zawsze w zmarzlinie północy...

Czterech wspaniałych kapłanów i patriotów. Żadnego z nich dziś już nie ma. Jeden rozstrzelany przez Niemców, dwóch zamęczonych na zesłaniu, jednemu tylko udało się umrzeć wśród swoich i spocząć w ziemi ojczystej.

W Ponarach rozstrzelany został przez gestapowców ks. Romuald Świrkowski, ps. „Romulus". Za zgodą arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego stanął w szeregach konspiracji już wnet po jej powstaniu. Poniósł śmierć męczeńską. Kapłanem-żołnierzem był również ks. Kazimierz Kucharski, ps. „Szymon", związany blisko z Komendą Okręgu AK, mający również duże zasługi na polu rozwoju i kolportażu pracy podziemnej, którą w ciężkich latach okupacji czytano jak ewangelię. Obaj ci księża-żołnierze odznaczeni zostali przez dowództwo Armii Krajowej Złotymi Krzyżami Zasługi z Mieczami. W uznaniu całokształtu zasług i bezpośrednio włożonej w dzieło niepodległościowe pracy Komenda Okręgu AK odznaczyła ks. arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego i ks. prałata Adama Sawickiego Krzyżami Złotymi Zasługi z Mieczami.

Bracia zakonni i siostry mrówczą pracę konspiracyjną wykonywali jak gdyby w cieniu toczących się zdarzeń, w pełnym ukryciu i całkowitym incognito. Na tej zasadzie siostry zakonne ukrytki, za zezwoleniem metropolity wileńskiego, wykonały dwie chorągwie pułkowe: dla lotników Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz dla powstającego pułku im. Bolesława Chrobrego Dzielnicy B Wilno-Śródmieście.

Chorągiew dla lotników siostry II Zakonu Franciszkanów, tzw.

ukrytki, wyhaftowały w Wilnie, w pomieszczeniu przy ulicy Królewskiej, na zapleczu kamienicy kurialnej. Potem, poprzez kilka granic państwowych, w najtrudniejszych warunkach transportowych (naziemnych i powietrznych) przewiozła tę chorągiew specjalna kurierka Hanna Lenkowska-Jacynowska. Chorągiew nosiła napis „Miłość żąda ofiary". Była to bowiem naczelna dewiza żołnierzy AK na Wileńszczyźnie. Chorągiew — w obecności prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza i naczelnego wodza Władysława Sikorskiego — uroczyście przekazano formacjom lotniczym.

Druga chorągiew wykonana została z inicjatywy kpt. Z. Dziarmagi-Działyńskiego. Zgodę wyraził metropolita wileński, a wykonały ją ręce sióstr ukrytek w tej samej pracowni. 11 listopada 1943 roku podczas uroczystego nabożeństwa ks. Aleksander Lachowicz dokonał aktu poświęcenia, a cała ta uroczystość odbyła się w Ostrej Bramie. Po 20 latach dotarła szczęśliwie do Moskwy, a stamtąd już w dyplomatycznym bagażu przewieziono ją do Warszawy.

Dziś obie te chorągwie wiszą w Muzeum Wojskowym w Warszawie. Chorągiew pułkowa z jednej strony przedstawia Orła Jagiellońskiego, a z drugiej Matkę Boską Ostrobramską.

Spośród księży, którzy działali w naszej partyzantce, wymienić należy księdza z Diecezji Poleskiej — Mieczysława Suwałę, ps. „Oro", który schronił się u nas, unikając aresztowania. W Okręgu Nowogródzkim AK był kapelanem 3 batalionu 77 pp, odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Tam również działał w owym czasie ks. Julian Tarasiewicz, ps. „Puchacz", dziekan w Rubieżowicach, organizator łączności radiowej w rejonie Puszczy Nalibockiej. Tam — w Nalibokach — zginął w sierpniu 1943 roku śmiercią męczeńską ks. wikary Józef Baradyn, żołnierz Armii Krajowej. W sąsiednim rejonie działał ks. Piotr Siczek, kapelan 5 batalionu Okręgu Nowogródzkiego.

W Trokielach konspiracyjnym kapelanem, ofiarnym i odważnym, był ks. kpt. Michał Szołkiewicz, ps. „Żubr", kawaler Krzyża Walecznych.

Kapelanem 3 Brygady Wileńskiej był ks. Bolesław Jaskólski, ps. „Kordecki", 5 Brygady Wileńskiej — ks. kpt. Aleksander Grabowski, kawaler Krzyża Walecznych, 6 Brygady Wileńskiej — ks. Piotr Ślaski, ps. „Laska". Kapelanem Zgrupowania Oszmiańskiego — ks. Wiktor Gogoliński, równocześnie kapelan 8 brygady.

W trudnej i niebezpiecznej akcji zabezpieczania magazynów, przechowywania broni i amunicji oraz w tajnym nauczaniu brał udział ks. Jan Dmochowski, ps. „Zaręba". Na różnych odcinkach konspiracji działali bardzo energicznie: ks. Paweł Bekisz, proboszcz parafii św. Rafała w Wilnie, ps. „Wiłkomierz". W szkolnictwie zarówno świeckim na terenie podziemnego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie,

jak i w szkolnictwie wojskowym brał czynny udział ks. prof. Józef Wojtukiewicz, ps. „Wojciech".

Działali między innymi w szkolnictwie podziemnym — średnim i wyższym ówcześni księża, późniejsi biskupi i członkowie Episkopatu Polski: Czesław Falkowski, Michał Klepacz, Aleksander Mościcki, Władysław Suszyński, Ignacy Świrski.

Żeby upamiętnić wysiłek najmłodszych kandydatów na księży, przypomnę dwie postaci. Jedna to alumn Feliks Kochanowski. Przechowywał i przenosił broń, chronił części radiostacji. Odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Drugi alumn działał jako żołnierz AK w Wilnie. Po dwunastoletniej katordze w Workucie nie wrócił do służby kościelnej. Był jednak wspaniałym żołnierzem, chociaż księdzem nie został. Był też uczciwym i prawym obywatelem. To Stanisław Kiałka, ps. „Bolesław", „Szarotka", „Jelonek", podporucznik czasu wojny, kwatermistrz, a później adiutant gen. „Wilka". Odznaczony Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej.

Przypomnieć również należy siostrę zakonną Zofię Weber, która była matką chrzestną obu chorągwi. Obecnie mieszka gdzieś w Kieleckiem czy Piotrowskiem. Jest odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi, a także Krzyżem Armii Krajowej.

Rola księży w brygadach leśnych była wieloraka. Oprócz prac i działalności już wykazanych wyżej w czasie walki z wrogiem spełniali niekiedy obowiązki sanitariuszy, udzielając pierwszej pomocy rannym żołnierzom, a nieraz wynosząc ich z zagrożonego odcinka walki. 69 duchownych, księży i alumnów, straciło życie w okresie okupacji tylko w Archidiecezji Wileńskiej, niektórzy z nich już w łagrach sowieckich.

Przedstawiona tu historia udziału Kościoła w pracy i walce niepodległościowej na terenie Wileńszczyzny pod sztandarem Armii Krajowej może być niepełna. Sam brałem udział w pracach zespołu pod przewodnictwem ks. prof. Józefa Wojtukiewicza. Spotykałem się z księżmi na różnych odcinkach pracy konspiracyjnej. Byli to ludzie sercem i umysłem zaangażowani w pracy podziemnej. Przeważająca z nich większość występowała wtedy incognito. Takie bowiem były zasady konspiracji. Wiele jednak cennego na ten temat materiału zebrał po powrocie z łagrów kpt. „Józef", który z Kościołem utrzymywał bezpośrednie i bliskie bardzo kontakty w okresie okupacji, a po 1956 roku organizował liczne spotkania żołnierzy AK, połączone bezpośrednio z odbywającymi się w kraju uroczystościami kościelnymi. Oto ważniejsze z nich:

11 września 1974 roku odbył się pogrzeb ks. prałata Stefana Ugniewskiego, proboszcza parafii pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Warszawie na Żoliborzu. Ksiądz prałat był założycielem i opieku-

nem Fundacji imienia Ojca Świętego Papieża Piusa XI, przeznaczonej dla sierot po poległych żołnierzach w Chotomowie i Tarchominie. Kawaler papieskiego Orderu „Pro Ecclesia et Pontifice", kapelan-major Wojska Polskiego, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

26 września 1976 roku w Andrzejewie, w województwie łomżyńskim, odbyła się uroczystość związana z poświęceniem mauzoleum ponad 400 żołnierzy 18 Dywizji Piechoty, poległych 12—13 września 1939 roku. W uroczystości udział brali: pasterz Diecezji Łomżyńskiej, żołnierze 18 Dywizji Piechoty, dowódca Białostockiego Okręgu Armii Krajowej, w której skład wchodziła odtworzona w konspiracji 18 Dywizja Piechoty AK, oraz liczna grupa oficerów i żołnierzy Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej.

14 listopada 1976 roku w Białymstoku odbyła się sesja naukowa, zorganizowana w 100-lecie urodzin ks. arcybiskupa metropolity wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego z udziałem najwyższych dostojników Diecezji Poleskiej, Łomżyńskiej, księży, oficerów i żołnierzy wschodnich okręgów Armii Krajowej.

25 lutego 1977 roku w katedrze w Łomży odbyła się uroczystość, z okazji 25-lecia sakry biskupiej ks. Aleksandra Mościckiego, sufragana łomżyńskiego, z udziałem żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy przybyli ze swoim sztandarem, oraz oficerów i żołnierzy Wileńsko-Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej.

14 sierpnia 1977 roku w Rajgrodzie, w województwie suwalskim, odbyła się uroczystość poświęcenia w kościele pomnika poległych żołnierzy 9 Pułku Strzelców Konnych Armii Krajowej. Patronat nad uroczystością sprawował ordynariusz Diecezji Łomżyńskiej ks. biskup dr Mikołaj Sasinowski z udziałem komendanta Białostockiego Okręgu AK płk. Władysława Liniarskiego, ps. „Mścisław", oraz oficerów i żołnierzy Białostockiego i Wileńsko-Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej.

Zachowały się również wygłoszone na tych wszystkich uroczystościach przemówienia okolicznościowe, ilustrujące bogatą historię dziejów z okresu walk niepodległościowych na kresach wschodnich na przestrzeni kilku ostatnich wieków a szczególnie w okresie drugiej wojny światowej.

Kościół rzymskokatolicki również po wojnie przyczynił się do utrwalenia naszej historii współczesnej. Świadectwem tego są liczne tablice i pomniki ustawione w kościołach, ilustrujące walkę narodu o swą niepodległość.

Armia Krajowa na Wileńszczyźnie pomyślny rozwój zawdzięcza w ogromnym stopniu miejscowej ludności, która ją żywiła, ukrywała w razie potrzeby i zasilała dzielnym i patriotycznym żołnierzem jej szeregi.

Przyjrzyjmy się więc temu społeczeństwu bliżej według danych statystycznych z 1939 roku.

Tabela ludności zamieszkującej Wileńszczyznę

			Miasto	wieś
Polaków	804,7 tys.	63,7%	164,7 tys.	640,0 tys.
Białorusinów	289,4 „	22,7%	7,7 „	281,7 „
Żydów	108,9 „	8,5%	75,6 „	33,3 „
Litwinów	68,0 „	5,3%	3,0 „	1,6 „
Rosjan	4,5 „	0,6%	2,4 „	1,6 „
Niemców	0,4 „	0,16%	0,4 „	0,4 „
Razem.	1,276 tys.		254 tys.	1,022 tys.

Powyższa tabela ukazuje, że olbrzymią większość mieszkającej na tych ziemiach ludności stanowili Polacy, z czym nie chcieli się pogodzić Litwini.

Polscy komuniści, którzy z lekkim sercem pogodzili się szybko z grabieżą tych ziem przez Stalina, z tematu polskości na kresach uczynili przedmiot częstej krytyki. W paru zdaniach postaram się wyrazić swoją na ten temat opinię oraz scharakteryzować pokrótce każdą z tych narodowości. Szczególnie okres wojny a potem pięć lat okupacji pod dwoma zmieniającymi się zaborami służy temu wybornie.

Białorusini, najliczniejsza część mniejszości narodowej, zarówno w okresie międzywojennym, jak i w okresie okupacji jako obywatele II Rzeczypospolitej okazali w zasadzie pełną lojalność. Były oczywiście wyjątki, ci, którzy z pobudek czysto koniunkturalnych poszli na współpracę z NKWD, zasilając tworzącą się milicję i współpracującą administrację. Nie przytaczam tu przykładów ani pozytywnych, ani negatywnych na poparcie wyrażonego sądu. Mam ich zbyt wiele, na Wileńszczyźnie się urodziłem, żyłem, razem dzieląc wspólnie los utraconej niepodległości. Moje osobiste doświadczenia w tym zakresie oparte są na faktach i spostrzeżeniach wyniesionych również z rejo-

Gen. Aleksander Krzyżanowski, ps. „Wilk", Komendant Wileńsko-Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej

Kadra oficerska Dzielnicy B oraz Uderzeniowego Batalionu Kadrowego na spotkaniu w Warszawie 26 maja 1963 r. Stoją od lewej: 1. Jan Niedziela, ps. „Krzyszwiak", 2. Wiktor Jagoda, ps. „Brzoza", 3. Antoni Pietraszun, ps. „Kotek", 4. Zosia Matusewiczówna, ps. „Basia", 5. Longin Blinstrub, ps. „Lech", 6. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef", 7. Stefan Chodyko, ps. „Grunwald", 8. Anatol Rymaszewski, ps. „Andrzej", 9. Stanisław Musiał-Pełczyński, ps. „Józef", 10. Teodor Sawicki, ps. „Otto", 11. Zbigniew Trzebiński, ps. „Zbych"

Pchr. Paweł Świetlikowski w Szkole Podchorążych Rezerwy przy 76 pp w Grodnie, 1936 r.

Kpt. Zygmunt Dziarmaga-Działyński, ps. „Józef", z głowicą sztandaru pułku im. Bolesława Chrobrego

Żołnierze Armii Krajowej, walcząc o Polskę, nie zapominali również o służbie i obowiązkach względem Boga. Straż przy grobie Chrystusa mimo szalejącej okupacji

Longin Blinstrub, ps. „Lech"

Michalina i Malwina Blinstrubowe

Danuta Ciesielska,
ps. „Ślepowron",
drużynowa łączniczek Dzielnicy B

Budynek na Zwierzyńcu, do którego przeniesiono rannych żołnierzy ze szpitala polowego Dzielnicy B

WILNO
Plan sytuacyjny akcji „Ostra Brama"
179
Plac Bram
Linia obrony
Śnipiszki
Most Strategiczny
101
Dzielnica Kalwaryjska
oddziały Dzielnicy "A"
152
oddziały Dzielnicy "B"
oddziały Dzielnicy "B"
Antokol
Rybaki
108
Zwierzyniec
Most Zielony
109
Most Zwierzyniecki
Łukiszki
Zarzecze
116
Śródmieście
Budynek dyrekcji kolejowej
118
Dworzec kolejowy
Rossa
128
Przystań miejska
140
Linia obrony
132
131

nu Hoduciszek, gdzie Białorusini stanowili znaczną część miejscowej ludności.

Jednym z przedstawicieli tej części ludności był zawiadowca odcinka drogowego Edward Strzelecki, który domyślając się, że jestem czynnym członkiem w konspiracji, zgłosił chęć przystąpienia do niej. W rezultacie stworzył w swoim środowisku silny oddział AK, a sam, jak się okazało, był podporucznikiem polskiej armii.

Mniejszość żydowska pozostawiła we mnie dwa różne z tego okresu obrazy. Okupacja sowiecka dodała wielu z nich wigoru, dobrze radzili sobie w życiu, nie brakowało też takich, którzy przeszli na pełną, jak mówiono, współpracę. W gronie spotykających Armię Czerwoną z kwiatami najwięcej było młodzieży żydowskiej. Wybiegając w tym momencie o kilka lat naprzód, podczas półtorarocznego pobytu w dwóch sowieckich więzieniach stwierdziłem, że połowę personelu NKWD stanowili Żydzi.

Okupacja niemiecka natomiast to kwestia przechodząca ludzkie wyobrażenia i nie poddająca się żadnej analizie. Najpierw trafili w straszliwe warunki w getcie, potem Żydów rozstrzeliwały w Lesie Ponarskim oddziały „Strzelców Ponarskich" pod nadzorem gestapo. Całkowite niemal unicestwienie tej grupy ludności. Tylko wyjątkom udało się uratować ucieczką do lasu, a niektórzy zostali przechowani wbrew zakazom okupanta przez Polaków. Do Armii Krajowej nie zaciągali się, można było jednak ich spotkać w partyzantce sowieckiej.

Litwini — to rozdział oddzielny. Pozbawieni w 1940 roku niepodległości, zniewoleni przez Stalina, z chwilą przyjścia Niemców poszli z nimi w większości na współpracę i od tego czasu już razem realizowali nieprzychylną, a nawet wrogą w stosunku do Polski i Polaków politykę.

Wspomnieć też należy o Rosjanach i starowierach. Jedni i drudzy trzymali się swego odrębnego środowiska. Rosjanie — to przeważnie inteligencja. Dzieci w zasadzie posyłali do rosyjskiego gimnazjum im. Aleksandra Puszkina, starając się zachować swoją odrębność kulturalną i narodową. Wielu uczyło się też w gimnazjach polskich, sam miałem dobrych kolegów w gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. Kraj, w którym mieszkali, stał się ich ojczyzną z wyboru. Opuścili Rosję w czasie krwawej rewolucji. Polska dała im bezpieczne i przyjazne schronienie, co też doceniali, odwzajemniając się lojalnością w życiu codziennym oraz w momentach dziejowego zagrożenia. Wojna 1939 roku była tego jaskrawym dowodem.

Starowierzy znaleźli się w Polsce z tej samej przyczyny co Rosjanie. Zajmowali się przeważnie handlem trzodą chlewną, trzymali się stale razem, mężczyźni zapuszczali długie brody, byli uczciwymi i lojalnymi wobec Polski obywatelami. W Wilnie było kilka ładnych

cerkwi i jedno seminarium duchowne prawosławne. Cerkiew przy ulicy Kalwaryjskiej była odległa tylko 200 metrów od mego domu, obserwowałem więc często ich życie religijne, które w terminach opóźniało się w stosunku do naszych świąt katolickich o dwa tygodnie.

Pozostała jeszcze nieliczna tylko grupa niemiecka. Nielicząca się, niewidoczna. Właścicielem domu przy ulicy Chocimskiej był Niemiec, Lehman. Syn i córka uczyli się w polskim gimnazjum. W 1939 roku, gdy wybuchła wojna, wyjechali wkrótce do Niemiec.

Drugi przykład jest już bardzo pouczający. Dyrektorem Miejskiej Elektrowni był Polak inż. Glatman. Żona pracowała społecznie w komitecie rodzicielskim w jednym z polskich gimnazjów. Dwoje dzieci: Ada i Jurek uczyli się w polskich gimnazjach. Wybuchła wojna w 1939 roku. Inżyniera Glatmana zobaczyliśmy w mundurze majora Wehrmachtu.

LAS PONARSKI

Las Ponarski, położony w odległości 10 kilometrów od Wilna przy szosie do Kowna, jest miejscem niezwykłym. W 1940 roku Sowieci rozpoczęli tu budowę ukrytego, ogromnego podziemnego zbiornika płynnego paliwa, przeznaczonego na cele strategiczne. Jednak wojna z Niemcami budowę tę przerwała. W czerwcu 1941 roku Niemcy okupowali Wilno. Rozpoczętą przez Sowietów inwestycję ponarską postanowili wykorzystać w sposób racjonalny. Postanowiono mianowicie urządzić tu obóz zagłady. Długie i głębokie rowy były już wykonane. Teren ten ogrodzono teraz drutem kolczastym i ustawiono wokoło liczne tablice ostrzegawcze, zakazujące osobom cywilnym i wojskowym zbliżania się do ogrodzenia pod karą śmierci.

Do ochrony i obsługi tego obiektu powołano specjalny, litewski batalion żołnierzy pod nazwą „Strzelcy Ponarscy". Plony ich pracy były obfite, w ciągu trzech lat, od lipca 1941 roku do lipca 1944 roku, zamordowano tu ponad 100 tysięcy ludzi. Najliczniejszą grupę stanowili Żydzi z getta wileńskiego, około 60 tysięcy. Pozostałą ilość dopełniali jeńcy sowieccy, Cyganie, Litwini i kilka tysięcy Polaków.

Warunki sprzyjały. Doły już czekały. Las tłumił odgłos salw z automatów, środki i drogi transportu idealne. Z jednej strony lasu biegła linia kolejowa, z drugiej szosa Wilno—Grodno. Dobór żołnierzy specjalny, o szowinistycznej ideologii znanej na Litwie organizacji pod nazwą „Szaulisi".

Historię Lasu Ponarskiego odtworzono dopiero po wojnie z pozostawionych przez Niemców w pośpiechu dokumentów i relacji naocznych świadków. Cenne materiały zostawił po sobie mieszkający obok obozu Kazimierz Sakowicz, żołnierz AK, który zginął w lipcu 1944 roku w walkach o Wilno. Był to starannie prowadzony pamiętnik, umieszczony w butelkach i zakopany w ogrodzie i odkryty przypadkowo w 1945 roku.

Pamiętnik opublikowano w broszurach przez „Mintis" w 1966 roku. Oto kilka z niego wyjątków:

„2 sierpnia 1942 roku egzekucji dokonywało 80 oprawców. Wszyscy byli pijani. Ogrodzenia pilnowało 100 żołnierzy i policjantów. Tym razem przed rozstrzeliwaniem okrutnie torturowano. Zamordowanych nikt nie zakopywał. Rzucano ich po prostu do dołu, strącając w dół nogami. Rozlegały się jęki rannych. Nikt ich nie dobijał..."

„5 kwietnia 1943 roku. Znowu przybywa pociąg z Wilna. Przywieźli. Zaczęli wyrzucać ludzi z wagonów i od razu niewielką grupę poprowadzili do dołu. Tych, którzy byli w gorszym ubraniu, nie rozbierano. Zapędzili do dołu i od razu zaczęli rozstrzeliwać. Stojąca w pobliżu inna grupa ludzi widząc, co się dzieje z ich bliskimi, zaczęła lamentować. Kilku z nich rzuciło się do ucieczki. Nieco w tyle za innymi biegła kobieta, przyciskając do piersi dziecko. Dogonił ją policjant, uderzył kolbą po głowie i kobieta upadła. Policjant zaś chwycił dziecko za nóżki i wrzucił do dołu".

Znany pisarz i publicysta Józef Mackiewicz mieszkał w Ponarach i także był naocznym świadkiem tych tragedii. Nazwał to „rzeźnią" i „fabryką śmierci". Pisał o tym w 1945 roku w londyńskim czasopiśmie „Orzeł Biały". Czasami dantejskie sceny rozgrywały się już na torach stacyjnych, zanim tłum skazańców zdołano zapędzić za bramę kaźni. Więzionych z getta wileńskiego Żydów wprowadzano w błąd, zapowiadając, że pojadą na roboty do Koszedar. Jednak kiedy wagony zatrzymywały się w Ponarach, wiedzieli już, co ich czeka.

Zaczynały się ucieczki, strzelanina, koszmar, lament, wycie i płacz, gwizd kul. W poprzek szyn leżące ciała, w lesie tak samo: roztrzaskane głowy ze zwojami mózgu, krew, czołgający się na czworakach ranni, zaś pośród nich szaleni z obłędnego mordowania oprawcy. Były dnie, że zabito 4000 ludzi, wtedy „Strzelcy Ponarscy", tzw. „Sonderkomando", skarżyli się, że bolą ich ze zmęczenia ramiona. Żydów przywożono tu nie tylko z getta wileńskiego, ale także z okolic Święcian, Oszmiany i innych pobliskich miasteczek.

Jeńców sowieckich, słaniających się na nogach z głodu i wyczerpania, rozstrzeliwano jako wrogów wojennych. Polaków mordowano za podjętą z okupantem zbrojną walkę lub jako zakładników.

Przywożeni z więzień, mieli ręce do tyłu powiązane drutem.

Urządzano niekiedy przed rozstrzelaniem cyniczne spektakle. Oto grupie polskich harcerek kazano najpierw rozebrać się, później puszczono na nie psy, które rzuciły się na nie, podczas gdy patrzący na to Niemcy i szaulisi zaśmiewali się szatańsko. Pisze o tym Z. Fedorowicz, przedstawiciel RP w Londynie na kraj (tekst w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu).

Młodzież wileńska, wychowana w szkołach w miłości do Boga i Ojczyzny, podejmowała spontanicznie walkę z okupantem. Płaciła za to często najwyższą cenę — życiem. Młodzi najpierw trafiali do więzień, gdzie byli okrutnie torturowani, a później kończyli śmiercią w Ponarach. Byli to m.in.: Kazimierz Mackiewicz, ps. „Kondrat" ur. 1921 r., Zbigniew Kuligowski ur. 1924 r., Leonid Kowalewicz, ps. „Boy" ur. 1921 r., Tadeusz Chubyda ur. 1923 r., Jerzy Góra, ps. „Stanisław", Halina Kopciówna ur. 1923 r., Anastazja Saulewiczówna i wielu innych.

W przeddzień śmierci, tj. 11 maja 1942 roku, chłopcy przebywający w zbiorowej celi śmierci przekazali jak gdyby testament alfabetem więziennym do siedzącego przez ścianę Piotra Wróblewskiego, który słowa te zapamiętał, a później przekazał: „Słuchaj, kimkolwiek jesteś, wiedz, że wyrok śmierci nie pokonał żadnego z nas. Solidarni i świadomi wagi chwili oddajemy życie za Boga i Ojczyznę. Wierzymy, że to, o co walczyliśmy, nie zginie. Sprawę podejmą inni... Polska powstanie wolna i niepodległa. Powiedz to innym: nie załamał się żaden z nas, choć byliśmy bici i torturowani. Wierzymy, że rozporządza nami Opatrzność, więc jesteśmy spokojni".

Tym bohaterskim chłopcom — żołnierzom Armii Krajowej — błogosławił nad dołem w Lesie Ponarskim inny żołnierz AK ks. Romuald Świrkowski, przedwojenny dyrektor Akcji Katolickiej na całą Diecezję Wileńską. Skutymi kajdanami rękoma kreślił znak krzyża w ich kierunku, o czym opowiedział kuzynce księdza, po wojnie zamieszkałej w Gdańsku, jeden z ocalałych Żydów z ekipy roboczej do zakopywania trupów.

W Ponarach wielu Polaków poniosło śmierć męczeńską. W przeważającej części byli to żołnierze Garnizonu Miejskiego Armii Krajowej. Kogo nie zakatowano w więzieniu przy ulicy Ofiarnej lub na Łukiszkach, a został skazany na śmierć, znajdował śmierć w złowieszczym lesie w Ponarach. Tu również 17 września 1943 roku rozstrzelano z rozkazu komisarzy Wulffa Hersta i Hansa Hingsta dziesięciu spośród stu aresztowanych polskich zakładników.

Po pomordowanych nie pozostawiali Niemcy żadnych śladów. Dopiero pod koniec 1943 roku rozpoczęto palenie zwłok na specjalnie skonstruowanych stosach. Do umieszczenia ciał w wyższych partiach służyła maszyna, przypominająca pogłębiarkę do prac wodnych na kółkach. Metalowe platformy na dużych rolkach podnosiły się w górę

za pomocą ręcznej korby. Zastała ją komisja do badania zbrodni w 1944 roku.

Prochy wywożono poza teren ogrodzony lub rozsiewano na miejscu, mieszając z substancją chemiczną, powodującą stwardnienie gruntu. To straszliwe miejsce kaźni uporządkowano dopiero w 1986 roku. Przy wejściu umieszczono jednak kłamliwy napis, że zamordowani byli obywatelami sowieckimi, podczas gdy około 90 procent stanowili obywatele II Rzeczypospolitej. W tym fałszerstwie prawdy kryje się chęć ukrycia faktu dokonania w 1939 roku na tych ziemiach uzgodnionej z Hitlerem agresji.

KRYPTONIM „OSTRA BRAMA"

Drugi rozkaz gen. „Wilka", przyśpieszający o dobę przystąpienie do akcji „Ostra Brama", dotarł do oddziałów Garnizonu 5 lipca 1944 roku. Polecenie przeprowadzenia koncentracji oddziałów swego batalionu otrzymałem od mjr. „Rojana". Miałem dobę na jej realizację. Instruktaż polecenia był zwarty i wystarczająco treściwy: „Zbierać się o zmroku, małymi grupami, nie zwracając niczyjej uwagi. Czekać na dalsze rozkazy".

Koncentrację oddziałów wyznaczyłem w godzinach 21—23; miałem niedużo czasu na powiadomienie wszystkich akowców, niektórych nawet w odległym terenie. Cały ciężar zadania spadł na szefową łączniczek „Muchę" i podległe jej dziewczęta. Byłem przekonany, że dołożą wszelkich starań, aby otrzymane polecenie wykonać. Zadanie nie było łatwe. Rozkazem powiadomienia objęci zostali dowódcy kompanii, plutonów i drużyn.

Tak się złożyło, że trzy kompanie Dzielnicy A oraz 80 procent oddziałów Dzielnicy B koncentrowały się w tej samej dzielnicy Kalwaryjskiej. Było to wynikiem faktu, że większość kadry oficerskiej i podoficerskiej tych Dzielnic zamieszkiwała w tym właśnie rejonie miasta i siłą rzeczy z tego środowiska werbowano członków do pracy w konspiracji.

Problem ten jest naświetlony niedostatecznie, co wynika z faktu, że oprócz jedynej relacji z akcji „Ostra Brama" złożonej w Instytucie Historycznym przez kpt. „Jana", dowódcę Dzielnicy A, żaden z dowódców pozostałych Dzielnic tego nie uczynił z różnych względów.

Nieliczne na temat Garnizonu Miejskiego wydane dotąd publikacje zawierają wiele podstawowych błędów i nieścisłości, ponieważ ich autorzy, pochodząc spoza Garnizonu, z konieczności korzystali jedynie z relacji innych osób, często mylących i niedokładnych.

Jestem dziś prawdopodobnie jednym z dwóch pozostających przy życiu oficerów spośród kadry Garnizonu, działających tam od pierwszych dni jego powstania w listopadzie 1939 roku aż do rozbrojenia w dniu 17.07.1944 roku przez oddziały Armii Czerwonej. Jest więc dziś moim naczelnym obowiązkiem opisać historię jego powstania, rozwoju, udziału w akcji „Ostra Brama", oraz zasygnalizować tragiczne losy oficerów i żołnierzy Garnizonu po lipcowym rozbrojeniu.

Jest rzeczą niemożliwą, aby pisząc dziś po upływie 45 lat historię tamtych lat, można było ustrzec się drobnych błędów i nieścisłości. Czas miniony zrobił swoje, a genialna nawet pamięć w sytuacji tej okazać się może ułomna. Proszę więc Czytelników o wyrozumiałość.

Przyrzekam jednak solennie jedno: pisać będę tylko o tym, co sam przeżyłem i na własne oczy widziałem. Chcę oprzeć się również na relacjach innych uczestników tych zdarzeń, skonfrontowanych jednak ze sobą oraz moją wiedzą. Jestem przekonany, że będziemy wtedy najbliżej prawdy. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem koloryzowania ludzi, przydawania im znaczeń wyjątkowych. Armia Krajowa tego nie potrzebuje.

Koncentracja przebiegała spokojnie i bez żadnych niespodzianek. Stwierdzono tylko, że ulicą Kalwaryjską przeszły do Śródmieścia nieduże oddziały niemieckie. Ludzie zbierali się w domach, zachowując należne środki ostrożności.

W nocy z 6 na 7 dała się słyszeć potężna eksplozja gdzieś w rejonie centrum miasta. Jak się nazajutrz okazało, Niemcy wysadzili w powietrze most Zielony na Wilii, odcinając dzielnicę Kalwaryjską od miasta.

Dzielnica A

7 lipca rano wszystkie oddziały Dzielnicy A spotkały się na dużym, ogrodzonym placu wokół cerkwi przy ulicy Kalwaryjskiej, odległym około 100 metrów od ulicy Trębackiej, gdzie mieszkałem pod nr. 4.

Kpt. „Jan " dokonał pierwszej odprawy swoich dowódców trzech kompanii, zapoznał się ogólnie ze stanem i uzbrojeniem i wydał pierwsze bojowe polecenia: zdobyć w okolicznych koszarach broń i uzbroić wszystkich żołnierzy.

Lokalizacja koszar była następująca: około 200 metrów od cerkwi, wzdłuż ulicy Derewnickiej ciągnęły się koszary 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich. W pobliżu placu Broni zlokalizowane były koszary 1 i 5 Pułku Legionów; przy ulicy Pióromont — 3 PAC oraz przy ulicy Wiłkomierskiej lokował się 1 PAL. W jednej tylko dzielnicy miasta aż pięć obiektów z możliwością zdobycia broni! Jedna była tylko wielka niewiadoma: wielkość będących tam załóg. Innych mo-

żliwości zdobycia broni nie było, należało więc wykorzystać te, jakie były pod ręką.

Siedzibą kpt. „Jana" był dwupiętrowy budynek byłego komisariatu policji nr 4 u zbiegu ulic Kalwaryjskiej i 3 Słomianki. Akcja „Ostra Brama" była już rozpoczęta. Trzy kompanie por. art. „Andrzeja", por. „Mocnego" i por. art. „Białego" potrzebowały przede wszystkim znacznego dozbrojenia. Każda z nich liczyła około 120—150 ludzi. Poszczególni dowódcy przystąpili natychmiast do wykonania poleceń.

Dzielnica B

Na przekór administracyjnemu podziałowi, 80 procent kadry i żołnierzy tej Dzielnicy mieszkało w prawobrzeżnej części miasta, koncentracja więc zamieszkałych tu ludzi również odbyła się niemal bezkolizyjnie. Mieszkając o żabi skok od bazy Dzielnicy A, miałem dobry wgląd w działalność Dzielnicy A na wspólnym wszak terenie walki.

Dowódca mojej największej kompanii, ppor. „Włodzimierz", mieszkał przy ulicy Chocimskiej, tu zebrał swoją kompanię, sąsiadując z por. „Andrzejem" z Dzielnicy A.

Ppor. „Wiktor 2" mieszkał na Zwierzyńcu, z 90 swoimi ludźmi od kilkunastu już dni przebywał w Śródmieściu, okupując wyznaczone obiekty. 2 pluton tej kompanii pod dowództwem pchor. „Żuka" oraz oddział młodzieży skoncentrowały się na Zwierzyńcu przy ulicy Jasnej i Dzielnej. Tam bowiem mieszkała większość z nich.

Dowódca 1 Rejonu, por. „Słowianin", skoncentrował swój oddział w rejonie pałacyku Tuskulany, niektórzy przybyli już o 7 rano łodzią, tą drogą ostrzelaną przez sowiecki „kukuruźnik" przedostała się tu również dowódca drużyny łączniczek i sanitariuszek przy sztabie Dzielnicy B na Zwierzyńcu (róg ulicy Gedyminowskiej i Sosnowej) Danuta Ciesielska, ps. „Ślepowron". Przeprawa łodzią pod ostrzałem, połączona z przymusową do tego jeszcze kąpielą stanowiła chrzest bojowy, wzbogacając jej karierę żołnierską pierwszym doświadczeniem i posmakiem prawdziwej walki.

Rozrzucona w dalekim terenie kompania por. zaw. „Michała" (Rudziszki, Kolonia Wileńska, Hoduciszki) skoncentrowała się w rejonie Kolonii Wileńskiej. Nie mając już możliwości dotarcia do m.p. Dzielnicy B na Zwierzyńcu (most Zielony zniszczony, a most Zwierzyniecki silnie obstawiony przez niemiecką broń przeciwpancerną), pozostała już na miejscu, biorąc udział w ogólnym natarciu na Wilno.

Z por. „Michałem" spotkałem się dopiero 17 lipca na koncentracji koło Miednik, gdzie w myśl zawartej pomiędzy gen. „Wilkiem" a rzekomym gen. I. Czerniachowskim umowy rozpoczęto tworzenie

nowej dywizji. Właśnie por. „Michał" był jednym z pierwszych powołanych do tej jednostki oficerów.

1 batalion por. „Lecha" również, wykorzystując miejsca zamieszkania swoich żołnierzy, koncentrował oddziały w dwóch miejscach: we wsi Wierszuliszki oraz na Zwierzyńcu, w rejonie ulicy Dzielnej, gdzie dowódca mieszkał. Wieś Wierszuliszki była sceną tragedii, zajęta przez kompanię ppor. „Zamka" zbombardowana została przez lotnictwo sowieckie. Zginął tu dzielny ppor. „Zamk".

Błąd w rozeznaniu przeciwnika czy wykorzystanie okazji do zamierzonego ataku? Nie wiem, ale daltonistów do armii się nie przyjmuje. Mundur polskiego żołnierza znacznie się różni od niemieckiego.

3 batalion mjr. „Roga" koncentrował się w rejonie placu Broni. Dwie drużyny zbierały się w śródmieściu, ponieważ tu miały do podjęcia broń z dwóch tajnych magazynów: przy ulicy Młynowej i Wielka Pohulanka. Miejsca te okazały się paszczą lwa obrony niemieckiej. „Róg" nie znając założeń walki własnych oddziałów, tym bardziej nie mógł znać planów niemieckich. Nie pracował wszak w wywiadzie wojskowym ani nie był szefem Sztabu Garnizonu.

Skończyło się to tragicznie. Przy ulicy Młynowej Niemcy rozstrzelali 4 żołnierzy powstańców na miejscu, a 10 w Ogrodzie Bernardyńskim. Próba podjęcia broni z magazynu przy ulicy Wielka Pohulanka skończyła się podobnie i kosztowała życie 10 żołnierzy.

Dowódca 3 Rejonu ppor. „Owczarek", rejon Nowa Wilejka, i dowódca 4 Rejonu Zarzecze płn. por. „Ogniwo" koncentrowali się, jak podano w rozkazie. Podczas gdy pierwszy został odcięty od dowództwa Dzielnicy B, drugi znalazł się tuż przy głównym punkcie dowództwa niemieckiej obrony miasta. Przejawił jednak ogromną dozę dowódczej rozwagi i sprytu, bo się z tego piekła wydostał cało i zdołał wziąć udział ze swoim oddziałem w ataku ogólnym od wschodu. Z porucznikiem „Ogniwo" spotkałem się dopiero w 1946 roku w łagrze nr 6 w Workucie. Z tego czyhającego na nas piekła, jak widać, wykręcić się nie mógł, jak i ja również.

Jeden z oddziałów por. „Ogniwo" pod dowództwem por. ps. „Głowacki" odznaczył się w walce (prawdopodobnie 13 lipca) w rejonie ulicy Wielka Pohulanka, następnie powrócił do Tuskulan, gdzie było m.p. por. „Ogniwo". Pisze o tym w swojej relacji płk „Ryngraf".

Akcję zamykają dwa oddziały 1 batalionu Dzielnicy B, które po wysadzeniu przez Niemców mostu Zielonego zmuszone były pozostać na lewym brzegu Wilii, przyłączając się do działających w tym rejonie zgrupowań. Oba te oddziały, zgodnie z relacją oficera ze sztabu gen. „Wilka" ppor. „Bolesława", brały udział w walkach o ratusz miejski, wspomagając komp. por. „Mocnego" w dniu 15 lipca.

Dowódca 1 plutonu 2 kompanii 1 batalionu sierżant Stefan Cho-

dyko, ps. „Grunwald", w pierwszych dniach walk brał udział w różnych akcjach, współpracując z kompanią por. Wiktora Jagody, ps. „Brzoza", z 3 brygady „Szczerbca". Natomiast pluton ppor. Kitowskiego, ps. „Kitek", współdziałał głównie z kompanią por. „Mocnego" w akcjach 13 lipca w rejonie ulic Zamkowa—Wielka. Oba te oddziały liczyły około 100 ludzi. Swoją zdecydowaną postawą i męstwem zasłużyły na wyróżnienie.

Dzielnica C

Dowódca Dzielnicy C mjr „Nowicki" miejscem koncentracji swoich oddziałów wyznaczył dzielnice Popławy i Markucie. Obie one, niestety, leżały w granicach niemieckiego rejonu obrony miasta. Rzecz zrozumiała, że w takiej sytuacji nie mogło być mowy o żadnym działaniu bojowym w tej części Wilna. Nie ma również żadnych materiałów o sposobie i wynikach przeprowadzonej przez tę Dzielnicę koncentracji i udziale jej w walkach o Wilno. Być może jakieś materiały o tej Dzielnicy jeszcze się pojawią. Brak ich nakazuje wstrzymanie się od wyciągania jakichkolwiek wniosków.

Dzielnica D

Dowódca Dzielnicy kpt. „Kmita", „Czarny", ze swymi kompaniami kadrowymi „Wita" i „Krzysia" koncentrował się w podziemiach klasztoru przy Zaułku Ignacowskim. Tu zorganizowany został punkt opatrunkowy pod kierownictwem lekarza Józefa Lenartowicza, ps. „Majski", który wraz ze swoją żoną w roli sanitariuszki udzielał pomocy rannym żołnierzom, również i sowieckim.

Oddział por. Łucznika, ps. „Sław", podczas próby zdobycia broni w komisariacie nr 6 przy ulicy Żeligowskiego poniósł duże straty: zginął por. „Sław" i strzelec Kozierowski, ps. „Jur", ranny został sierżant „Krakowski".

Oddział młodzieżowy działający na Zwierzyńcu liczył 43 ludzi, wzrastając liczebnie do dnia 17 lipca do 60 ludzi.

Kadrę Dzielnicy stanowili: por. „Młynek", „Tesaro", por. „Sław", „Krzyś", „Wita", rolę łączniczek-sanitariuszek spełniały: żona lek. Lenartowicza „Grażyna" oraz „Jasna". Grupa operacyjna „Krzysia", m.in.: Wacław Zdanowicz, Włodzimierz Mokrzycki, Antoni Ławkiedraj, Konstanty Giedroyć i Wiktor Kozlowski (zam. 00-540 Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 87) po walkach o Wilno, już na koncentracji w rejonie Puszczy Rudnickiej, została rozbrojona i osadzona w obozie w Miednikach.

Pewnego dnia w asyście oficera i kierowcy samochodu ciężaro-

wego z ochrony obozu udali się do Wilna po zbiorniki na wodę pitną. Na kolejowej stacji Towarowej trójka akowców (dwaj bracia Kozłowscy i kolega) zdołała zmylić czujność enkawudzistów i uciekła. Pozostali zostali wywiezieni wkrótce z Miednik do Kaługi.

Dzielnica E

Dowódca Dzielnicy kpt. Aleksander Tomaszewski, ps. „Pal", wyznaczony został na to stanowisko tuż przed akcją „Ostra Brama", ponieważ w tym czasie zapadła decyzja o jej utworzeniu. Rejonem działania jej były tory kolejowe na odcinku Wilno—lotnisko Porubanek. Rejon bardzo ważny strategicznie, zabieg organizacyjny jednak mocno spóźniony. Nic ponadto o tej Dzielnicy powiedzieć nie mogę.

W ocenie ogólnej koncentracja Garnizonu Miejskiego wypadła dobrze. Oddziały Dzielnic A i B, koncentrujące się w prawobrzeżnej części miasta i stanowiące około 75—80 procent ogólnego stanu liczebnego, akcję tę przeprowadziły pomyślnie i sprawnie. Pozostałe oddziały, realizując tę akcję, znalazły się nieoczekiwanie w granicach obronnej strefy miasta, w bezpośrednim otoczeniu wojsk niemieckich, i postawione zostały w sytuacji wręcz krytycznej. Fakt ten wywołuje u mnie szereg skierowanych pod adresem sztabu i wywiadu Garnizonu Miejskiego pytań, sam nie znajduję na nie odpowiedzi. Wygląda na to, że nasze założenia sztabowe nie przewidziały podstawowych pociągnięć dowództwa niemieckiego.

Ponieśliśmy pierwsze niepotrzebne śmiertelne ofiary. Zginęło 24 żołnierzy.

Dozbrajanie oddziałów Dzielnic A i B

7 lipca rano dowódcy trzech batalionów Dzielnicy B stawili się w sztabie Dzielnicy na Zwierzyńcu, w budynku szkoły powszechnej na skrzyżowaniu ulic Gedyminowskiej i Sosnowej. Obszerne pomieszczenia piwniczne pozwoliły na rozlokowanie się sztabu, zaplecza gospodarczego z kuchnią i polowego szpitala.

Oczekiwała nas tu ogromna niespodzianka: zamiast dotychczasowego dowódcy kpt. „Józefa", z którym współpracowaliśmy przez ostatnie 3 lata, zastaliśmy nowego w osobie rtm. ps. „Grom 2R" w towarzystwie por. „Słowianina" i nie znanych nam ppor. „Ryszarda" jako oficera broni oraz pchor. „Lecha". Dowiedzieliśmy się, że zmiana ta nastąpiła zgodnie z rozkazem mjr. „Rojana". Podczas walki nie pora na pytanie: co się stało z „Józefem", dlaczego zmiany dokonano w ostatniej i najmniej stosownej chwili i wreszcie dla-

czego nas o tym przynajmniej nie poinformowano stosownie wcześniej.

Jak każdy nowy człowiek, rtm. „Grom 2R" nie znał ludzi, panujących i wypracowanych pieczołowicie przez okres pięciu lat stosunków, atmosfery koleżeńskiego współżycia, rozległego w końcu terenu działania. Sytuacja była jednak wojskowo jasna. Ciężar odpowiedzialności za działania bojowe musieli przejąć w tej sytuacji na siebie trzej dowódcy batalionów: por. „Lech", por. „Jerzy" i mjr „Róg", każdy w swoim zakresie działania.

Rozrzucone tymczasem w terenie oddziały czekały rozkazów. Należało najpierw podjąć decyzję odnośnie do miejsc lokalizacji poszczególnych oddziałów. Nie nadawała się do tego dzielnica Zwierzyniec. Stanowiła ona bowiem siatkę jak szachownica pociętych regularnie wzdłuż i wszerz ulic, wciśniętą w zakole Wilii, na której drugim, wysokim i osłoniętym, brzegu Niemcy rozlokowali swoje stanowiska ogniowe broni maszynowej, moździerzy i strzelców wyborowych.

Od północy dawał o sobie wciąż znać niemiecki punkt oporu nr 152, który ulokowany u podnóża Gór Szeszkińskich panował całkowicie nad ulicą Sołtańską, zamykając dalekim ogniem dojście na Zwierzyniec z Kalwaryjskiej. W tej sytuacji każde pojawienie się na jakiejkolwiek z ulic stanowiło śmiertelne zagrożenie i wymagało doskonałego wyszkolenia bojowego w warunkach walk ulicznych, do których żołnierz AK nie był zupełnie przygotowany, choć bohaterstwa i brawury mu nie brakowało. W tej sytuacji na Zwierzyńcu pozostał tylko oddział młodzieżowy kompanii 4 oraz 2 plutony kompanii 2 z zadaniem oczyszczenia przedpola dzielnic Śnipiszki i Sołtaniszki, zabezpieczając możliwość łączności i komunikacji pomiędzy dzielnicami Zwierzyniec i Kalwaryjska.

Dzielnica Kalwaryjska to wysoka zabudowa, chroniąca dostatecznie przed dalekim ogniem pośrednim z niemieckich punktów obrony nr 152 i nr 179 od północy. W równym stopniu osłonięta była od strony mostu Zielonego i rozlokowanych tam wzdłuż Wilii niemieckich bunkrów. Tu również zdecydowana większość moich ludzi miała swoje mieszkania, a więc i wyżywienie, co było rzeczą nader istotną. W tej dzielnicy mieściły się liczne wojskowe koszary, które miały uzupełnić brakującą nam broń. Dokonaliśmy tylko podziału terenu działania: mjr „Róg" przeszedł w rejon Tuskulan, por. „Lech" otrzymał Sołtaniszki i Śnipiszki, ja oparłem głównie swoje działanie w rejonie Kalwaryjskiej, mając równocześnie jeden działający oddział przy sztabie na Zwierzyńcu. Po drugiej stronie Wilii miałem jeszcze 4 kompanię ppor. „Wiktora II".

Brakowało nam broni, należało zdobyć ją jak najszybciej. Okoliczne koszary chronione były przez liczne stosunkowo załogi nie-

mieckie. Zdobyć je można było tylko przez zaskoczenie lub podstęp. Chłopcy ppor. „Włodzimierza", urodzeni i wychowani w tej dzielnicy miasta, znali tu każdy dom, zakręt drogi, każdy kamień leżący na drodze.

Plac Broni i znajdujące się na nim koszary 1 i 5 Pułku Piechoty Legionów chronione były polem ostrzału z niemieckiego punktu oporu nr 179, zatem atak na nie mógł być dokonany tylko nocą. Tak też uczyniono. Akcję wykonano w środku nocy z 7 na 8 lipca. Wartownik na bramie dał się podejść przebranemu za Niemca Mieczysławowi Sakowiczowi, ps. „Rakieta". Załogę zaskoczono śpiącą. Straty własne w tej sytuacji tylko nieznaczne, kilku lekko rannych już w momencie odwrotu.

Łup w postaci zdobytej broni był nadspodziewanie okazały. Cała kompania była teraz uzbrojona w automaty empi. Do tego wywieziono jeszcze furmankę różnej broni, ręcznych granatów i amunicji.

Następnego wieczoru zrobiono wypad na koszary w rejonie ulicy Pióromont. Tym razem przeprawa była cięższa. Wartownik nie dał się podejść. Doszło do zażartej walki. Niemcy wzięci w ogień z trzech stron jednocześnie nie mogli zorganizować skutecznej obrony. Gdy do bronionych budynków zdołano rzucić kilka dymiących rakiet, Niemcy wywiesili białą flagę. Zdobyto 31 km, 23 kbk, 7 pistoletów, kilkanaście skrzynek różnej amunicji. Wziętych do niewoli 12 Niemców po rozbrojeniu zwolniono, cóż bowiem z nimi mieliśmy robić? Dwóch rannych to nasze w tej akcji straty. W szpitalu polowym w Szkole Powszechnej nr 9 przy ulicy Krakowskiej znaleźli właściwą opiekę.

Nadwyżki zdobytej broni ppor. „Włodzimierz" otrzymał ode mnie poleceniem dostarczenia jej na Zwierzyniec, gdzie walczące oddziały odczuwały mocno jej brak. Wykonując to polecenie, oddział ostrzelany został ogniem pośrednim z moździerzy u zbiegu ulic Wiłkomierskiej i Sołtańskiej z punktu obrony nr 152. Padł koń. Powstało niemałe zamieszanie w oddziale, który nie był dotąd nigdy w takich opałach. Na szczęście rozrzut pocisków był znaczny i poza zniszczeniem jakiegoś przydrożnego budynku ofiar innych nie było.

Meldunek o tym wydarzeniu otrzymałem, będąc na Zwierzyńcu, gdzie tego dnia prowadziłem akcję oczyszczającą, mając do dyspozycji oddział młodzieżowy. Przyniesiony przez łączniczkę meldunek wzywał mnie na miejsce wydarzenia. Przekazując dowództwo ppor. „Ryszardowi", pośpieszyłem tam natychmiast. Rozumiałem dobrze psychologię i samopoczucie młodego, niedoświadczonego żołnierza. Był to dla nich „chrzest bojowy" w spotkaniu z nowym rodzajem broni, która złowieszczym odgłosem lotu pocisków i ich głośną detonacją potrafi niekiedy zdemoralizować nawet wyszkolonego żołnierza.

Zdążając do swoich chłopców, przypomniałem sobie swój chrzest bo-

jowy, który przeszedłem we wrześniu 1939 roku koło miasteczka Sulejów. Sytuacja była zbliżona. Po nocnym marszu wykryci zostaliśmy przez niemiecką szpicę pancerną. Musieliśmy natychmiast zmienić miejsce swego postoju. Od najbliższego lasu dzieliła nas półkilometrowej szerokości otwarta przestrzeń, przecięta jeszcze biegnącym przez nią torem kolejowym, który musieliśmy sforsować razem z zaprzęgniętymi w konie biedkami ckm (ciężkie karabiny maszynowe) oraz z działem przeciwpancernym.

Ruszyliśmy z miejsca szeroko rozwiniętą tyralierą. Każda bowiem minuta zwłoki groziła katastrofą. Nie zdążyliśmy jednak dotrzeć jeszcze do ciągnącego się pośrodku polany toru, gdy na horyzoncie ukazała się eskadra niemieckich samolotów. Dowódca batalionu mjr Justyniak wydał rozkaz natychmiastowego rozproszenia się w terenie. Zanim zdążyliśmy jednak rozkaz wykonać, samoloty były już nad nami. Batalion żołnierzy w otwartym polu, bez broni przeciwlotniczej, jest ofiarą bezbronną.

Przypadliśmy wszyscy plackiem do ziemi. Zdawało się, że każdy chciał wryć się w nią jak najgłębiej, aby stać się jak najmniej widoczny. Usta napełniły się zaoraną ziemią. Tuż nad głową rozlegał się tylko potężny ryk rozpalonych motorów. Żołnierzowi, który nie przeszedł jeszcze chrztu bojowego, nalot lotniczy wydaje się czymś niepomiernie strasznym. Uczucie strachu wzmaga się przy tym do rozmiarów niebywałych, gdy atak taki następuje bezpośrednio i w terenie zupełnie otwartym. Brak wtedy w pobliżu choćby jednego rozłożystego drzewa, krzewu czy przysłowiowego nawet przydrożnego kamienia wydaje się równoznaczny z wyrokiem śmierci.

Wiedziony wtedy bardziej instynktem aniżeli znajomością sztuki żołnierskiej padasz na ziemię w miejscu, w którym stoisz w tej tragicznej dla ciebie chwili, twarzą do ziemi ornej czy porosłej chwastami, i zamieniony cały w słuch liczysz tylko długie jak wiek sekundy, zgodnie z tym, jak grzmot zbliżającego się do ciebie samolotu potężnieje, ryczy śmiertelnie tuż nad głową, by za moment oddalić się gdzieś dalej, a ty pozostajesz z uczuciem ulgi w sercu, że jeszcze żyjesz, więc tym razem ciebie jeszcze nie trafił, a może nawet nieruchomego i nie zauważył. Zrywasz się więc szybko na odrętwiałe z przeżyć nogi i pędzisz szybko co sił do przodu, bogatszy o jedno jakże ważne zdobyte przed chwilą doświadczenie.

A gdy zajadły wróg nie da za wygraną i w szeroko zatoczonym wirażu nakieruje raz jeszcze stalowego, czarnym zygzakiem śmierci naznaczonego smoka — upadasz już wcześniej, aby tego nie zauważył, a leżąc tak nieruchomo i mało odróżniający się od otoczenia, oczekujesz zbliżającego się szybko warkotu z obawą równą poprzedniej, choć już spokojniejszy i z kolejną nadzieją, że może ujdzie ci i tym razem.

Złowrogi warkot się oddalił, a ty zdążyłeś jeszcze zauważyć, jak samolot, lecący nisko nad ziemią, wzbił się nieco wyżej przed ścianą ciągnącego się opodal lasu, schował się szybko za nią, pociągnięty niby w dół siłą niewidzialnego magnesu. W takiej to chwili uprzytomniłem sobie słyszaną już wielokrotnie prawdę, że „nie taki diabeł straszny, jak go ludzie malują".

Gdy batalion przebrnął przez tę piekielną przestrzeń i znalazł się w końcu w osłonie zbawczego lasu, przystąpiliśmy do sprawdzenia poniesionych strat. Stał się jawny cud. Do dziś nie mogę w to uwierzyć, choć był prawdą. Ponieśliśmy jedną, jedyną stratę: był nią worek owsa, który musiał wypaść z biedki podczas skoku przez wspomniany już wyżej tor kolejowy. Pięć niemieckich samolotów ostrzeliwało przez 10—15 minut cały batalion, nie powodując ani jednej ofiary śmiertelnej! Jawny cud, który dane mi było przeżyć i doznać osobiście.

Opisany wyżej epizod z okresu wojny dotyczył oficerów i wyszkolonych wspaniale żołnierzy. Natomiast w tym drugim na ulicy Wiłkomierskiej brali udział uczniowie, studenci i chłopcy z okolicznych wsi, którzy z prawdziwego żołnierskiego rzemiosła znali niewiele, a w szeregi Armii Krajowej przywiodło ich tylko kochające Polskę serce. Jednak w mojej obecności szybko się pozbierali, a konia zastąpić musieli siłą własnych mięśni. Na tę broń czekali niecierpliwie ich bliscy koledzy z oddziałów na Zwierzyńcu.

Dwie grupy z batalionu mjr. „Roga", jak już wiemy, broni ze swoich magazynów na ulicy Młynowej i Wielkiej Pohulance nie doczekały się. Uzupełnił braki dowódca 8 kompanii ppor. Z. Żelichowski, ps. „Mirosław", zdobywając ją w akcji na byłe koszary 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich. Zdobyto: 1 ckm, 1 rkm, 4 pepesze, 1 ppd, kilkanaście kbk, kilka pistoletów, 30 granatów i sporo amunicji.

W ten sposób oddziały Dzielnicy B zostały całkowicie uzbrojone. Do tego jeszcze trzech wiarusów z kompanii ppor. „Włodzimierza", pełniąc służbę patrolową, napotkało w rejonie Pióromontu czołg niemiecki z załogą holenderską. Opanowali go i razem z Holendrami przyjechali na ulicę Kalwaryjską, przekazując czołg pancerniakom z Dzielnicy A. Tymi dzielnymi chłopcami byli: Mieczysław Sakowicz, ps. „Rakieta", Henryk Kosiński, ps. „Goryl", Edmund Lewkowicz, ps. „Kalina".

Oddziały Dzielnicy A, jak dobrze wiem, uzupełniały braki w uzbrojeniu w sposób analogiczny jak my. Przy niektórych nawet akcjach oddziały obu Dzielnic spotykały się niespodziewanie razem. Planowaną akcję przeprowadzano wtedy wspólnie.

Dzielnice A i B, choć sąsiadowały, działały jednak według zasady: każda na swój rachunek. Ja osobiście miałem teren działania rozległy. Odległość około dwóch i pół kilometra między dzielnicą Kalwaryjską

i Zwierzyńcem przemierzałem wielokrotnie w zależności od sytuacji.

Por. „Lech" ze swoim oddziałem pierwszą bitwę rozpoznawczą stoczył na Śnipiszkach z załogą punktu obrony nr 152, która niepokoiła nas ogniem i utrudniała w znaczym stopniu niezbędne przerzuty ludzi na linii Kalwaryjska—Zwierzyniec.

Kontakt z Armią Czerwoną dowództwo Dzielnicy B nawiązało już w drugim dniu walk o Wilno. Dwaj wyżsi oficerowie sowieccy, którzy 9 lipca odwiedzili sztab Dzielnicy B na Zwierzyńcu, w rozmowie z rtm. „Gromem 2R" zapowiedzieli na 10 lipca natarcie na niemiecki punkt oporu nr 152, prosząc również o wsparcie z naszej strony.

Do akcji tej wyznaczone zostały kompanie por. „Słowianina" oraz por. „Lecha". Długotrwały, silny ogień artyleryjski Rosjanie rozpoczęli nazajutrz w godzinach rannych. Pozwoliło to naszym oddziałom na ostrożne zbliżenie się do niemieckiego punktu obrony. Dobrze bowiem zdawano sobie sprawę, że właściwe natarcie możliwe będzie dopiero po rozbiciu przez artylerię jego części opancerzonej.

Zmagania trwały do późnego wieczora, a jego likwidacja nastąpiła już nocą. Straty własne były niewielkie, wroga rażono wszak dalekim ogniem, a zadaniem siły żywej było tylko zajęcie pozycji. Sześciu rannych stanowiło złożoną tego dnia przez nas ofiarę.

Zwykła uczciwość każe powiedzieć, że chwała tego zwycięstwa przypada artylerii sowieckiej, nasz wkład był w tym na miarę skromnego uzbrojenia i ograniczonych kwalifikacji młodzieży żołnierskiej. Wspólnie jednak przeprowadzona akcja bojowa miała swoją wymowę polityczną, była dowodem, że ilekroć tylko zdarzała się okazja, oddziały Armii Krajowej zawsze szły na współpracę, dając dowód żołnierskiej solidarności.

Wciąż niepokoiłem się o losy kompanii ppor. „Wiktora 2". Nie był to, niestety, niepokój nieuzasadniony. Strzeżenie wyznaczonych obiektów połączyło się z pewnym niebezpieczeństwem, liczyłem jednak na spryt życiowy dowódcy i chłopców. Z pilnowaniem obiektów sprawa się udawała. Niemcy zajęci byli walką, nikt do nich nie zaglądał, więc siedzieli cicho i czekali odpowiedniej chwili do podjęcia właściwej akcji. Jednak ppor. Marian Homulicki, „Wiktor 2", wciąż rozmyślał o najwłaściwszym sposobie dostania się do więzienia na Łukiszkach i uwolnienia znajdujących się tam więźniów.

Przyszła noc 10 lipca. Na miasto poleciały bomby lotnictwa sowieckiego. Zrozumiałą w takich chwilach powstałą panikę ppor. „Wiktor 2" ocenił za właściwy moment do przeprowadzenia akcji na więzienie. Z wykonaniem nie zwlekał. Ze strażnikiem na bramie dali łatwo radę. Obsługę więzienną zaskoczyli w schronach, jednak przy otwieraniu cel nie obeszło się bez strzelaniny. I choć łączność telefoniczną zdołali przerwać, akcji nie należało przedłużać.

Po otwarciu kilkunastu cel „Wiktor 2" dał chłopcom sygnał do odwrotu. Pozostałe cele mieli pootwierać uwolnieni więźniowie. Już na podwórzu znów wywiązuje się strzelanina, w której ginie dzielny dowódca Marian Homulicki. Chłopcom udaje się wynieść go na rękach i ukryć w piwnicach pobliskiego domu.

Kierował się sercem nie wiedząc, że w rejonie placu Łukiskiego oddział obrony niemieckiej liczył około 4000 ludzi. Pozostawił osieroconą żonę Wandę i mające przyjść na świat ich pierwsze dziecko. Jeszcze tydzień wcześniej rozmawiałem z panią Wandą, która jakby przeczuwając wiszące nad mężem zagrożenie, wyrażała o jego los swoją głęboką troskę i obawę. O akcji na więzienie i tragicznym jej zakończeniu dowiedziałem się w 3 dni później, tzn. 13 lipca, gdy spotkałem się z Mieczysławem Jachimowiczem, ps. „Czarski", który w akcji tej brał udział.

Oddział młodzieżowy por. „Jerzego" 7 i 8 lipca brał udział w akcjach dozbrojeniowych na Kalwaryjskiej, współpracując z kompanią ppor. „Włodzimierza", później pod bezpośrednim dowództwem pchor. Czesława Steckiewicza, ps. „Ryszard", działał wyłącznie na Zwierzyńcu. Był osłoną sztabu Dzielnicy B, oczyszczał i likwidował przedpole z pojedynczych punktów oporu wroga, dysponował grupą zaopatrującą polowy szpital w żywność, brał aktywny udział w gaszeniu pożarów w najbliższym otoczeniu.

Drewniana zabudowa dzielnicy, poddana nieustannnemu bombardowaniu, bez przerwy świeciła łunami wybuchających pożarów. Płonął dobytek, czasami rezultat pracy ludzi całego życia. Należało go w miarę sił i możliwości ratować. Oddział młodzieżowy położył w tej walce z żywiołem zasługi ogromne.

Działy się przy tym sceny zaiste dantejskie. Oto pocisk artyleryjski, wyrywając na piętrze jednego z domów okno, przebił ściany na wylot, pozostawiając za sobą ogrom spustoszenia. Na parapecie tegoż okna, w płonącym już domu, siedzi skulony mężczyzna. Dom cały stoi w płomieniach, w każdej chwili może runąć, a tajemniczy mężczyzna siedzi wręcz ze stoickim spokojem, jakby niczego nie widział i nie był świadomy tego, co się dzieje tuż obok niego. „Rakieta" i „Kalina" ściągają go półprzytomnego z okna z urwaną po kolano prawą nogą. Kałuża krwi na podłodze i błędne spojrzenie w oczach nieszczęśnika mówią aż nazbyt wymownie o tym, co się przed chwilą tu wydarzyło. W takich jak ten przypadkach życie się mierzy minutami. Załadowano go natychmiast na znalezioną na prędce taczkę i jak można najszybciej ruszono do szpitala. Jak jednak dowieźć przez te 250—300 metrów, gdy raz po raz wybuchają w bezpośredniej bliskości pociski i bomby, wyrzucając w górę masę czarnej, przemieszanej z dymem ziemi, obnażając olbrzymiej wielkości leje.

Przeraźliwy świst kolejnego lecącego pocisku, który zdaje się wnet

uderzy w ciebie. W takich sytuacjach zwykły instynkt samoobrony działa automatycznie i jest silniejszy od wszystkiego. Chłopcy zostawiają wóz taczkę z krwawiącym mocno człowiekiem na środku ulicy, kryją się padają pod najbliżej stojącą ścianę domu, a gdy odgłos wybuchu pocisku gdzieś z tyłu przyniesie chwilową ulgę, człowiek zrywa się do wykonania kolejnego skoku. Chłopcy nie wiedzą, że syczący śmiercionośnie nad głową pocisk jest już niegroźny i daleko za miejscem zagrożenia, a straszy tylko spóźnionym echem lotu.

„Rakieta" i „Kalina" znowu są przy taczce i rączym biegiem śpieszą z rannym do zbawczego szpitala przy sztabie. Rozerwana żyła tryska krwią jak z pompy. Ile jej zdążyło już wypłynąć — nikt nie wie. Ranny człowiek się nie skarży. Twarz ma tylko białą jak płótno. Bielsi w taczce jednak sztywno i nieruchomo, jakby był do niej przywiązany powrozem, tylko zwisająca zdrowa noga, zahaczając czasami o wystający kamień, zakołysze się bezwiednie jak wiszące wahadło. Czy zdaje sobie sprawę z sytuacji, w której się znajduje?

Dopadli wreszcie szpitalnego podwórza. Ta niezwykła Danusia spotkała ich już przy bramie. Skąd ona to wszystko wie i przewiduje? Białym bandażem zaciska nogę powyżej krwawiącego wciąż kolana. Czyni to sprawnie jeszcze w drodze rannego do łóżka. Ranny nie wydał z siebie dotąd żadnego głosu. Twarz stawała się tylko coraz bardziej blada i bez wyrazu. Ciało jego ułożono w ten sposób, żeby głowa była w najniższym położeniu. Był to jedyny w tej chwili możliwy do wykonania zabieg, który mógł jeszcze uratować mu życie. Przez drgające od wybuchów szyby dochodził odgłos toczącej się w mieście walki...

To tylko jeden z jakże wielu podobnych obrazów z akcji prowadzonych codziennie na Zwierzyńcu. Niektórymi akcjami dowodziłem osobiście, bywałem więc i naocznym świadkiem takich scen, i uczestnikiem.

Henio Kozakiewicz, 17-letni partyzant, najmłodszy żołnierz AK, o którego śmierci w szpitalu polowym relacjonowały Danusia Ciesielska i Krysia Dąbrowska, ranny został w akcji dowodzonej przeze mnie. Śmierć tego chłopca utkwiła mocno w mojej pamięci. Legła w świadomości kamieniem młyńskim. Był jedynym, który w tej akcji został ranny. Atakowaliśmy dom, w którym Niemcy zorganizowali gniazdo oporu. Swoim ogniem sięgali aż do naszego szpitala. Należało zlikwidować je za wszelką cenę. Ulica, po której mogliśmy dojść, była pod ostrzałem broni maszynowej i strzelców wyborowych.

Wykonaliśmy wszyscy skok przez ulicę. Należało wykonać go jednym, niespodziewanym i szybkim biegiem z ukrytego miejsca. Tylko Heniek wykonał go na raty. Wykonał najpierw pół skoku,

zajmując stanowisko w widocznym miejscu na środku ulicy. Widział to niemiecki snajper. Gdy Heniek podrywał się do wykonania kolejnego skoku, był już na muszce Niemca. Nie zdążył jeszcze podnieść się całkowicie z miejsca, jak upadł ugodzony kulą w krtań. Koledzy wynieśli go natychmiast z zagrożonego miejsca i odtransportowali do naszego szpitala, gdzie znalazł się pod troskliwą opieką. Mogła go uratować tylko natychmiast przeprowadzona operacja, której nie byli w stanie dokonać w tym szpitalu. Do szpitala głównego, położonego tuż przy moście Zwierzynieckim, odległego stąd o dobre półtora kilometra, nie było dojścia, ponieważ most obstawiony był przez silny oddział niemiecki. Z konieczności Heniek pozostał na miejscu pod troskliwą opieką. Zmarł po trzech dniach na rękach opiekującej się nim sanitariuszki Hanki Norskiej-Grzywaczowej (zamieszkałej dziś we Wrocławiu, ulica Jelenia 46-6).

Oddział młodzieżowy w walkach o Wilno poniósł odczuwalne straty: 3 zabitych i 12 rannych.

Oddziały 2 batalionu Dzielnicy B walczyły w trzech odległych od siebie znacznie rejonach miasta: ppor. „Wiktor 2" w Śródmieściu, oddział młodzieżowy na Zwierzyńcu i najliczniejsza kompania ppor. „Włodzimierza" na Kalwaryjskiej. Pomijam w tym kompanię por. „Michała", który dokonał koncentracji w Kolonii Wileńskiej i brał udział w walkach o Wilno już w ramach ogólnego natarcia od wschodu. W tej sytuacji znalazł się poza zasięgiem mego dowodzenia.

Dowodzenie w mieście, gdzie sytuacje i warunki walki zmieniają się niemal co godzinę, wymaga od dowódcy stałej jego obecności. Ten podstawowy warunek starałem się spełnić w miarę możliwości codziennie, będąc i na Zwierzyńcu, i na Kalwaryjskiej. Na Zwierzyńcu znajdował się też szpital polowy Dzielnicy B, a w nim ranni również i z mego batalionu, których codzienne odwiedzanie uważałem za obowiązek podstawowy.

Właśnie 12 lipca, po znojnym dniu walk na Zwierzyńcu, wpadłem do sztabu, aby złożyć relacje z wyników walk batalionu i sytuacji w dzielnicach, a następnie odwiedzić rannych chłopców. Już przy wejściu spotkałem Danusię. Z miejsca zrobiła na mnie wrażenie czymś mocno przejętej i zafrasowanej. Przywitała mnie słowami: „Sztabu już nie ma. Przeniósł się do Tuskulan". Otwarłem szeroko oczy i patrzyłem na Danusię z niedowierzaniem. Usłyszana bowiem przed chwilą wiadomość zaskoczyła mnie niepomiernie. Zanim zdecydowałem się powiedzieć cokolwiek, Danusia mówiła: „Rotmistrz polecił panu wraz z oddziałem młodzieżowym przenieść się na Kalwaryjską, a jutro o 6 rano skontaktować się z kapitanem „Janem" w jego kwaterze". — „A co ze szpitalem i rannymi" — spytałem Danusię. — „Pozostawiono wszystko na mojej głowie, muszę temu wszy-

stkiemu jakoś zaradzić" — z lekko wymuszonym już uśmiechem odpowiedziała Danusia, ps. „Ślepowron".

Miała się jednak dziewczyna czym kłopotać: w szpitalu leżało około pięćdziesięciu rannych, w tym także trzech cywilów i jeden żołnierz sowiecki. Pomóc Danusi w tej sytuacji nie mogłem, wziąłem tylko na wszelki wypadek antokolski adres Danusi, i pożegnawszy się z nią, wymaszerowałem wraz z oddziałem na Kalwaryjską.

13 lipca rano, jak zalecono, stawiłem się u kpt. „Jana". Rozmowa odbyła się na placu przy cerkwi w obecności por. „Mocnego". Dostaliśmy dwa jednakowe do wykonania zadania: przeprawić się na lewy brzeg Wilii w rejonie mostu Zielonego, przeczesać i zlikwidować istniejące jeszcze gniazda oporu niemieckiego na linii marszu. Por. „Mocny": most Zielony—Mostowa—Mickiewicza—Zamkowa—Wielka, do Ratusza. Marszruta moja: most Zielony—Wileńska—Jagiellońska—Mała Pohulanka — Wielka Pohulanka. Po wykonaniu zadania — zdać raport.

Wykonanie postawionego zadania w rzeczywistości okazało się łatwiejsze, aniżeli początkowo przypuszczałem. Ulice miasta były puste, jakby wymarłe. W momencie tego przemarszu nie wiedziałem jeszcze, że dosłownie przed kilkoma zaledwie godzinami, o świcie, generał Stahel wraz z częścią swego korpusu obronnego, w sile około 3000 ludzi, opuścił Wilno, przeprawiając się wpław przez Wilię w rejonie dzielnicy Zwierzyniec, którą wczoraj opuściłem późnym wieczorem.

Tylko z niektórych domów przy ulicy Jagiellońskiej padły pierwsze strzały. Były to resztki niemieckich (zdarzało się, że i litewskich) niedobitków, którzy prawdopodobnie również nie wiedzieli jeszcze, że miasto zajmuje już Armia Czerwona. Ogniska takie likwidowaliśmy, ukrywających się wyciągano z mieszkań i rozbrajano, zwiększając liczbę wziętych jeńców.

Ulica Mała Pohulanka, a szczególnie Wielka Pohulanka pokryte były trupami niemieckich żołnierzy. Leżały nieruchomo jak porzucone i niepotrzebne już nikomu manekiny — ofiary hitlerowskiej ideologii. Pod koronami drzew na wznoszącej się ulicy Wielka Pohulanka stały liczne, dymiące niemal jeszcze działa artyleryjskie i działka przeciwpancerne. Zabite konie, z wydętymi jak beczka brzuchami i sterczącymi w górę sztywnymi nogami, leżały pokotem, uzupełniając to tragiczne w ponurym wyrazie pobojowisko „niezwyciężonej armii".

Szliśmy tak ulicami rodzinnego miasta, patrząc na leżące wszędzie zwłoki ludzi, którzy wtargnęli na nasze ziemie i przyszli aż tu do Wilna, aby nas zabijać. W sercu czułem tylko wielką pustkę.

Spotkałem maszerującą kolumnę Armii Czerwonej, w pewnej odległości za nią kolejną — oddział partyzantki sowieckiej. Dziwne

to zaiste było spotkanie dwóch „sojuszniczych" niby formacji wojskowych, walczących przeciw jednemu, wspólnemu wrogowi.

Przeszliśmy koło siebie pozornie „jak swoi", ale w sercu zakołatało coś na dnie, powiało mimowolną grozą i niepewnością jutra. Wyczułem, że to oni będą gospodarzami tego miasta, choć stąpają w nim po raz pierwszy w swoim życiu. Truli mnie świadomością, że do nich jedynie ta ziemia ma należeć. A to było moje wszak miasto rodzinne, ukochane ponad wszystko. Ogarnął mnie wielki smutek.

Dziś wiemy, że ten nasz niepokój był uzasadniony. Czuliśmy to instynktownie, jak zwierzęta wyczuwają zbliżające się niebezpieczeństwo. Przyszły wkrótce areszty, więzienia, deportacje i bratnie, nieznane, pojedyncze i masowe mogiły...

Przemarsz do Zakretu i powrót na Kalwaryjską zajął mi czas do południa. Gdy składałem z tej wyprawy raport kpt. „Janowi", por. „Mocnego" jeszcze nie było. Jak się wkrótce okazało, pod ratuszem miejskim na ulicy Wielkiej doszło do walki z pozostałą tam jeszcze grupą żołnierzy niemieckich. Tam por. „Mocny" został ranny w lewe ramię.

Po złożeniu raportu wróciłem do swego w pobliżu znajdującego się domu, ciesząc się na spotkanie z zatroskaną moim losem matką i dwiema siostrami. Kiedy zbliżałem się do domu, przeżyłem chwile grozy i trwogi. Oto w ścianie domu od strony zachodniej widniał metrowej chyba średnicy wyrwany pociskiem otwór. Przyśpieszyłem więc kroku, pełen najczarniejszych myśli i przypuszczeń. Gdy w drzwiach ujrzałem matkę a za nią stojące siostry, kamień ogromny spadł mi z serca.

Wyrwa w ścianie znajdowała się jakiś metr powyżej stojącego tu łóżka, na którym wtedy leżała matka. Pocisk wyrwał w ścianie zewnętrznej domu otwór, przebił ścianę sypialni, uderzył w kolejną już w kuchni, po czym rykoszetem wylądował w następnym pokoju. Rodzina była w tym czasie w domu. Pocisk przeleciał nad głowami śpiących dosłownie o metr. Wszyscy zostali żywi i nietknięci. Czyż opatrzność Boża nie czuwa nad losem człowieka?

O swoim powrocie na Trębacką rtm. „Groma 2R" powiadomiłem przez łączniczkę „Muchę". Znalazła go w ocienionym drzewami dworku w Tuskulanach, rozłożonym tuż na prawym brzegu Wilii. Po przeciwnej stronie rzeki biegła ulica Antokolska.

Wspólny obiad zjedliśmy u mnie w domu z resztek zapasów, jakie miała matka. Doszła nas wiadomość, że wojskowe władze sowieckie wydały zakaz wstępu oddziałom Armii Krajowej do miasta. Równocześnie wydały zarządzenie wymarszu jednostek AK na rzekomą koncentrację w rejonie Turgiel—Miednik—Taboryszki.

13 lipca po południu dołączyli ze swoimi oddziałami por. „Lech"

i ppor. „Włodzimierz". Otrzymaliśmy od nich szczegółową relację o stoczonej tego dnia przez nich walce z uciekającą z Wilna formacją wojska gen. Stahela.

Akcja miała następujący przebieg. W nocy z 12 na 13 lipca posterunki 5 komp. ppor. „Włodzimierza" pełniły służbę wartowniczą w rejonie ulic: Trzecia Słomianka, Strycharska, Wiłkomierska. Zaskoczone dochodzącym od strony Zwierzyńca hałasem idącej kolumny, wszczęły alarm. Jak się wkrótce okazało, była to duża kolumna niemiecka, która z widocznym pośpiechem opuszczała Wilno, posuwając się w kierunku na północ, w stronę Gór Szeszkińskich.

Postawione w tym czasie na nogi oddziały por. „Lecha" oraz komp. ppor. „Włodzimierza" z podporządkowanym oddziałem młodzieżowo-harcerskim ruszyły w pościg za oddalającą się kolumną niemiecką. Po wyjściu poza zabudowę miasta, już w terenie rolniczym i otwartym, Niemcy posuwali się chyłkiem przez dojrzewające zboże. Grupa pościgowa 1 i 2 batalionu Dzielnicy B atakowała uciekających Niemców szeroko rozwiniętą tyralierą. Niemcy nie przyjęli walki, prąc szybko do przodu. Jedynie ich straż tylna, zamykająca kolumnę, ostrzeliwała z automatów nacierającą tyralierę.

Ten niespodziewany pościg trwał aż do Gór Szeszkińskich. Celem Niemców było wyrwanie się z oblężonego kotła. Nie chcieli atakować partyzantów, którzy zaszkodzić im poważnie nie mogli, jednak stracili kilkudziesięciu zabitych. Zdobyta tą drogą broń wzmocniła siłę ogniową naszych oddziałów.

Ponieśliśmy także i my straty: było pięciu zabitych i jedenastu rannych. W akcji tej wyróżnili się żołnierze: Mieczysław Sakowicz, ps. „Rakieta", Henryk Kosiński, ps. „Goryl", Edmund Lewkowicz, ps. „Kalina", Zygmunt Andrys, ps. „Wyrwa", Jerzy Czaporo, ps. „Wiesław", „Łukasz", „Janek", „Żagiel", „Lis", „Fornal", pchor. Tadeusz Kowzon, ps. „Żuk" plut. Bojko, Mieczysław Jachimowicz, ps. „Czarski", pchor. Henryk Gulbinowicz, ps. „Zagłoba", ppor. Antoni Świetlikowski, ps. „Włodzimierz".

Walka u podnóża Gór Szeszkińskich była ostatnią stoczoną przez oddziały Dzielnicy B z Niemcami w bitwie o Wilno pod kryptonimem „Ostra Brama".

Opisać by należało również ostatnie walki oddziałów Dzielnicy A. Pierwsze 2—3 dni, jak już wspominałem, zeszły na walkach, które pozwoliły uzbroić wszystkie jej oddziały. Moje informacje o działaniach tej Dzielnicy wynikają stąd, że przez cały tydzień byłem w tej dzielnicy miasta i codziennie przechodziłem obok cerkwi, przy której rozlokowane były oddziały Dzielnicy A.

Bywałem tu codziennie, ponieważ w tym samym rejonie działała również podległa mi kompania ppor. „Włodzimierza". Pisząc o Dziel-

nicy A, ograniczę się tylko do faktów zaobserwowanych lub akcji, w których, jak to miało miejsce 13 lipca, brałem udział.

Por. „Mocny" był w walkach o Wilno tylko raz jeden ranny, a stało się to nie 10 lipca, jak podaje na podstawie czyjejś relacji dr Korab-Żebryk w „Operacji Wileńskiej AK", tylko właśnie 13 lipca, co ma zasadnicze znaczenie w omawianym temacie, gdyż polecenie wymarszu do tej akcji otrzymał od kpt. „Jana" w mojej obecności i razem ze mną przeprawiał się na lewy brzeg Wilii. Zadania nasze różniły się tylko tym, że por. „Mocny" miał wykonać je podczas marszu: most Zielony—ulica Wielka do ratusza miejskiego, ja wyznaczony miałem kierunek: most Zielony—ulica Wielka Pohulanka. Por. „Mocny" zadanie to wykonał i w walce o ratusz miejski został ranny. Ale było to, powtarzam, 13 lipca. Nie brał więc, nie był nawet do tego zdolny, udziału w walce o bunkier łączności przy ulicy Subocz w dniu 10 lipca.

Nieprawdziwy jest również fakt przypisujący wykonaną przez mnie i por. „Mocnego" akcję oczyszczenia Wilna z niemieckich punktów oporu porucznikowi „Białemu", który nie miał z nią nic wspólnego. (Patrz s. 330 książki „Operacja Wileńska AK").

Pomylono więc datę i jednego z dowódców tych akcji. Już sam język, którego używa autor przytoczonej relacji: oddziały „szturmowe", nacieranie „szturmowe", brzmi nienaturalnie, a przede wszystkim nieprawdziwie. Tego samego zapewne autora jest opis ataku grupy „szturmowej" Dzielnicy A na bunkier łączności przy ulicy Subocz (s. 335 tejże książki) i tak samo jak poprzedni jest nieuczciwym tworem fantazji. Autor „postrzelił" nawet porucznika „Mocnego", którego miałem szczęście spotkać zupełnie zdrowego trzy dni później przed wymarszem do wspólnej akcji. No cóż, bujna fantazja ma krótkie nogi.

Szkoda tylko, że dr Roman Korab-Żebryk przyjął tę wersję za prawdziwą i rzetelną. Dzielnica A miała trzy kompanie, nie miała natomiast „oddziałów szturmowych", jak również „grup szturmowych", od których w opisach tych się roi. Żołnierze Dzielnicy A zasłużyli na uznanie za zwykłą, żołnierską postawę. Zmyślonych określeń tej postawy nie potrzebują.

Zakładając, że źródła sowieckie są prawdziwe, a relacja dr. Żebryka skrupulatna, w co nie wątpię, pozwolę po wnikliwym tego materiału przestudiowaniu przypomnieć, że w powyższych akcjach wzięły udział zmechanizowane i pancerne oddziały armii radzieckiej: 29KPan, Oddz. Panc. płk. Gorylewa, 3KZmechGw., 3KPancGw., 3Bat. Czołg., 7BZmechGw., 35BPancGw., Bat. Zmot. kpt. L.K.J., i jeszcze 5APanc.Gw.

A więc po czterech dniach zażartych walk i stałym ogniu lotnictwa i artylerii, przy olbrzymiej przewadze liczebnej w sprzęcie ciężkim

pancernym i sile żywej — Niemcy zmuszeni zostali jedynie do planowego skrócenia swego frontu, przesuwając go w linii niemal pionowej od mostu Zielonego do dworca kolejowego przy ulicy Szopena, gdzie potrafili jeszcze odciąć i zniszczyć jednostkę pancerną płk. Gorylewa tuż przy samym dworcu.

10 lipca od mostu Zielonego w prawo do placu Łukiskiego stała silna niemiecka jednostka pancerna, około 4000 ludzi, a siła całego niemieckiego garnizonu obronnego jeszcze 12 lipca przedstawiała na tyle zwarty i silny monolit, że postawione im sowieckie „ultimatum (cytuję „Operacja Wileńska AK", s. 379) nie zostało przyjęte. Niemcy odpowiedzieli huraganowym ogniem ze wszystkich dział — strzelało około 200 luf. Po kwadransie działa umilkły, a z obu rejonów zgrupowań niemieckich ruszyło do szturmu na przeprawy ponad 10 tysięcy żołnierzy i oficerów, poprzedzanych czołgami, działami szturmowymi i transporterami opancerzonymi. Cała ta lawina toczyła się na zachód..."

Powyższy obraz odpowiada prawdzie. Niemcy mieli wzorowo zorganizowaną obronę. Jeżeli się cofali, to po długotrwałych i zaciętych bojach, ulegając ogromnej przewadze armii sowieckiej. Czynili to jednak w sposób całkowicie zorganizowany.

Tak również było z opuszczeniem w nocy z 10 na 11 lipca punktu łączności przy ulicy Subocz. Przy czym wycofywali się na zachód przez ulicę Bakszta, z której rzekomo miał „szturmować" oddział „szturmowy" por. „Andrzeja".

I co? Nie doszło do spotkania? W czasie odwrotu Niemców już nie szturmowali? A o tym ani słowa. Za to jest wzmianka o bohaterskim zajęciu opuszczonego bunkra. Przedstawiona akcja godzi w elementarną logikę sztuki żołnierskiej. Oto grupa szturmowa atakuje, walczy przez kilkanaście godzin, a potem już bez walki zajmuje bunkier, który jest pusty. Nieprzyjaciel znikł, ulotnił się jak kamfora. A mógł wycofać się tylko w stronę stanowisk zaciekle go szturmujących. I tu mamy zagadkę. Zupełnie zresztą niepotrzebną, ponieważ oficerowie i żołnierze Armii Krajowej, w tej liczbie również Dzielnicy A, nieprawdziwych relacji nie potrzebują.

Słów kilka o wspaniałym człowieku, poruczniku „Mocnym" — Wacławie Pietkiewiczu, moim krewnym. Razem chodziliśmy do gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie, razem spędzaliśmy wakacje u podnóża Gór Szeszkińskich. Tuż przy nich mieszkał Wacek w domu swoich rodziców przy ulicy Strycharskiej 26. Pamiętam to dokładnie, ponieważ miłych i przyjemnych miejsc nie zapomina się łatwo. Dwie jego siostry, Marysia i Ziuta — to bliźniaczki. Starszy brat Piotr, żołnierz AK, inżynier budowlany, spędził później ze mną 12 lat w Workucie.

Gdy w 1957 roku powróciłem szczęśliwie do kraju, nie omiesz-

kałem spotkać się pilnie ze swoim kuzynem porucznikiem „Mocnym", drogim Wackiem. Mieszkał w Zakopanem, gdzie pracował w miejscowym szpitalu w charakterze felczera-chirurga. Wyspecjalizował się w zestawianiu połamanych nóg i rąk przygodnych narciarzy. Rozmawialiśmy oczywiście o akcji „Ostra Brama" i feralnym dla niego dniu 13 lipca, gdy został ranny pod ratuszem na ulicy Wielkiej.

Zdawałoby się niegroźna początkowo rana źle się goiła. Miał ograniczony nieco ruch tą ręką. Otrzymał nawet z tego tytułu inwalidztwo. Poruszaliśmy przy tej okazji okoliczności procesu gen. Leopolda Okulickiego w Moskwie, ponieważ por. „Mocny" brał w nim pośrednio udział jako świadek. Aresztowany zaraz po rozbrojeniu w lipcu 1944 roku, po krótkim czasie zwolniony, zawieziony został na sąd do Moskwy. Po powrocie aresztowany został już na dobre. Nie wypadł bowiem dobrze jako świadek oskarżenia. Zmarł w 1988 roku, a żona Czesława znalazła się w rezultacie w szpitalu, załamana przeżyciami po stracie męża. Pozostawił jeszcze syna.

Służba zdrowia Garnizonu Miejskiego w czasie walk o Wilno

Dzielnica D dysponowała punktem opatrunkowym w klasztorze przy Zaułku Ignacowskim, zorganizowanym przez lekarza Józefa Lenartowicza, ps. „Majski", przy ofiarnej pomocy żony lekarza, ps. „Grażyna", oraz drugiej sanitariuszki, ps. „Jasna". Są dowody, że placówka ta spełniała swoje zadanie, zapewniła pomoc lekarską rannym żołnierzom Dzielnicy D, świadcząc jednocześnie pomoc lekarską okolicznym osobom cywilnym.

W dzielnicy Kalwaryjskiej szpital polowy mieścił się w Szkole Powszechnej nr 9 przy ulicy Krakowskiej; kierował nim dr Wądołowski z Dzielnicy B. Szpital udzielał pomocy lekarskiej żołnierzom Dzielnicy A (B tylko w przypadkach doraźnych). Nie miałem w nim rannych żołnierzy, nie byłem w tym szpitalu, więc nie znam szczegółów dotyczących jego działalności. Szpital polowy Dzielnicy B zlokalizowany był przy sztabie w lokalu byłego ZUS-Ambulatorium, róg ulicy Gedyminowskiej i Sosnowej. Pracujący tu lekarz dr Wądołowski odszedł wnet na Kalwaryjską, zastąpił go student medycyny Jan, ps. „Jerzy". Wtedy sytuację uratował zwykły przypadek. Harcerze, prowadząc w dzielnicy akcję pacyfikacyjną, zatrzymali również dwóch Litwinów podejrzanych o sabotaż. Postawiono ich przed rtm. „Gromem-2R" w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Sprawa przybierała nawet groźny obrót. Szefowa łączniczek-sanitariuszek Danuta Ciesielska, ps. „Ślepowron", kierując się kobiecą intuicją, poręczyła za nich, przyjmując odpowiedzialność na siebie. Podejrzani okazali się lekarzami. Byli nimi: dr Bergienie i chirurg Czepulis. Obaj wyrazili zgodę na podjęcie pracy w naszym szpitalu, przystępując niezwło-

cznie do swoich nowych obowiązków, z których, należy uczciwie podkreślić, wywiązywali się sumiennie i bez zarzutu.

Wyposażenie szpitala było prymitywne, ilość posiadanych leków i opatrunków niewystarczająca. Stąd i pomoc udzielana rannym była utrudniona. Ranni żołnierze leżeli na słomie rozesłanej na podłodze.

Szefostwo szpitala AK i opiekę nad sanitariuszkami i całym gospodarczym zapleczem spełniała Danuta Ciesielska. Podległy jej personel stanowiły nasze wspaniałe dziewczęta, sprawdzone już wielokrotnie w najtrudniejszych sytuacjach konspiracji. Było ich ogółem około 20: Regina Rutkiewicz, ps. „Pola", Danuta Żelaniec z ulicy Zawalnej, „Żuczek" — zwana „Małą Jasią" z ulicy Archangielskiej, „Mucha" z ulicy Trwałej 10, „Jaskółka", „Irena", „Myszka", dwie siostry — „Dziunia" i „Jasia", Krystyna Dąbrowska, ps. „Zbyszek" z ulicy Lwowskiej 12/3, „Ala", „Jola", Halina Arcimowiczówna, ps. „Linda" — nauczycielka (zamieszkała obecnie we Wrocławiu), Maria Młodecka, ps. „Czarna" — została później żoną akowca, rannego, którym opiekowała się w tym szpitalu po amputacji nogi. (Tym dzielnym akowcem był Ryszard Szupejko, ps. „Zielonka". Wzruszający dowód zbratania dwojga młodych, wspaniałych ludzi pod sztandarem Armii Krajowej). Grodzicka, ps. „Jadzia", „Jaga", córka naczelnika poczty, „Cyganka", Anna Norska, ps. „Hanka" (zamieszkała Wrocław, ul. Jelenia 46/8) oraz „Abisynka". Sanitariuszki pełniły również funkcje łączniczek oraz prowadziły kuchnię.

Przyglądałem się pracy tego zespołu z bliska, zaglądałem tu bowiem zawsze, ilekroć bywałem na Zwierzyńcu, spełniając swój obowiązek, ponieważ w szpitalu leżało sporo moich rannych chłopców. Dziewczęta troszczyły się o rannych i pielęgnowały z iście samarytańskim poświęceniem. Stwierdzając tę gorliwą obowiązkowość i zapał, z jakim wykonywały swoje codzienne powinności, doznawałem uczucia głębokiej satysfakcji. Gdy chłopcy walczyli na ulicach miasta o Polskę, sanitariuszki walczyły o życie rannych akowców w szpitalu polowym.

Likwidacja Szpitala Polowego na Zwierzyńcu

12 lipca po południu sztab rtm. „Groma 2R" opuścił Zwierzyniec, przenosząc się do dworku w Tuskulanach w dzielnicy Kalwaryjskiej. Ogrom spraw, związanych z likwidacją szpitala i zapewnienie dalszej opieki lekarskiej rannym i ciężko rannym akowcom — spadł na barki Danuty Ciesielskiej, która przekazała tę relację:

12 lipca 1944 roku rtm. „Grom 2R" wezwał mnie do siebie i w obecności kilku oficerów poinformował, że sztab Dzielnicy przenosi się do Tuskulan. Mnie czynił odpowiedzialną za likwidację szpitala. Rannych —

zaproponował — porozmieszczać po prywatnych mieszkaniach. Porucznik „Jerzy" ze swoim oddziałem młodzieżowym niezwłocznie ma się przenieść w rejon Kalwaryjskiej, trzynastego o szóstej rano stawić się u kpt. „Jana". To, o czym przed chwilą powiedziałem — mówił dalej — należy zachować w tajemnicy i to przed wszystkimi.

Gdy uświadomiłam sobie, jakimi zostałam obarczona obowiązkami, myślałam, że padnę. W szpitalu miałam 44 rannych chłopców, 6 Rosjan i 2 cywilnych, rannych w wyniku bombardowania. Sześć doświadczonych łączniczek pozostało na ochotnika ze mną, pozostałe przenieść się miały również do naszych oddziałów na Kalwaryjską. Ze mną pozostały: „Linda", „Abisynka", „Czarna", „Jaga", „Jadzia"-Grodzicka. Tyle pamiętam.

Dziewczyny były zaszokowane powstałą sytuacją. Około godziny 23 dałyśmy rannym środki nasenne i zaczęłyśmy ich przeprowadzać i przenosić do przygotowanych w różnych piwnicach miejsc i układać na rozłożonych kocach. Otwory okienne zasłoniłyśmy workami. Ranni, którzy mogli chodzić o własnych siłach, pomagali nam przenosić ciężko rannych.

Okoliczni sąsiedzi uprzedzali nas, że mogą zjawić się tu Sowieci. Wyrażali swoją obawę o los leżących tu partyzantów. Zaproponowali umieścić wszystkich w domach prywatnych. Łatwiej wówczas będzie wytłumaczyć Rosjanom, że są to ranni od bomb lotniczych i że nie są to partyzanci.

Gdzieś z oddali dochodziły głosy strzałów i wybuchy bomb. Około godziny 3 nad ranem rozległy się krzyki i wrzaski Niemców na naszej ulicy. Dały się słyszeć oddzielne słowa i tupot idącej kolumny. Wydawało się nam, że idą blisko, nad naszymi głowami. Odezwał się wnet blisko karabin maszynowy. Siedziałyśmy cicho jak trusie. Strachu najadłyśmy się sporo. Przemarsz kolumny i związany z tym harmider trwał długo, jakby nigdy nie miał się skończyć. Wreszcie tumult zaczął się z wolna oddalać, stopniowo cichnąć, by w końcu ustąpić ciszy.

Dopiero rano okazało się, że karabin maszynowy stał na dachu naszego domu. Koło naszego budynku przy ulicy Gedyminowskiej leżały stosy zabitych Niemców. Trudno nam było uwierzyć, żeśmy się z tego uratowali. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że to część korpusu obronnego gen. Stahela, uciekając z Wilna, przechodziła przez nasze m.p. na Zwierzyńcu. Gdy przyszła informacja, że Niemców nie ma już w Wilnie, radość z tego była ogromna. Pobiegłam natychmiast do chłopców, aby im o tym powiedzieć.

Trzynastego lipca po południu zjawił się jakiś major sowiecki, interesując się tym, kto jest w budynku. Wyjaśniłam mu, że po nalotach lotniczych są tu ranni spośród ludności cywilnej i pokazałam mu opaskę Czerwonego Krzyża.

A gdie partizany? — zapytał groźnie. Słyszałam, że walczyli na Kalwaryjskiej — odpowiedziałam z miną poważną. Mamy tu dwóch rannych żołnierzy sowieckich — dodałam szybko. Kazali przywołać rannych i konny patrol zabrał ich ze sobą.

Teraz zajęłyśmy się szybko rozkwaterowaniem rannych po domach prywatnych, a ciężko rannych przetransportowałyśmy do szpitala na ulicę Zygmuntowską. Partyzanci przyprowadzili wnet jakąś furmankę i nawet samochód ciężarowy. Przyszły rodziny, które dowiedziały się, że tu leżą ich synowie. Pomagali wnosić rannych do samochodu i na furmankę.

Znalazły się też matka i siostra Kazia Kozakiewicza. Rozpoczęły przygotowania do porządnego pogrzebu. Nie wiem skąd przywieziono trumnę. Parę dni temu pochowany był tu w ogrodzie. W ogniu walki, którą toczono obok. Odkopałyśmy, położyliśmy do trumny. Pochowałyśmy na cmentarzu na Karolinkach. Było to 16 lipca. Wieziono go na zwykłym wozie, innego tu nie było.

Siedemnastego lipca zjawiło się NKWD i zażądało „kamandira". Chciałam już uciekać przez okno, ale ich było sześciu. Ludzie stanęli wnet w mojej obronie, że uratowałam dużo ludzi, w tym również i sporo Ruskich. A oni na to: „Wot choroszo, pogworim u nas". I zabrali mnie ze sobą. Pieszo. Uświadomiłam sobie, że o naszym szpitalu dowiedzieli się od żołnierzy sowieckich, którzy leżeli u nas ranni. Zeznanie to na pewno z nich wymusili.

Przy ulicy Sierakowskiego nadjechała jakaś dorożka, a w niej jakiś litewski pułkownik i kobieta. Była nią dr Bergienie. Poznała mnie. Mąż powiedział coś enkawudzistom, zostałam zwolniona. Mężem dr Bergienie był dowódca pułku litewskiego z ZSRR płk Bergas — komendant wojskowy m. Wilna.

Dowlokłam się jakoś na ulicę Arsenalską 6, do domu ojca. Stąd odwieziono mnie na ulicę Antokolską, gdzie przebywała matka. Wezwany dr Pupiallo stwierdził zapalenie wysiękowe opłucnej i temperaturę 39 stopni. Dwa ciężkie tygodnie przeleżałam w łóżku.

O pracy personelu szpitala polowego Dzielnicy B na Zwierzyńcu napisałem w słowach ciepłych i z uznaniem, jak na to wszyscy zasłużyli.

Może relacja dzielnej łączniczki AK ps. „Zbyszek" część tej prawdy Czytelnikom przybliży. Otrzymamy nie tylko informacje z życia konspiracji, ale również dowiemy się prawdy o środowisku, z jakiego wileńska młodzież akowska pochodziła. Łatwiej nam wtedy będzie zrozumieć znaczenie tej siły moralnej, która młodzież pod sztandary walczącego narodu ściągnęła.

Olsztyn, 21.11.1975 r.

Zapewne zdziwi Panią mój list ze względu na to, że kontakt nasz urwał się w 1945 roku. Z prawdziwą radością dowiedziałam się, że Pan żyje i wrócił do kraju. Znając nie tylko Pana pseudonim z okresu okupacji, ale i prawdziwe nazwisko, doszłam do przekonania, że jest Pan por. „Jerzym", moim dowódcą 2 batalionu AK z Wilna.

W okresie okupacji nazywałam się Krystyna Dąbrowska, ps. „Zbyszek", miałam 18 lat i mieszkałam przy ulicy Lwowskiej 12 m 3. Należałam do AK od 15 maja 1942 roku, byłam łączniczką, a następnie w czasie akcji „Ostra Brama" w lipcu 1944 roku sanitariuszką w m.p. Dzielnicy B na Zwierzyńcu, gdzie mieścił się szpital polowy.

W dniu 11.12.1944 roku zostałam aresztowana i osadzona w więzieniu przy ulicy Słowackiego, a następnie na Łukiszkach. Tam też spotkałam i Pana. Nie wiem, czy Pan pamięta, ale roznosząc posiłki starałyśmy się razem ze Stenią Szantyrówną, ps. „Hanka", i innymi dziewczętami z naszej celi „podkarmiać" naszych chłopców oraz przekazywać grypsy.

Minęło już od tego czasu 30 lat, pamiętam jednak, że był Pan wtedy osadzony w karcerze. Zasądzili mnie na 8 lat i wywieźli do łagru w Uchcie, Komi ASSR, skąd wróciłam do kraju 1.10.1948 roku. Proszę uprzejmie o potwierdzenie mojej przynależności do AK, chcę skorzystać z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Pana i Pańskiej Rodziny

Krystyna Dąbrowska-Ptakowa

10-08 Olsztyn, Profesorska 4 m 6

Ucieszyłem się z nawiązanego po tylu latach kontaktu i dziękując za list poprosiłem o informacje z okresu pracy w konspiracji oraz walk o Wilno. Już wtedy bowiem zrodziła się myśl, że kiedyś, gdy zasiądę do pisania wspomnień o dawnych, wspaniałych wileńskich czasach, listy takie będą cennym i wiarygodnym źródłem. Decyzja była słuszna i dziś czerpię z tego właśnie źródła wątki o tamtych czasach i ludziach, z którymi byłem tak blisko związany w pracy konspiracyjnej. Wymiana listów wzbogaciła znacznie moje gromadzone już od lat archiwum dotyczące lat okupacji. Przytoczę więc jeszcze istotne, moim zdaniem, fragmenty z listu kolejnego:

Miałam 16 lat, gdy złożyłam przysięgę i zostałam łączniczką AK. Uczyłam się wówczas w gimnazjum polskim przy ulicy Ostrobramskiej i grupie „pewniejszych" uczniów zaproponowano wstąpienie do tajnej Organizacji. Opiekunką naszą była Danka, nie wiem, czy to było jej imię, czy pseudonim. W tym czasie kolportowałam tajną prasę i przewoziłam jakieś rozkazy w różne punkty miasta. Czasami była to broń.

Jesienią 1942 roku zostałam aresztowana przez gestapo, ale po konfrontacji z kolegą Januszem (mieszkał w pałacyku w Tuskulanach), który stwierdził, że to nie o mnie chodzi, zostałam zwolniona. Rodzice przerzucili mnie do zapadłej wsi, gdzie przebyłam całą zimę.

Nie wytrzymałam jednak tam długo. Przybyłam do Wilna i znów wróciłam do dawnej pracy w konspiracji. Trafiłam akurat na kurs sanitarny prowadzony przez lek. Czesława Konopkę w jego mieszkaniu przy ulicy Kalwaryjskiej, niedaleko ulicy Lwowskiej. Nadal kolportowa-

łam tajne gazetki i jakieś rozkazy dostarczano mi przez pchor. „Witolda". Pamiętam również, że brałam udział w obstawianiu ulic Zarzecza i czatowaniu na „Jana", który nam się wtedy wymknął i uciekł przez ogrody, gdy się zorientował, że czeka go wyrok za współpracę z gestapo.

Następnie przenosiłam broń i amunicję z punktu rozdzielczego przy ulicy Mickiewicza. Był to już czerwiec 1944 roku. Pewnego razu, razem z „Alą" i „Jadzią", dostałyśmy pełne plecaki broni, którą musiałyśmy przenieść na Zwierzyniec z zakazem przemarszu przez most Zwierzyniecki. Należało dotrzeć tam od strony dzielnicy Kalwaryjskiej. Była to droga podwójnie dłuższa, okrężna, ale znacznie bezpieczniejsza.

Plecaki jednak były bardzo ciężkie, a ja po przebytej niedawno chorobie jeszcze nie bardzo silna. Postanowiłyśmy pójść przez most Zwierzyniecki. Gdy zobaczyłyśmy posterunki żandarmerii niemieckiej na początku, w środku i na końcu mostu, o cofnięciu się już nie mogło być mowy. Szłyśmy więc w tłumie ludzi, uśmiechając się mile do rozstawionych Niemców, którzy coś do nas mówili, pomachałyśmy więc im tylko ręką i wesoło uśmiechnięte przeszłyśmy przez most. Nogi odmówiły nam posłuszeństwa już za cerkwią i długo siedziałyśmy, zanim uspokoiłyśmy się nerwowo i poszłyśmy dalej. Pamiętam również, że zapoznano nas również z obchodzeniem się z bronią w pewnym okresie przed akcją. W czasie akcji „Ostra Brama" w szpitalu polowym na Zwierzyńcu pracowałam jako łączniczka przy sztabie Dzielnicy B. Czy pamięta Pan taki moment? Wróciłam roztrzęsiona, bo w kwaterze żandarmerii zastałam grono rozbawionych, mocno podpitych mężczyzn, gdy Pan z chłopcami już walczył na ulicach Wilna. Zabrał mnie Pan wówczas nieco dalej, żeby nikt nie słyszał, i zapytał spokojnie o wszystko. Więcej tam do nich już nie poszłam.

Przeszłam do pracy w miejscowym szpitalu przy ulicy róg Gedyminowskiej i Sosnowej. Szpital był słabo zaopatrzony w leki i sprzęt medyczny. Nie było szyb, światła, a wodę nosiłyśmy ze studni na podwórku. Dookoła płonęło nasze miasto, słychać było odgłosy artylerii, a samoloty niemieckie latały bardzo nisko, ostrzeliwując z karabinów maszynowych. Pamiętam, że gasiliśmy pożar drewnianych domów gdzieś w pobliżu szkoły, podając wiadra z wodą z rąk do rąk.

W szkole w dwóch salach leżeli nasi chłopcy, a w jednym pokoju ranny cywil, starszy człowiek z urwaną ręką, dla którego nie było już ratunku, bo ręka była koszmarna i z gangreną. W pierwszej sali było ciemno, a ranni leżeli na łóżkach i chyba na siennikach, choć także i na rozesłanej na podłodze słomie. Ogółem mogło ich być około 25. W drugiej sali stała szafka z lekarstwami. Sala, gdzie operowano i robiono opatrunki, była po drugiej stronie korytarza. Przy operacjach i opatrunkach były starsze dziewczęta, myślę, z większymi kwalifikacjami i doświadczeniem. My spełniałyśmy rolę służby pomocniczej.

Z leżących tu chłopców pamiętam Ryśka Szyszko, ps. „Zielonka", któ-

remu amputowano nogę, i drugiego, Cześka, był ranny w płuca i miał złote włosy. Leżał on w pierwszej sali tuż przy oknie. Danek, ranny w ramię, uciekł ze szpitala do oddziału Witolda Hołówko. Był on studentem medycyny i pracował jako lekarz. Przypominam sobie jeszcze „Abisynkę" z Antokolu i Irka Bartoszewicza z ulicy Wielkiej.

Pamiętam dokładnie śmierć chłopca rannego w krtań, chociaż nie mogę przypomnieć sobie jego imienia i nazwiska (Heniek Kozakiewicz, prz. P.S.). Śmierć jego, choć przez tyle lat okupacji przeżyłam scen grozy niemało, odczułam bardzo głęboko i długo płakałam w najciemniejszym kącie niełaskawej w tej chwili piwnicy.

Pamiętam również moment ranienia Wieśka, ps. „Kujot", który leżał na ulicy, a my nie mogłyśmy do niego się zbliżyć, ponieważ Niemcy pokrywali tę drogę falami seryjnych pocisków. Dostałyśmy się jakoś do niego i odtransportowałyśmy go we krwi do szpitala. Gdy niosłam go po operacji, cieszył się, że ma nogę, bo czuł ból w całej nodze. Ale ja przez nieuwagę zahaczyłam kocem o sąsiednie łóżko i odkryłam kikut amputowanej nogi. Patrzyłam na to przerażona, że on taki słaby po operacji przeprowadzonej w tak prymitywnych warunkach nie wytrzyma tej koszmarnej prawdy... Ale Wiesiek popatrzył tylko na moją przestraszoną i zbielałą z wrażenia twarz i spokojnie powiedział: To nic, Krysiu, ważne, że żyję. Zobaczysz, że będziemy jeszcze tańczyć. Polska będzie wolna! Przychodził już później do mnie o kulach aż do czasu mego aresztowania. Takich dzielnych mieliśmy chłopców.

Rannych tymczasem przybywało. Pamiętam młodego chłopca rannego w płuca, mocno krwawiącego. Razem z „Wirą" i Witoldem Hołówką ratowaliśmy go trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak po tak silnym krwotoku i upływie krwi mógł przeżyć.

Pamiętam również chłopca z postrzałem brzucha, któremu zakładałam prowizoryczny opatrunek, był to mój pierwszy ranny, któremu samodzielnie udzieliłam pomocy.

Rannych przybywało również spośród ludności cywilnej. Raz wezwano nas nawet do rannego w sąsiednim domu. Dostać się tam mogłyśmy jedynie czołgając się po ogrodach. Ranny czekał jednak na zastrzyk i dotrzeć tam musiałam.

Noc z 12 na 13 lipca pamiętać będę do śmierci. Niemcy, opuszczając Wilno, wybrali drogę odwrotu akurat przez nasze m.p. Strachu przeżyłyśmy za miliony i najlepsze nawet pióro pisarskie opisać tego nie jest w stanie. Sześć tysięcy niemieckich nóg przeszło nad naszymi głowami, a my skulone cicho w kącie odmawiałyśmy już ostatni, jak sądziłyśmy, pacierz.

Szczęśliwie tylko to się dla nas skończyło. Gdy lżej rannych ze szpitala na Zwierzyńcu przeprowadzałyśmy na Śnipiszki, osłaniał nas patrol Wojtka Jefremienko. W pewnej chwili się odwróciłam i zobaczyłam Wojtka

leżącego na chodniku. Sądziłam, że został ranny, ruszyłam już w jego stronę, a on leżąc na chodniku zjadał rozsypany tam cukier. No cóż, jedzenia nie mieliśmy za dużo.

Do Miednik nie poszłam. Zostałam aresztowana 11.12.1944 roku. Jestem szczęśliwa, że udało mi się przejść przez ciężkie bardzo śledztwo i nikogo nie wsypać.

Pomimo stosunkowo niedługiego pobytu w Uchcie, zdążyłam sobie odmrozić nogi, ręce i twarz. Mam również powstałe tam dolegliwości z kręgosłupem, odczuwam je często.

Krystyna Dąbrowska-Ptakowa

ZDRADZIECKA KONCENTRACJA

Trzynastego lipca 1944 roku oddziały Armii Krajowej i Czerwonej Armii zdobyły bronione przez Niemców Wilno. Kilka dni później sowieckie władze wojskowe zarządziły koncentrację żołnierzy AK, rzekomo po to, by sformować z nich dywizję piechoty — jednostki Wojska Polskiego, która brałaby udział w dalszej wojnie z Niemcami na froncie wschodnim.

Stan liczebny Garnizonu Miejskiego AK Okręgu Wileńskiego na dzień 14 lipca 1944 roku przedstawiał się następująco:

Nazwa jednostki	Oficer. i żoln.	Poległych	Rannych
1. Dzielnica A	600 w tym	40	60
2. Dzielnica B	731 „	75	125
3. Dzielnica C	—	—	—
4. Dzielnica D	150 „	7	23
5. Dzielnica E	—	—	—
Razem:	1481 w tym:	122	208

15 lipca 1944 roku wszystkie oddziały Garnizonu Miejskiego Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej wymaszerowały na wyznaczoną w rejonie trójkąta: Miedniki—Turgiele—Taboryszki koncentrację.

Przed wymarszem atmosfera nie była najlepsza. Sowieci zdążyli dać wiele dowodów na to, aby podejrzewać ich o najgorsze. Z daleka pachniało podstępem. Jutro było bardzo niepewne, wręcz niebezpieczne.

Oddziały Dzielnicy B były w bezpośrednim otoczeniu mego domu przy ulicy Trębackiej 4. Zarządziliśmy zbiórkę. Każdy dowódca przybył ze swoim oddziałem. Żołnierzom wyrażono podziękowanie za dotychczasową rzetelną służbę, dzielną postawę, wysokie morale. Przedstawiono grożące ze strony sowieckiej niebezpieczeństwo. W takiej sytuacji dowództwo AK stwierdziło, że nie ma prawa narażać żołnierzy. Dlatego każdemu z nich pozostawiono decyzję wymarszu na koncentrację pod osobistą rozwagę. Każda decyzja miała być uszanowana.

Taka była treść apelu skierowanego przez dowódców do żołnierzy. Dziś nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, czy na tę koncentrację wyszli wszyscy, którzy byli na zbiórkach. Wydaje mi się jednak, że wyszli wszyscy.

Ruszyliśmy w drogę ulicą Derewnicką na odległy stąd o parę dobrych kilometrów most Strategiczny. Już po drodze w czasie tego marszu doskakiwali do mnie chłopcy i dziewczęta prosząc, wręcz błagając o przyjęcie do oddziału. Patrzyłem z nie ukrywaną dumą w oczy tych 16—18-latków i odmawiałem. Wiedziałem, że sprawiam tym młodocianym patriotom ogromny zawód. Nie mogłem jednak brać na siebie za nich odpowiedzialności, niepewny tego, co nas wszystkich spotkać może za chwilę. Więc tylko mówiłem im: Kochani, idziemy w nieznane, wybaczcie, ale przyjąć was nie mogę.

Pomimo najgorszych przeczuć byliśmy pogodni, szliśmy nawet z partyzancką piosenką na ustach. Gdy byliśmy już niedaleko celu, mijać zaczęliśmy różne kolumny wojsk sowieckich. Dużo ich było. Różnych też broni. Skąd ich tu tyle i dokąd zmierzają? — pytałem w duchu sam siebie. Oto znów mijamy kolumnę konnej jednostki. Opalone słońcem, kwadratowe twarze, wystające po azjatycku kości policzkowe i nieco skośne, złowrogo rzucane w naszą stronę spojrzenia. Jeden z nich widać nie wytrzymał i patrząc z nie tajoną nienawiścią wypalił: „Nu czto, takaja wasza mat', nawojowaliś?"

Ten brutalny i nad wyraz wulgarny epitet wyrażał kwintesencję stosunku ówczesnych przedstawicieli władzy sowieckiej do Polski i Polaków. Ten zruszczony mieszkaniec Azji pozwolił sobie na otwartą szczerość tylko dlatego, że pierścień wojsk NKWD wokół Armii Krajowej Wileńszczyzny w tym rejonie był już zamknięty. Byli pewni tego, że nikt z nas nie umknie z zaciśniętych kleszczy.

Znaleźliśmy się oto w przedziwnej sytuacji: jako Armia Krajowa walczyliśmy u boku Armii Czerwonej o Wilno przeciwko Niemcom niby dwie armie sojusznicze. I oto znaleźliśmy się w potrzasku. Zbrojny opór nie wchodził w rachubę, ponieważ nasze władze z Londynu nakazywały nam traktować Armię Czerwoną jak „sojuszników". Nie stworzyliśmy więc precedensu do wysunięcia przez stronę

sowiecką oskarżenia, że Armia Krajowa wystąpiła zbrojnie przeciwko sowieckiej armii.

Nadszedł dzień 17 lipca 1944 roku. Ten dzień każdy żołnierz Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego pamiętać będzie do końca swego życia. Dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Znaleźliśmy się na dużej, zalesionej tylko z rzadka polanie. Rozłożyliśmy się na biwaku pełni dobrych oczekiwań. Na ich potwierdzenie dotarła do nas wieść, że płk Adam Szydłowski, ps. „Poleszuk", rozpoczął organizację 19 Dywizji Piechoty zgodnie z umową zawartą między gen. „Wilkiem" i gen. I. Czerniachowskim.

Z mego batalionu wezwany już nawet został do sztabu formowanej dywizji por. zaw. Michał Hryniewicz, ps. „Michał". Słusznie — pomyślałem — pierwszeństwo należy się w takich przypadkach oficerom zawodowym. Zapanowała atmosfera zrozumiałego ożywienia, na kolejne wezwania czekali już inni kandydaci. Nagle w gronie zebranych żołnierzy powstało zamieszanie i konsternacja: — Gen. „Wilk" i mjr „Sław" zostali aresztowani w Wilnie!

Dowiadujemy się wnet szczegółów całego wydarzenia. „Wilk" ze „Sławem" udali się do Wilna na zaproszenie gen. I. Czerniachowskiego. „Wilk" chciał wziąć z sobą oddział osłonowy kawalerii. Jednak pełniący obowiązki oficera łącznikowego pułkownik sowiecki dorzucił, że to opóźni znacznie wyjazd, a sprawa jest pilna i gen. I. Czerniachowski już oczekuje. Pojechali więc w trójkę. Na miejscu oczekiwał już oddział czerwonoarmistów z automatami, którzy dokonali aresztowania naszych oficerów: gen. „Wilka" i mjr. „Sława". Przygotowaną zasadzkę przewidział nasz konny zwiadowca, który był świadkiem wydarzenia i przyleciał jak mógł najszybciej, aby nas powiadomić.

Sprawa stała się oczywista. Wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazywały już wcześniej na takie zakończenie. Władze sowieckie nie dały dużo czasu na rozmyślanie o tym, co zaszło. Zjawiło się wnet kilku politruków z oddziałem enkawudzistów, którzy bezpardonowo orzekli, że decyzją dowództwa sowieckiego Armia Krajowa na Wileńszczyźnie musi być rozbrojona. Dotychczasowa niepewność została wyjaśniona. Pierwsza odruchowa myśl o zbrojnym oporze, w obliczu nagromadzonych tu wojsk sowieckich, była nierealna. Do tego rozkaz gen. „Wilka" o przyjaznym traktowaniu Rosjan nie był odwołany, a więc obowiązywał.

Pojawili się już na koniach tzw. Kozacy, a najbliżej nich zlokalizowanym naszym oddziałom polecono zdawanie broni. Wielu nie mogło jeszcze zrozumieć, dlaczego nagle wszystko się odmieniło. Rozbrojonych formowano w kolumnę i odprowadzano w nieznanym kierunku. Żołnierze zgrupowani nieco dalej od punktów rozbrajania, widząc, co się święci, zaczęli rozchodzić się w różne strony. Nie-

którzy odchodzili w pobliskie zarośla i zakopywali swoją broń. Każdy działał już na własną rękę. Niektórzy, zdając broń, płakali.

Z rewolwerem w kieszeni dołączyłem do maszerującej już gdzieś kolumny. Obok mnie znalazł się również por. Longin Blinstrub, „Lech". Dołączyło jeszcze kilkunastu żołnierzy z naszej Dzielnicy. Wszyscy szukali jakiegoś wyjścia z wytworzonej nagle trudnej sytuacji.

Kolumna rozciągnęła się wkrótce na kilkaset metrów. Rozciągaliśmy ją celowo, dwóch konnych czekistów prowadziło kolumnę z przodu, kilku innych ją zamykało. Powoli przesunąłem się razem z por. „Lechem" do środka kolumny. Teren był nie tylko zalesiony, ale stawał się na szczęście również mocno falisty. Pojawiały się momenty, że traciliśmy z pola widzenia konwojujących nas krasnoarmiejców. Na lepszą okazję nie należało dłużej czekać. Jeden zaledwie skok i już byliśmy w pobliskich zaroślach. Las zawsze był przyjazny partyzantom.

Rotmistrz „Grom 2R" szedł przed nami w kolumnie. Sygnalizowaliśmy mu na odległość, aby się do nas przyłączył. Nie zdecydował się na ten krok. Widać rozumował inaczej. W takich jak ta sytuacjach rozstrzyga zimna kalkulacja albo improwizacja. Nigdy nie wiadomo, która jest lepsza, więc nie nalegaliśmy. W głowie szumiało ciągle od tego, co się stało przed paroma jeszcze godzinami. „Aliancka" armia zdradzieckim podstępem rozbroiła drugą, zwaną „sojuszniczą". Jak w sytuacji takiej postąpić? Krzyczeć, protestować, uciekać czy poddać się woli stalinowskich gwałcicieli prawa?

Sytuację taką już raz przeżyłem 3 października 1939 roku, gdy ta sama armia „wybawicielka" rozbrajała polską armię we wrześniu 1939 roku pod Zamościem. Uciekłem wtedy z pociągu, którego stacją docelową z pewnością był Katyń. Mam, widać, zakodowane w sobie, że w każdej trudnej sytuacji nie poddaję się biernie biegowi losu, lecz szukam i decyduję się na rozwiązania, jak mi się wydaje, najlepsze.

Uciec, rozproszyć się mogła wtedy znaczna większość oficerów. W co wierzyli i czym się kierowali, że tego nie uczynili? Dziś wiemy, że na postawione tak pytanie zabici w lesie katyńskim nam nie odpowiedzą. Byłem wtedy jednym z nich. Z tej samej wyszedłem szkoły kształcej etykę i honor polskiego oficera. Nim zdecydowałem się na ucieczkę, też byłem na rozdrożu, jak oni. Spotkaliśmy się jednak z ludźmi o całkowicie odmiennej ideologii, którzy nasze dogmaty i świętości wykorzystali z przestępczą świadomością. Dlatego właśnie był Katyń, był Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków i wiele innych, podobnych tym miejsc morderstw i kaźni...

W zaroślach przeczekaliśmy z Lonkiem, aż kolumna przejdzie. Wzięliśmy kierunek na Wilno. Rotmistrz „Grom 2R" poszedł w ko-

lumnie dalej. Dziś znamy jego los. Został wywieziony i nie wrócił już „stamtąd". Generał „Wilk" i major „Sław" padli ofiarą pierwsi, zwabieni do siedziby NKWD w Wilnie. Pojedynczo, również podstępnie ściągnięto kilku innych oficerów sztabowych Komendy Okręgu.

Rzekoma koncentracja 17 tysięcy oficerów i żołnierzy Wileńsko-Nowogródzkiego Okręgu AK w rejonie Miedniki—Turgiele—Taboryszki okazała się pułapką. Nie wszyscy jednak dali się złapać. W obozie w Miednikach czekistom udało się zamknąć ok. 7000, z czego aż 3000 żołnierzy potrafiło zbiec.

Większa część Armii Krajowej z Wileńszczyzny grupami pod dowództwem płk. „Strychańskiego", mjr. „Jaremy" i innych potrafiła uniknąć rozbrojenia i przemknąć do Puszczy Rudnickiej lub w przebraniu przedostać się do Wilna.

Pozostała jeszcze do ujęcia grupa oficerów, której zbiórkę na „życzenie" gen. I. Czerniachowskiego zarządzono we wsi Bogusze. Scenariusz tego spotkania był nieco inny. Gen. I. Czerniachowski chciał się spotkać z polskimi oficerami, którzy odznaczyli się w walkach o Wilno w sposób szczególny. Zamierzał uhonorować ich sowieckimi odznaczeniami.

Szczęśliwy los sprawił, że rozkaz „Wilka" odebrany został przez jedne oddziały na godzinę 17, inne odebrały na 19. Na godzinę 17 stawiło się 25 oficerów. Przyjechał generał, tylko inny, z czerwonymi otokami na czapce, a z nim 100 czekistów z automatami. Dekoracji nie było. Oficerowie zostali otoczeni, rozbrojeni i odtransportowani do więzień w Wilnie. Tylko por. Jerzy Łoziński i ppor. Henryk Borowski (nie darmo obaj pracowali w wywiadzie), którzy zorientowali się z miejsca, po co ich „towarzysze" ściągnęli, sprytnie, ale odważnie, bez pożegnania opuścili towarzystwo. Dzięki nim, jak również i ppor. dr. Lechowi Iwanowskiemu, sporo pododdziałów AK dowiedziało się o urządzonej jeszcze jednej pułapce NKWD w Boguszach.

W taki właśnie sposób 17 lipca 1944 roku liczna wszak i stosunkowo silna Armia Krajowa na Wileńszczyźnie faktycznie przestała istnieć bez jednego niemal wystrzału.

I choć przed wymarszem z Wilna powiedziałem żołnierzom swego batalionu, że ta koncentracja wydaje mi się mocno podejrzana, że nie mogę za nich wziąć odpowiedzialności i dlatego zwalniam ze złożonej przysięgi, dziś, gdy piszę o wydarzeniach z 17 lipca, doznaję również uczucia wstydu. Czy fakt, że nie prowadziłem pertraktacji, nie spotykałem się z żadnym generałem ani nawet zwykłym sowieckim oficerem, a sprawę całą znałem jedynie ogólnie i z pośrednich, niepełnych przekazów — jest dostatecznym wytłumaczeniem, że sam dałem się nabrać częściowo również?...

Ale o tym — w epilogu.

Do Wilna dobrnęliśmy chyłkiem, po kryjomu, czasami czołgając się jak złodzieje skradający się po zagarnięcie cudzego dobra. A szliśmy przecież do swojego domu, rodzinnego miasta, do rodzinnego domu. Ale w tym rodzinnym mieście rządzili się przedstawiciele NKWD, a we własnym domu płakała stroskana brakiem syna matka. Do domu przy ulicy Trębackiej nr 4 podchodziłem niemal na palcach. Moja daleko posunięta przezorność okazała się niepotrzebna, doszedłem szczęśliwie do celu chyba dlatego, że nasi prześladowcy zajęci byli polowaniem w rejonie Miednik. Tam skierowali wszystkie swe siły, spodziewając się, że łup będzie obfity.

Już po kilku dniach zorientowałem się, że znaczna część moich żołnierzy wyszła z tej obławy pomyślnie. Dzielni i zaradni to byli chłopcy, dali tego setki dowodów w okresie konspiracji. Nie dziwiłem się, że i tym razem wyszli z opresji cało. Byliśmy jednak wszyscy „spaleni". Należało coś i to szybko przedsięwziąć. Porozumiałem się z „Lechem". Najlepsze i chyba jedyne w tej sytuacji wyjście — to wyjazd „do Polski". Brzmi to jakoś dziwnie, wszak będąc w Wilnie — byliśmy w Polsce.

Należało jednak wyrobić fikcyjne dokumenty. Musiało to nieco potrwać. Czas jednak leciał, a lawirować obok NKWD nie było rzeczą łatwą. Ogłoszona w tym czasie mobilizacja w Wilnie obejmowała również mój rocznik. Otrzymałem wnet inny dokument, który postarzał mnie o 8 lat. Na czas jakiś byłem uratowany. Czekałem niecierpliwie na dokumenty, na których podstawie mógłbym wyjechać. Załatwialiśmy to grupowo. Akowska komórka „dokumentacyjna" jeszcze działała.

Istnieje jednak w życiu coś, co przyjęło się określać pojęciem przypadek albo przeznaczenie. Choć prof. Sukiennicki na Wydziale Prawa USB przemądre prowadził na ten temat wykłady, do dziś nie wiem, co w życiu człowieka decyduje, że losy jego układają się właśnie tak a nie inaczej.

Piętnastego września 1944 roku spotkałem przypadkowo kilku swoich chłopców. Mówią: „Janusz sypie. Namawia naszych ludzi do tworzenia tajnej organizacji, dopytuje się o przechowywaną broń, widziano już go wielokrotnie zachodzącego do gmachu NKWD. Idą areszty. Gotowi jesteśmy to ukrócić". I spojrzeli na mnie pytająco.

Znałem tego jegomościa dobrze. Żył ze spekulacji. Na wiosnę 1944 roku zaczęło go za to ścigać gestapo. Podejrzewałem, że w grę wchodziła obca waluta. Drań zgłosił się wtedy do mnie, prosząc o skierowanie do lasu.

Pomyślałem — Polak, muszę pomóc. Skierowałem. Miałem meldunki. Spisywał się jak Wołodyjowski. Data 7 lipca zastała go na urlopie u żony w Wilnie. Powrót do oddziału miał odcięty. Znów poprosił o przydział. Skierowałem do jednego z oddziałów Garnizo-

nu. Przez cały okres walk o Wilno był wzorowym żołnierzem. Po rozbrojeniu — mogło być różnie. Widziałem go raz przelotnie z bluzą wypuszczoną na spodnie i zapiętym po sowiecku pasem. Maskuje się — pomyślałem tylko i skręciłem w boczną ulicę, unikając spotkania.

Chłopcy patrzyli wciąż na mnie, oczekując odpowiedzi. Powiedziałem: Pamiętajcie, żeby nie popełnić pomyłki, chodzi o życie człowieka. Poobserwujcie go jeszcze czas jakiś.

Gdy się z chłopcami pożegnałem — pomyślałem: A jeżeli oni mają rację? Trwające teraz aresztowania mogą być wynikiem jego „pracy". Muszę natychmiast uprzedzić o zagrożeniu pchr. „Witolda" i ppor. „Halnego", ci dwaj mogą być zagrożeni w pierwszej kolejności. Przyśpieszyłem kroku na ulicę Artyleryjską, gdzie obaj mieszkali. Nie pomyliłem się. W tym mieszkaniu był już zastawiony „kocioł". Zostałem aresztowany, było to 15 września 1944 roku.

Oficerami zapełniono więzienia w Wilnie przy ulicy Ofiarnej, przy placu Łukiskim i w obozie w Riazaniu. Żołnierzy po Miednikach osadzono w obozie w Kałudze, gdzie niektórych sądzili.

Pobyt w więzieniu trwał rok. Stosunek jak do bandytów. Śledztwo prowadzono metodą szkoły Berii, oskarżano na podstawie paragrafu 58-1a-1b-6-10-11 — to znaczy: zdrada ojczyzny, szpiegostwo, szkalowanie ojczyzny, kontrrewolucja, tajna, podziemna organizacja. Sądy odbyły się w podziemiach gmachu NKWD. Wyroki brzmiały: 15—25 lat katorgi, przepadek mienia, pozbawienie wszelkich praw obywatelskich plus 5 lat zsyłki. Deportacje do łagrów na dalekiej północy.

Częściowy wykaz oficerów, podchorążych, podoficerów i żołnierzy Armii Krajowej sądzonych, deportowanych i rozstrzelanych bądź zmarłych w obozach sowieckich w załączeniu.

Podaję poniżej nazwiska niektórych tylko oficerów, podchorążych i żołnierzy Dzielnicy B Garnizonu Miejskiego, z którymi razem przeszedłem więzienie i łagry za kręgiem polarnym: Andrzej Rymaszewski, Longin Blinstrub, Kazimierz Cis, Marian Świerczyński, Henryk Kosiński, Czesław Wasilewski, Leon Tejwan, Edmund Józefowicz, Hanka Szyszko-Norska, Krystyna Dąbrowska, Wanda Cejko, Władysław Zarzycki, ks. Lucjan Sołtan, Józef Duszyński, Stefania Szatyrówna, Józef Pleśniak.

EPILOG

Utratę niepodległości w 1939 roku naród polski przeżył niezwykle głęboko. Dwadzieścia lat niepodległości wszak niełatwej, ale patrząc już na to z perspektywy czasu — jakże świetnej — wychowało wspaniałe, zjednoczone i gotowe do poświęceń dla Ojczyzny pokolenie. To młode pokolenie wzięło głównie na swoje barki ciężar tej walki. Fakt ten ma swoją wymowę i określa w sposób jednoznaczny zespół wartości, które pokolenie to wykreowały.

Ja się chyba nie rozminę z prawdą, jeżeli wysunę sugestię, że pierwszą w Wilnie grupę konspiracyjną zawiązała młodzież szkolna, mieszkająca w rejonie ulicy Kalwaryjskiej i Chocimskiej. Średni wiek tej młodzieży wynosił 13—14 lat. Na przełomie października-listopada niektórzy z nich zostali aresztowani i wywiezieni na wschód. Sąsiad mój z ulicy Chocimskiej stracił wtedy córkę i syna. Grupa młodzieży powołana została spontanicznie i bezimiennie. Gdybym nie wspomniał o niej, nikt by i nie wiedział, że to właśnie być może początek polskiej konspiracji w Wilnie.

Dziś patrzę na ten okres walki konspiracyjnej i oceniam już bez emocji jej przebieg oraz tragiczne dla Polski i naszego narodu zakończenie. Czy tak musiało być? Gdy świat cały cieszył się i wiwatował z okazji zakończenia wojny — żołnierze Armii Krajowej siedzieli za kratami sowieckich więzień, a wielu z nich już z wyrokami po 20 lat katorgi w dalekich syberyjskich łagrach. Bowiem układ w Jałcie był pogwałceniem elementarnych praw narodów i godności człowieka, a decyzje te obowiązują do dziś. Jałta usankcjonowała umowę sowiecko-niemiecką z 23 sierpnia 1939 roku.

Mogły więc losy Polski i wielu państw Europy ułożyć się inaczej, pomyślnie i sprawiedliwie. Armia Krajowa uchwał Jałty nie przyjęła, nigdy się z nimi nie pogodziła, choć zapłaciła za to cenę ogromną.

Spotykamy się w różnych publikacjach z opiniami, które niepowodzenia końcowe Armii Krajowej na Wileńszczyźnie przypisują niewłaściwej taktyce wojskowej ataku na Wilno w lipcu 1944 roku oraz pewnej naiwności i braku wyrobienia politycznego generała „Wilka".

Nic bardziej fałszywego i nieprawdziwego. Los AK na Wileńszczyźnie podzieliły wszystkie okręgi w całym kraju. Na terenach

dawnych kresów wschodnich zlikwidowane zostały przez stalinowskie NKWD, a pozostałe wspólnie przez NKWD i polskie UB.

Wydaje mi się, że sformułowane w ten sposób zarzuty są powierzchowne, niesłuszne i mijające się z prawdą. Były oczywiście znaczące niedociągnięcia organizacyjne, wojskowe, a nawet i polityczne. Szczególnie dziś widać je jak na dłoni. Jeżeli wspomnimy o nich, to tylko dlatego, że towarzyszą im istotne fakty, od których uciec się nie da.

Dokonanie zmiany na najwyższym szczeblu dowodzenia w Podokręgu Nowogródzkim tuż przed akcją „Ostra Brama" było błędem podwójnym: organizacyjno-psychologicznym i politycznym. Skutki tego kroku były aż nadto oczywiste i dotkliwe. Siła uderzeniowa Armii Krajowej obszaru wileńsko-nowogródzkiego w decydującym momencie zmalała w rezultacie o połowę, u wielu oficerów i żołnierzy posiane zostało rozczarowanie i wątpliwości.

Podobne skutki psychologiczne, choć w innej skali, miała przeprowadzona dosłownie w ostatniej chwili zmiana kpt. „Józefa" na rtm. „Groma 2R" w Dzielnicy B. Nie wywarło to wpływu na walki oddziałów tej Dzielnicy, bowiem dowodzili nimi świadomi celów dowódcy batalionów. Decyzje zwierzchników, działających przez zaskoczenie, zostały w gronie oficerów zdecydowanie potępione.

Zdań kilka może o samej operacji „Ostra Brama". Szykowaliśmy się do niej prawie pięć lat. Miała stanowić kulminacyjny moment kilkuletniego zmagania, stać się zwycięstwem — zadośćuczynieniem za poniesione cierpienia, ofiary, upokorzenia, śmierć wielu Polaków. Nie wyobrażam sobie, aby do operacji tej można było przystąpić bez dobrze opracowanego planu taktyczno-operacyjnego. Podobno był nawet taki plan.

Wyznaczony termin 8 lipca przyśpieszono o dobę. Atak się nie powiódł, zabrakło połowy sił. Okazał się za mało skuteczny wobec zwiększonych sił przeciwnika, nie zaskoczył Niemców, którzy więcej wiedzieli o nas, aniżeli my o nich.

Przyśpieszenie terminu wynikło z rozwoju sytuacji na froncie. Nasuwa się jednak logiczne i uzasadnione z punktu widzenia wojskowego pytanie: Czy bez pewności, że wszystkie oddziały zostaną o tym we właściwym czasie powiadomione, aby na czas określony zdążyć, i bez żadnych informacji z terenu, a szczególnie po dokonanych zmianach personalnych w Podokręgu Nowogródzkim — przyśpieszenie terminu było pociągnięciem właściwym?

A jak sytuacja ta wyglądała z punktu widzenia dowódców oddziałów Garnizonu Miejskiego? Aczkolwiek ludzi swoich mieli w samym mieście, zbiórki w określonych planem miejscach przeprowadzić całkowicie nie byli w stanie. Bowiem koncentracja oddziałów Dzielnicy C i D odbywała się wieczorem 6 lipca w lewobrzeżnej

części miasta, która w tym właśnie czasie była zorganizowanym już rejonem obronnym korpusu niemieckiego, gotowego całkowicie do walki o Wilno (przy wysiedlonej już ludności cywilnej). Czy w tej sytuacji była możliwość koncentracji oddziałów? W strefie obrony niemieckiej znajdowało się także kilka naszych tajnych magazynów broni, której pobranie okazało się również niemożliwe, jak przejście przez oba mosty na prawy brzeg Wilii.

Znów nie mogę nie postawić pytania: Dlaczego tak się stało? Dlaczego poszczególni dowódcy tych oddziałów nie wiedzieli dostatecznie wcześnie o wyznaczonych miejscach, aby podjąć z magazynów broń i znaleźć się w porę w odpowiednim miejscu?

Nie ich na pewno to wina, że stało się inaczej, zginęło niepotrzebnie 24 ludzi. A już jest rzeczą wręcz karygodną i świadczącą o niedostatecznej znajomości tematu, gdy gołosłownie się stwierdza, że w akcji brały udział wyłącznie oddziały Dzielnicy A, pomijając największą Dzielnicą B i marginesowo traktując pozostałe C i D.

Jeszcze jeden fakt, jakże jednak ważki i znamienny. Oto nowo mianowany komendant Okręgu Wileńskiego ppłk „Ludwik", szef sztabu ppłk dypl. „Ryngraf" oraz komendant garnizonu mjr „Skarbek", trzej najwyżsi dowódcy również znaleźli się po lewej stronie Wilii, odcięci od oddziałów, którymi mieli dowodzić, a uzyskanie od nich najbardziej nawet skąpych informacji wymagało wyczynów komandosów. Wybrane przez nich miejsce postoju znalazło się w samym środku paszczy lwa. Takiej sytuacji, uważam, nasz plan taktyczno-operacyjny nie mógł zakładać. Wynikał on z braku pełnego rozeznania zamierzeń wojskowych Niemców.

Czy można było przewidzieć, że Niemcy uczynią z Wilna warowny, silny węzeł obronny? Gdy w czerwcu 1944 roku chodziłem po ulicach Wilna i śledziłem pilnie poczynania Niemców w zakresie budowy zbrojonych, betonowych bunkrów w wielu punktach miasta, zadawałem sobie pytanie: pozorują tylko przygotowania do obrony miasta, czy postanowili twardo i skutecznie się bronić?

Rozbudowane szeroko betonowe punkty oporu przy ulicy Subocz, długi rząd bunkrów rozmieszczonych wzdłuż lewego brzegu Wilii na ulicy Zygmuntowskiej, dwa bunkry-twierdze u podnóża Gór Szeszkińskich i powyżej placu Broni oraz wysiedlanie mieszkańców z centrum miasta — mówiły bardzo wiele. Śmiem twierdzić, że Niemcy nie mieli żadnych powodów, aby cokolwiek tu pozorować. To my, nie wiem na jakiej podstawie, skłonni byliśmy wierzyć, że przyjdzie chwila, gdy Niemcy uciekać będą z Wilna w panice i popłochu. Nic podobnego nie nastąpiło. Mało tego, otoczeni ze wszystkich stron przez przeważające siły wojsk sowieckich, potrafili wyprowadzić z okrążenia znaczną część swych oddziałów i dołączyć do swoich, odległych stąd znacznie, walczących oddziałów.

Były to jednak tylko na mój jedynie użytek czynione obserwacje. Wiedziałem, że Komenda Okręgu rozporządza wydziałem wywiadu, który potrzebne sztabowi informacje zbierze i dostarczy.

Sprawa kolejna — to stosunek gen. „Wilka" do armii sowieckiej i jego z jej dowództwem prowadzone pertraktacje. Padły w związku z tym pod jego adresem słowa surowej krytyki. Uczynił to między innymi i dr R. Korab-Żebryk w swej książce pt. „Operacja Wileńska AK". Sprowadzały się one głównie do trzech punktów:

1. Przeprowadził natarcie na Wilno w terenie otwartym, wariantem pozycyjnym stosowanym dla armii stałej. Nie skorzystał z wariantu przez zaskoczenie, partyzanckiego, od strony zachodniej, nie obsadzonej przez przeciwnika.
2. W pertraktacjach z dowódcami sowieckimi przejawił daleko idącą naiwność (z gen. I. Czerniachowskim).
3. Nie zdradzał w swoim postępowaniu cech dobrego polityka.

Nie można niepowodzeń polskiego natarcia dopatrywać się w tym, że zostało ono wyprowadzone z niewłaściwej strony. Jest to zarzut nieuzasadniony, świadczący o zupełnej nieznajomości realiów.

Kilkunastotysięczny korpus niemiecki rozporządzał kilkuset czołgami i wozami pancernymi. Wspaniale wyszkolony i jeszcze lepiej wyposażony żołnierz. Jak podają relacje, w odpowiedzi na zgłoszone w dniu 10 lipca sowieckie ultimatum o zaprzestnie walki — Niemcy odpowiedzieli ogniem z 200 luf. Dawało też jeszcze o sobie znać niemieckie lotnictwo.

Przez cztery dni natarcia znacznie liczniejszych sił sowieckich pancernych i wojsk zmechanizowanych poszczególne punkty oporu kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Tak było z dworcem kolejowym i gniazdami oporu u podnóża Góry Zamkowej.

Grupa płk. Tolsdorfa grasowała bezkarnie i nieuchwytnie od strony zachodniej — od dworca towarowego w Wilnie aż po odległy o 20 kilometrów Landwarów — mimo zdecydowanych ataków pancernych jednostek sowieckich, aby ją izolować i zniszczyć. Skutek był taki, że płk Tolsdorf wyznaczone mu zadanie wykonał, przesuwając się później na północ. Dołączyła do niego również jednostka gen. Stahela po opuszczeniu Wilna. Jeszcze 12 lipca duża niemiecka jednostka pancerna (ponad 100 czołgów), łącznie z piechotą w sile około 4 tysięcy żołnierzy usiłowała przedrzeć się z kotła uderzeniem na północ.

W świetle powyższego każda próba zastosowania takiego czy innego wariantu i możliwość osiągnięcia przez oddziały Armii Krajowej pomyślnego rozstrzygnięcia w dniu 7 lipca — jest raczej czysto teoretyczna.

Nie odpowiada również prawdzie, że strona zachodnia obrony niemieckiej w Wilnie miała lukę, przez którą można było wejść

niepostrzeżenie do miasta. Walcząc z kompanią młodzieżową na Zwierzyńcu, sam przekonałem się o tym, kiedy ponosiłem dotkliwe straty, brany w silny, zaporowy ogień, prowadzony z niemieckich stanowisk właśnie z Zakretu i z rejonu więzienia Łukiskiego. W szczelnej obronie niemieckiej wolnych do przejścia luk po prostu nie było.

Jak już wspomniałem, jednostka pancerna rozciągała stanowiska swoje aż do ulicy Zakretowej, która z kolei wraz z ulicami Wielka Pohulanka i Konarskiego obsadzona była artylerią, a ta nie mogła nie być osłaniana przez oddziały piechoty. Dojście do miasta od strony zachodniej mogło być brane pod uwagę tylko przez zalesiony Zakret, a ten był obstawiony przez Niemców. Na południe od niego — to już rejon stacji towarowej, też silnie obsadzony punkt obrony niemieckiej.

Gdy 13 lipca dokonywałem przemarszu z kompanią po linii most Zielony—Zakretowa, oglądałem na własne oczy opuszczone już co prawda stanowiska niemieckie od tej właśnie zachodniej strony miasta. Tyle miałbym uwag dotyczących sprawy „strategii" ujętych w punkcie pierwszym stawianego generałowi zarzutu.

Z zarzutem przejawianej w pertraktacjach naiwności należałoby się zgodzić. Fakty mówią same za siebie. Sytuacja od pierwszych dni lipca, w jakiej się gen. „Wilk" znalazł, była ciężka i nie do pozazdroszczenia. Odcięty od wskazówek z Londynu i Warszawy, naciskany przez zbliżającą się armię sowiecką działać musiał samodzielnie i na własne wyłącznie ryzyko. Był zmuszony szukać porozumienia z tą armią, ponieważ spotkania z nią nie mógł uniknąć. Alternatywy nie było. Zezwolenie na swobodną penetrację oddziałów AK przez sowieckich oficerów łącznikowych usprawiedliwienia jednak nie znajduje, bowiem tylko szpiegowskie rozeznanie sił AK było jego celem i zamiar ten nie mógł być rozumiany inaczej. Nie zorientował się również, że rozmawia nie z zapowiedzianym gen. I. Czerniachowskim, lecz podstawionym generałem NKWD. Tylko doświadczony łagiernik mógłby ewentualnie typowego „sledowatiela" po sposobie zadawania pytań i zachowania rozpoznać. Generał „Wilk" łagiernikiem wtedy jeszcze nie był.

Dwa momenty zwracają na siebie uwagę w tych pertraktacjach: gdy propozycja rozczłonkowania AK na małe oddziały i rozproszenia ich przez wcielanie do jednostek armii sowieckiej została przez gen. „Wilka" odrzucona — strona sowiecka, już bez najmniejszego oporu, przyjęła wszystkie warunki „Wilka", a nawet je poszerzyła, choć była w nich również wzmianka o jego lojalności w stosunku do rządu polskiego w Londynie.

To salto w podejściu do sprawy musiało zastanowić każdego. Propozycja pierwsza zmierzała do likwidacji Armii Krajowej. Gdy podstęp się nie udał — wyrażono zgodę na wszystkie warunki strony

polskiej, aby ją uśpić. Grę tę widzę jak na dłoni dopiero dziś, mając za sobą doświadczenia sowieckich łagrów.

Spójrzmy jednak na to wszystko inaczej. Powiedzmy, że z miejsca, już po pierwszym spotkaniu gen. „Wilk" zorientował się, do czego towarzysze czekiści zmierzają i czym to wszystko grozi. I co wtedy? Podjęcie otwartej walki nie wchodziło w rachubę z żadnego względu. Dekonspiracja i walka w podziemiu też nie rokowałaby żadnej perspektywy. Przebijać się między linią frontu? Łupaszka nawet tego dokonał. Skutek w tym przypadku byłby ten sam, znacznie większa byłaby tylko liczba ofiar. To samo NKWD, tylko operujące rękami UB.

Jakże wtedy należy spojrzeć na tę postawę generała „Wilka" i jak ją ocenić?

Przeszedłem dwa różne i w różnym czasie prowadzone śledztwa i dwanaście lat sowieckich łagrów o najcięższym reżymie. Szkoła to zapewne z piekła rodem, ale zebrane doświadczenia ogromne. Mógłbym być ekspertem od przeżyć za drutami i wymuszonej pokuty. Mam więc i swój pogląd na takie, jak ta, sprawy.

Cofnę się pamięcią do roku 1939. Rozbrojono i deportowano 250 tysięcy żołnierzy i oficerów. Powtarzam: 250 tysięcy! W tym również kilkunastu generałów. Oficerów kierowano prawie wszystkich na zatracenie. Czy stało się tak dlatego, że wszyscy oni byli w jakimś znaczeniu naiwni i nie byli dobrymi politykami?

Uniknąłem Katynia, ponieważ wyprowadzony zostałem szczęśliwie przez nie znaną mi dziewczynę z pociągu już w Kowlu. Siedemnastego lipca 1944 roku znów rozbrojono ponad 7 tysięcy żołnierzy i oficerów. Czy również stało się tak dlatego, że byli sami temu winni?

Mnie i tym razem udało się raz jeszcze zbiec już w drodze do obozu w Miednikach. A jaki los spotkał wszystkich, tych rozbrojonych i wywiezionych, i tych, którzy chwilowo aresztowania potrafili jakoś uniknąć? Los był podobny i zbliżony do losu nas wszystkich, ponieważ sedno sprawy: wygrać czy przegrać, dać się złapać czy nie — leżało gdzie indziej i było od nas zupełnie niezależne. Chyba, że ktoś zdecydował się wybrać drogę zdrajcy i poszedł na skrytą lub jawną współpracę. Kilku takich też znamy.

Rozstrzygnięcie wszystkich zdarzeń i losów ludzkich, o których mowa wyżej, zapadło 23 sierpnia 1939 roku w zakończonych w Moskwie, pomiędzy Ribbentropem i Mołotowem, tajnych układach. Zadecydowali o tym dwaj dyktatorzy Stalin i Hitler.

Idźmy teraz prosto tym śladem. Okres od 17 września 1939 roku do 22 czerwca 1941 roku to okupacja połowy zagrabionej przez Stalina Polski. To okres zmasowanych deportacji, przede wszystkim elity narodu polskiego. Wojna z Niemcami, która wybuchła 22.06.1941,

przyniosła zmianę okupanta. Przychodzi jednak znów rok 1944. Tym razem w rękach Stalina znajdzie się cała Polska.

Stalin ma już za sobą konferencję w Teheranie i Jałcie i perfidnie zerwane stosunki z rządem generała Władysława Sikorskiego. Zmierzał konsekwentnie do podporządkowania sobie narodu polskiego, a także innych narodów położonych w Europie Środkowej — łącznie z Jugosławią.

Następuje kolejny okres porywania i deportacji Polaków w głąb Związku Sowieckiego. W trakcie realizacji tego przestępczego zamysłu nie może być pominięta Armia Krajowa — zbrojne ramię budzącej się do życia Rzeczypospolitej. Następny etap to proces szesnastu z generałem Leopoldem Okulickim na czele. Ich również aresztowano podstępnie.

Przypomnieć w tym miejscu należy o przeprowadzonej w latach trzydziestych akcji masowych wywózek z przygranicznych rejonów Białorusi i Ukrainy zamieszkałych tam od wieków setek tysięcy Polaków (400 tys.) do Komi ASSR i Kazachstanu. Rzuceni w najcięższe warunki prymitywnego bytowania, bez polskiej szkoły, religii i języka, skazani zostali na stopniowe wynarodowienie, a liczni na niechybną śmierć. Los wielu innych Polaków zamieszkujących rejony Kamieńca Podolskiego, Żytomierza, Berdyczowa, Mińska, Orszy, Witebska, Leszewa, Homla i innych miejscowości Ukrainy i Białorusi był bardziej tragiczny. Świadczą o tym dziś odkrywane zbiorowe groby w Kuropatach, nad rzeką syberyjską Ob, w rejonie Nowosybirska i wielu innych, jeszcze nie znanych miejscach.

Wreszcie straszliwa zbrodnia w Katyniu. Wystarczy teraz zebrać wszystkie te fakty, by się niechybnie przekonać, że jest to konsekwentnie realizowany plan likwidacji państwa polskiego, które zostało nazwane „bękartem Wersalskiego Traktatu". To państwo o najstarszych tradycjach wolnościowych w Europie Środkowej od wieków było przeszkodą na drodze jeszcze carskiego imperializmu, zmierzającego do wyjścia nad Bałtyk i nad Adriatyk.

Powróćmy do sprawy generała „Wilka". Polak, gorliwy patriota, dobry żołnierz. Spełniał do końca swój żołnierski obowiązek względem Ojczyzny — oddał w kazamatach swe życie. Cześć Jego pamięci!

Armia Krajowa spełniła swój żołnierski obowiązek z honorem. My, żyjący jeszcze akowcy, mamy jedno tylko zadanie do wypełnienia. Uczyńmy wszystko, co w naszej mocy, aby wszyscy przebywający jeszcze w Związku Sowieckim wywiezieni z kraju Polacy powrócili do Ojczyzny, a ci, co już tam się zadomowili, mieli nieskrępowany dostęp do kościołów, do szkół polskich oraz polskich zrzeszeń i stowarzyszeń kulturalnych!

WYKAZ

oficerów, podoficerów i żołnierzy oddziałów SZP, ZWZ i AK Dzielnicy B Wilno-Śródmieście oraz żołnierzy tej formacji przydzielonych później do innych oddziałów konspiracyjnych i partyzanckich, a także wcielonych do jednostek Wojska Polskiego — poległych, rozstrzelanych, pomordowanych lub zmarłych w więzieniach, łagrach i miejscach katorgi

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
1.	Ancewicz Borys	—	st. strzel.	1 bat.	VII.44	Wilno
2.	Bakowicz Andrzej	—	strzel.	—	—	—
3.	Bakowicz Władysław	—	—	—	—	—
4.	Bałachowicz Zdzisław	„Zdrój"	ppor.	6 bat.	—	p. Wilnem
5.	Bałachowicz	—	kpr. pchor.	Nowogródek	—	—
6.	Bancerewicz Włodzimierz	„Włodek"	—	3 bryg.	—	—
7.	Baniuk Władysław	„Turmont"	—	—	—	Workuta
8.	Bazerewski Stanisław	„Barabasz"	por.	Kampinos	IX.44	Jaktorow
9.	Bezpalczew Józef	„Sokół"	pchor.	SZP	18.IX.39	Wilno
10.	Bobiatyński Władysław	—	płk	ofic. szt.	1943	Cherburg
11.	Borysewicz	—	mjr	—	V.42	Ponary
12.	Budzyński Andrzej	—	—	—	VII.44	Wilno
13.	Brancewicz Józef	—	strzel.	Starachowice	1943	Starachowice
14.	Brodowicz	—	pchor.	Dziel. B	—	rozstrz. Nowogród
15.	Bryłak	—	strzel.	—	VII.44	Wilno
16.	Brzezina Marian	„Maniek"	kpr. pchor.	—	VI.42	ZSRR
17.	Budźko Konstanty	—	—	—	—	—
18.	Budzyński Antoni	„Kmicic"	por.	bryg. „Kmicic"	VII.43	k. Wilna
19.	Cebrowski Jerzy	—	pchor.	Dziel. B	VI.42	Ponary rozstrz.
20.	Cikowski Stefan	—	strzel.	—	1948	Ural ZSRR
21.	Ciesielski Zbigniew	—	—	—	9.VII.44	Wilno
22.	Cwyrulis Kazimierz	—	—	sam. plut.	1944	k. Wilna

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
23.	Czaińska Maria	„Maryla"	—	Kedyw	—	—
24.	Czaiński	—	płk	ZWZ	—	ZSRR
25.	Czarnawski Stefan	—	pchor.	Dziel. B	12.V.42	Ponary rozstrz.
26.	Czerepowicz	—	kpr.	—	10.VII.44	Wilno
27.	Czuryło	—	strzel.	Dziel. B	1950	Tajszet ZSRR
28.	Dembowski	—	—	—	1944	k. Ejszyszek
29.	Deniusz Kazimierz Jan	„Wrona"	—	—	VII.44	Wilno
30.	Deniusz Władysław	„Czarny"	—	—	—	ZSRR
31.	Dowiat Olgierd	„Malarz"	strzel.	Dziel. B	1943	Ponary rozstrz.
32.	Dudziak Zbigniew	—	—	—	—	—
33.	Duszyński Józef	„Nałęcz"	rtm.	sam. oddz.	1945	Workuta
34.	Dworakowski Tadeusz	„Tadeusz"	strzel.	Dziel. B	VI.42	Ponary rozstrz.
35.	Dziedziak Zbigniew	—	—	3 bryg.	VI.44	k. Jaszun
36.	Dziwiszkiewicz Kiejstut	—	st. strzel.	—	1943	Ponary rozstrz.
37.	Fedor Antoni	„Sroka"	kpr.	Dziel. B	—	Kołdyczew
38.	Fronczek	—	—	—	—	Soły
39.	Fróg Gracjan	„Szczerbiec"	kpt.	3 bryg.	1951	Warszawa rozstrz.
40.	Hajdul Stanisław	—	strzel.	—	1948	Uchta ZSRR
41.	Garda Jerzy	—	pchor.	Dziel. B	1944	n. Niemnem
42.	Gasinis Piotr	„Bokser"	—	—	1943	Wilno
43.	Gawałkiewicz	—	pchor.	—	—	—
44.	Gigałło Stanisław	„Zamk"	ppor.	Dziel. B	7.VII.44	w. Wierszuliszki
45.	Gorczyński	—	strzel.	—	1943	Ponary rozstrz.
46.	Giebień Henryk	„Henryk"	—	—	16.VI.42	Bieniakonie
47.	Girżylis Witold	„Trocki"	strzel.	—	8.VII.44	Wilno
48.	Gorżałkówna	„Lusia"	sierż.	—	9.VII.44	—
49.	Górski Czesław	—	por.	komp. młodz.	1.V.42	Ponary rozstrz.

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
50.	Górski Zbigniew	—	—	—	1943	Niemcy
51.	Grzegorczyk	„Marian"	pchor.	—	—	—
52.	Hałaburda Kazimierz	„Nil"	por.	SZP	—	ZSRR
53.	Hajdamowicz Czesław	—	—	—	—	k. Sużan
54.	Hawryłkiewicz Władysław	„Henio"	—	—	1943	Wilno
55.	Herman Tadeusz	„Plus"	strzel.	Dziel. B	24.V.44	k. Szklar
56.	Hiller Jan	„Jasiek"	—	3 bryg.	7.VII.44	Kol .Wileńska
57.	Hołubowski Wincenty	—	—	Dziel. B	8.VII.44	Wilno
58.	Homulicki Marian	„Wiktor-2"	ppor.	—	10.VII.44	Łukiszki
59.	Inczyk Leon	„Ilon"	—	—	11.VII.44	Wilno
60.	Ks. Jaskólski	„Kordecki"	kapel.	5 bryg.	1944	—
61.	Juchniewicz Czesław	„Słowik"	—	—	VII.44	—
62.	Koenig Jerzy	„Zośka"	strzel.	1 bat. 77 pp	1943	—
63.	Kimont	—	pchor.	Obw. Kowno	I.45	Kowno
64.	Kossowski	„Stasia"	ppor.	1 bryg.	—	Wilno
65.	Krzyżanowski Bolesław	—	pchor.	Dziel. B	VII.43	Ponary rozstrz.
66.	Kościałkowski Sergiusz	„Fakir"	ppor.	Kedyw	I.45	k. Wilna
67.	Kulikowski Zbigniew	—	strzel.	Dziel. B	1943	Ponary rozstrz.
68.	Korab-Mackiewicz Jan Kazimierz	„Konrad"	kpr. pchor.	komp. młodz.	11.V.42	—
69.	Łapiński Jan	„Dariusz"	ppor.	Dziel. B	1943	—
70.	Mackiewicz Kamil	„Wilia"	kpt.	—	—	—
71.	Mazurkiewicz Emil	—	ppor.	—	1943	Ponary rozstrz.
72.	Mazurkiewicz Czesław	„Młot"	—	—	—	—
73.	Mirkowiczówna Maria	—	—	—	—	—
74.	Moderacki	—	pchor.	—	—	—
75.	Ostik-Kostrowicki	„Konopka"	—	Kedyw	1942	Kowno VII Fort.

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
76.	Owidzki Julian	—	plut. pchor.	—	1944	Wilno
77.	Pietrzykowski Józef	„Józef"	sierż.	—	—	—
78.	Perkowicz Ryszard	—	strzel.	komp. młodz.	11.V.42	Ponary rozstrz.
79.	Pepigisówna	—	strzel.	—	11.V.42	Ponary rozstrz.
80.	Pleśniak Józef	—	kpr.	—	1955	Inta ZSRR
81.	Romańczuk Edward	—	strzel.	—	1950	—
82.	Rutkowski Władysław	„War"	kpr.	—	12.VII.44	Wilno
83.	Rumiński	—	strzel.	komp. młodz.	11.V.42	Ponary rozstrz.
84.	Rzewski	—	pchor.	Dziel. B	—	Wilno
85.	Salski Wiktor	—	pchor.	—	VII.43	Ponary rozstrz.
86.	Soltan Lucjan	„Żniwiarz"	—	Dziel. B	31.I.51	Inta ZSRR
87.	Szot Jan	„Góral"	—	—	18.IX.39	Wilno
88.	Świątecki Witold	„Lwów"	—	—	9.VII.44	—
89.	Taurogiński Witold	—	plut. pchor.	Dziel. B	1945	—
90.	Tuchan-Boruchowska	„Janina"	—	—	1944	Wilno
91.	Turkowski	—	pchor.	Dziel. B	VI.44	—
92.	Wielhorska	—	strzel.	—	VII.44	Puszcza Rudn.
93.	Wiszniewski Władysław	—	kpr.	—	1943	Ponary rozstrz.
94.	Wiszniewski Franciszek	„Twardy"	ppor.	—	—	Anglia
95.	Zaborowski Daniel	—	pchor.	Dziel. B	11.V.42	Ponary rozstrz.
96.	Zaborowski Jerzy	—	ppor.	—	VII.43	—
97.	Zapaśnik Wiktor	—	pchor.	—	1943	k. Nowogr. rozstrz.
98.	Żaba Egon	—	—	Dziel. B	1942	Ponary rozstrz.
99.	NN	„Kos"	strzel.	—	18.IX.39	Wilno rozstrz.
100.	NN	„Błachowicz"	popr.	Dziel. B	—	—
101.	NN Marian	„Mścisław"	pchor.	—	—	—
102.	NN	„Józef"	—	Dziel. B	—	—

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
103.	NN	„Bel Ami"	strzel.	3 bryg.	—	Workuta
104.	NN	„Boryna"	st. strzel	Dziel. B	8.VII.44	Wilno Młynowa
105.	NN	„Jurek	strzel.	—	7.VII.44	—
106.	NN	„Burza"	—	—	—	Skopówka
107.	NN	„Cecora 2"	—	—	—	Młynowa
108.	NN	„Chmura"	—	3 bryg.	13.V.44	Mur. Oszmianka
109.	NN	„Czarny"	pchor.	Dziel. B	11.VII.42	Wilno
110.	NN	„Dotagała"	strzel.	—	7.VII.44	Wilno Młynowa
111.	NN	„Foka"	—	6 bryg.	1944	—
112.	NN	„Grom 2R"	rtm.	Dziel. B	—	ZSRR
113.	NN	„Grzegorz"	pchor.	Wachlarz	VII.42	k. Dźwińska
114.	NN	„Hanka"	strzel.	Dziel. B	1944	k. Wilna
115.	NN	„Hel"	—	6 bryg.	IX.43	k. Sużan
116.	NN	„Mścisław"	ppor.	Dziel. B	I.45	—
117.	NN	„Nat"	pchor.	—	—	—
118.	NN	„Orzeł"	plut. pchor.	Nowogródek	1942	Wilno
119.	NN	„Zagłoba"	strzel.	Dziel. B	1942	Ponary rozstrz.

Załączona tu lista jest niepełna. Uciążliwe prace nad jej uzupełnieniem są już daleko zaawansowane. Zebrane dotychczas materiały wskazują, że ogólna liczba przekroczy tysiąc ofiar. Po zakończeniu prac lista podana zostanie do wiadomości.

EPILOG

Utratę niepodległości w 1939 roku naród polski przeżył niezwykle głęboko. Dwadzieścia lat niepodległości wszak niełatwej, ale patrząc już na to z perspektywy czasu — jakże świetnej — wychowało wspaniałe, zjednoczone i gotowe do poświęceń dla Ojczyzny pokolenie. To młode pokolenie wzięło głównie na swoje barki ciężar tej walki. Fakt ten ma swoją wymowę i określa w sposób jednoznaczny zespół wartości, które pokolenie to wykreowały.

Ja się chyba nie rozminę z prawdą, jeżeli wysunę sugestię, że pierwszą w Wilnie grupę konspiracyjną zawiązała młodzież szkolna, mieszkająca w rejonie ulicy Kalwaryjskiej i Chocimskiej. Średni wiek tej młodzieży wynosił 13—14 lat. Na przełomie października-listopada niektórzy z nich zostali aresztowani i wywiezieni na wschód. Sąsiad mój z ulicy Chocimskiej stracił wtedy córkę i syna. Grupa młodzieży powołana została spontanicznie i bezimiennie. Gdybym nie wspomniał o niej, nikt by i nie wiedział, że to właśnie być może początek polskiej konspiracji w Wilnie.

Dziś patrzę na ten okres walki konspiracyjnej i oceniam już bez emocji jej przebieg oraz tragiczne dla Polski i naszego narodu zakończenie. Czy tak musiało być? Gdy świat cały cieszył się i wiwatował z okazji zakończenia wojny — żołnierze Armii Krajowej siedzieli za kratami sowieckich więzień, a wielu z nich już z wyrokami po 20 lat katorgi w dalekich syberyjskich łagrach. Bowiem układ w Jałcie był pogwałceniem elementarnych praw narodów i godności człowieka, a decyzje te obowiązują do dziś. Jałta usankcjonowała umowę sowiecko-niemiecką z 23 sierpnia 1939 roku.

Mogły więc losy Polski i wielu państw Europy ułożyć się inaczej, pomyślnie i sprawiedliwie. Armia Krajowa uchwał Jałty nie przyjęła, nigdy się z nimi nie pogodziła, choć zapłaciła za to cenę ogromną.

Spotykamy się w różnych publikacjach z opiniami, które niepowodzenia końcowe Armii Krajowej na Wileńszczyźnie przypisują niewłaściwej taktyce wojskowej ataku na Wilno w lipcu 1944 roku oraz pewnej naiwności i braku wyrobienia politycznego generała „Wilka".

Nic bardziej fałszywego i nieprawdziwego. Los AK na Wileńszczyźnie podzieliły wszystkie okręgi w całym kraju. Na terenach

dawnych kresów wschodnich zlikwidowane zostały przez stalinowskie NKWD, a pozostałe wspólnie przez NKWD i polskie UB.

Wydaje mi się, że sformułowane w ten sposób zarzuty są powierzchowne, niesłuszne i mijające się z prawdą. Były oczywiście znaczące niedociągnięcia organizacyjne, wojskowe, a nawet i polityczne. Szczególnie dziś widać je jak na dłoni. Jeżeli wspomnimy o nich, to tylko dlatego, że towarzyszą im istotne fakty, od których uciec się nie da.

Dokonanie zmiany na najwyższym szczeblu dowodzenia w Podokręgu Nowogródzkim tuż przed akcją „Ostra Brama" było błędem podwójnym: organizacyjno-psychologicznym i politycznym. Skutki tego kroku były aż nadto oczywiste i dotkliwe. Siła uderzeniowa Armii Krajowej obszaru wileńsko-nowogródzkiego w decydującym momencie zmalała w rezultacie o połowę, u wielu oficerów i żołnierzy posiane zostało rozczarowanie i wątpliwości.

Podobne skutki psychologiczne, choć w innej skali, miała przeprowadzona dosłownie w ostatniej chwili zmiana kpt. „Józefa" na rtm. „Groma 2R" w Dzielnicy B. Nie wywarło to wpływu na walki oddziałów tej Dzielnicy, bowiem dowodzili nimi świadomi celów dowódcy batalionów. Decyzje zwierzchników, działających przez zaskoczenie, zostały w gronie oficerów zdecydowanie potępione.

Zdań kilka może o samej operacji „Ostra Brama". Szykowaliśmy się do niej prawie pięć lat. Miała stanowić kulminacyjny moment kilkuletniego zmagania, stać się zwycięstwem — zadośćuczynieniem za poniesione cierpienia, ofiary, upokorzenia, śmierć wielu Polaków. Nie wyobrażam sobie, aby do operacji tej można było przystąpić bez dobrze opracowanego planu taktyczno-operacyjnego. Podobno był nawet taki plan.

Wyznaczony termin 8 lipca przyśpieszono o dobę. Atak się nie powiódł, zabrakło połowy sił. Okazał się za mało skuteczny wobec zwiększonych sił przeciwnika, nie zaskoczył Niemców, którzy więcej wiedzieli o nas, aniżeli my o nich.

Przyśpieszenie terminu wynikło z rozwoju sytuacji na froncie. Nasuwa się jednak logiczne i uzasadnione z punktu widzenia wojskowego pytanie: Czy bez pewności, że wszystkie oddziały zostaną o tym we właściwym czasie powiadomione, aby na czas określony zdążyć, i bez żadnych informacji z terenu, a szczególnie po dokonanych zmianach personalnych w Podokręgu Nowogródzkim — przyśpieszenie terminu było pociągnięciem właściwym?

A jak sytuacja ta wyglądała z punktu widzenia dowódców oddziałów Garnizonu Miejskiego? Aczkolwiek ludzi swoich mieli w samym mieście, zbiórki w określonych planem miejscach przeprowadzić całkowicie nie byli w stanie. Bowiem koncentracja oddziałów Dzielnicy C i D odbywała się wieczorem 6 lipca w lewobrzeżnej

części miasta, która w tym właśnie czasie była zorganizowanym już rejonem obronnym korpusu niemieckiego, gotowego całkowicie do walki o Wilno (przy wysiedlonej już ludności cywilnej). Czy w tej sytuacji była możliwość koncentracji oddziałów? W strefie obrony niemieckiej znajdowało się także kilka naszych tajnych magazynów broni, której pobranie okazało się również niemożliwe, jak przejście przez oba mosty na prawy brzeg Wilii.

Znów nie mogę nie postawić pytania: Dlaczego tak się stało? Dlaczego poszczególni dowódcy tych oddziałów nie wiedzieli dostatecznie wcześnie o wyznaczonych miejscach, aby podjąć z magazynów broń i znaleźć się w porę w odpowiednim miejscu?

Nie ich na pewno to wina, że stało się inaczej, zginęło niepotrzebnie 24 ludzi. A już jest rzeczą wręcz karygodną i świadczącą o niedostatecznej znajomości tematu, gdy gołosłownie się stwierdza, że w akcji brały udział wyłącznie oddziały Dzielnicy A, pomijając największą Dzielnicą B i marginesowo traktując pozostałe C i D.

Jeszcze jeden fakt, jakże jednak ważki i znamienny. Oto nowo mianowany komendant Okręgu Wileńskiego ppłk „Ludwik", szef sztabu ppłk dypl. „Ryngraf" oraz komendant garnizonu mjr „Skarbek", trzej najwyżsi dowódcy również znaleźli się po lewej stronie Wilii, odcięci od oddziałów, którymi mieli dowodzić, a uzyskanie od nich najbardziej nawet skąpych informacji wymagało wyczynów komandosów. Wybrane przez nich miejsce postoju znalazło się w samym środku paszczy lwa. Takiej sytuacji, uważam, nasz plan taktyczno-operacyjny nie mógł zakładać. Wynikał on z braku pełnego rozeznania zamierzeń wojskowych Niemców.

Czy można było przewidzieć, że Niemcy uczynią z Wilna warowny, silny węzeł obronny? Gdy w czerwcu 1944 roku chodziłem po ulicach Wilna i śledziłem pilnie poczynania Niemców w zakresie budowy zbrojonych, betonowych bunkrów w wielu punktach miasta, zadawałem sobie pytanie: pozorują tylko przygotowania do obrony miasta, czy postanowili twardo i skutecznie się bronić?

Rozbudowane szeroko betonowe punkty oporu przy ulicy Subocz, długi rząd bunkrów rozmieszczonych wzdłuż lewego brzegu Wilii na ulicy Zygmuntowskiej, dwa bunkry-twierdze u podnóża Gór Szeszkińskich i powyżej placu Broni oraz wysiedlanie mieszkańców z centrum miasta — mówiły bardzo wiele. Śmiem twierdzić, że Niemcy nie mieli żadnych powodów, aby cokolwiek tu pozorować. To my, nie wiem na jakiej podstawie, skłonni byliśmy wierzyć, że przyjdzie chwila, gdy Niemcy uciekać będą z Wilna w panice i popłochu. Nic podobnego nie nastąpiło. Mało tego, otoczeni ze wszystkich stron przez przeważające siły wojsk sowieckich, potrafili wyprowadzić z okrążenia znaczną część swych oddziałów i dołączyć do swoich, odległych stąd znacznie, walczących oddziałów.

Były to jednak tylko na mój jedynie użytek czynione obserwacje. Wiedziałem, że Komenda Okręgu rozporządza wydziałem wywiadu, który potrzebne sztabowi informacje zbierze i dostarczy.

Sprawa kolejna — to stosunek gen. „Wilka" do armii sowieckiej i jego z jej dowództwem prowadzone pertraktacje. Padły w związku z tym pod jego adresem słowa surowej krytyki. Uczynił to między innymi i dr R. Korab-Żebryk w swej książce pt. „Operacja Wileńska AK". Sprowadzały się one głównie do trzech punktów:

1. Przeprowadził natarcie na Wilno w terenie otwartym, wariantem pozycyjnym stosowanym dla armii stałej. Nie skorzystał z wariantu przez zaskoczenie, partyzanckiego, od strony zachodniej, nie obsadzonej przez przeciwnika.
2. W pertraktacjach z dowódcami sowieckimi przejawił daleko idącą naiwność (z gen. I. Czerniachowskim).
3. Nie zdradzał w swoim postępowaniu cech dobrego polityka.

Nie można niepowodzeń polskiego natarcia dopatrywać się w tym, że zostało ono wyprowadzone z niewłaściwej strony. Jest to zarzut nieuzasadniony, świadczący o zupełnej nieznajomości realiów.

Kilkunastotysięczny korpus niemiecki rozporządzał kilkuset czołgami i wozami pancernymi. Wspaniale wyszkolony i jeszcze lepiej wyposażony żołnierz. Jak podają relacje, w odpowiedzi na zgłoszone w dniu 10 lipca sowieckie ultimatum o zaprzestnie walki — Niemcy odpowiedzieli ogniem z 200 luf. Dawało też jeszcze o sobie znać niemieckie lotnictwo.

Przez cztery dni natarcia znacznie liczniejszych sił sowieckich pancernych i wojsk zmechanizowanych poszczególne punkty oporu kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Tak było z dworcem kolejowym i gniazdami oporu u podnóża Góry Zamkowej.

Grupa płk. Tolsdorfa grasowała bezkarnie i nieuchwytnie od strony zachodniej — od dworca towarowego w Wilnie aż po odległy o 20 kilometrów Landwarów — mimo zdecydowanych ataków pancernych jednostek sowieckich, aby ją izolować i zniszczyć. Skutek był taki, że płk Tolsdorf wyznaczone mu zadanie wykonał, przesuwając się później na północ. Dołączyła do niego również jednostka gen. Stahela po opuszczeniu Wilna. Jeszcze 12 lipca duża niemiecka jednostka pancerna (ponad 100 czołgów), łącznie z piechotą w sile około 4 tysięcy żołnierzy usiłowała przedrzeć się z kotła uderzeniem na północ.

W świetle powyższego każda próba zastosowania takiego czy innego wariantu i możliwość osiągnięcia przez oddziały Armii Krajowej pomyślnego rozstrzygnięcia w dniu 7 lipca — jest raczej czysto teoretyczna.

Nie odpowiada również prawdzie, że strona zachodnia obrony niemieckiej w Wilnie miała lukę, przez którą można było wejść

niepostrzeżenie do miasta. Walcząc z kompanią młodzieżową na Zwierzyńcu, sam przekonałem się o tym, kiedy ponosiłem dotkliwe straty, brany w silny, zaporowy ogień, prowadzony z niemieckich stanowisk właśnie z Zakretu i z rejonu więzienia Łukiskiego. W szczelnej obronie niemieckiej wolnych do przejścia luk po prostu nie było.

Jak już wspomniałem, jednostka pancerna rozciągała stanowiska swoje aż do ulicy Zakretowej, która z kolei wraz z ulicami Wielka Pohulanka i Konarskiego obsadzona była artylerią, a ta nie mogła nie być osłaniana przez oddziały piechoty. Dojście do miasta od strony zachodniej mogło być brane pod uwagę tylko przez zalesiony Zakret, a ten był obstawiony przez Niemców. Na południe od niego — to już rejon stacji towarowej, też silnie obsadzony punkt obrony niemieckiej.

Gdy 13 lipca dokonywałem przemarszu z kompanią po linii most Zielony—Zakretowa, oglądałem na własne oczy opuszczone już co prawda stanowiska niemieckie od tej właśnie zachodniej strony miasta. Tyle miałbym uwag dotyczących sprawy „strategii" ujętych w punkcie pierwszym stawianego generałowi zarzutu.

Z zarzutem przejawianej w pertraktacjach naiwności należałoby się zgodzić. Fakty mówią same za siebie. Sytuacja od pierwszych dni lipca, w jakiej się gen. „Wilk" znalazł, była ciężka i nie do pozazdroszczenia. Odcięty od wskazówek z Londynu i Warszawy, naciskany przez zbliżającą się armię sowiecką działać musiał samodzielnie i na własne wyłącznie ryzyko. Był zmuszony szukać porozumienia z tą armią, ponieważ spotkania z nią nie mógł uniknąć. Alternatywy nie było. Zezwolenie na swobodną penetrację oddziałów AK przez sowieckich oficerów łącznikowych usprawiedliwienia jednak nie znajduje, bowiem tylko szpiegowskie rozeznanie sił AK było jego celem i zamiar ten nie mógł być rozumiany inaczej. Nie zorientował się również, że rozmawia nie z zapowiedzianym gen. I. Czerniachowskim, lecz podstawionym generałem NKWD. Tylko doświadczony łagiernik mógłby ewentualnie typowego „sledowatiela" po sposobie zadawania pytań i zachowania rozpoznać. Generał „Wilk" łagiernikiem wtedy jeszcze nie był.

Dwa momenty zwracają na siebie uwagę w tych pertraktacjach: gdy propozycja rozczłonkowania AK na małe oddziały i rozproszenia ich przez wcielanie do jednostek armii sowieckiej została przez gen. „Wilka" odrzucona — strona sowiecka, już bez najmniejszego oporu, przyjęła wszystkie warunki „Wilka", a nawet je poszerzyła, choć była w nich również wzmianka o jego lojalności w stosunku do rządu polskiego w Londynie.

To salto w podejściu do sprawy musiało zastanowić każdego. Propozycja pierwsza zmierzała do likwidacji Armii Krajowej. Gdy podstęp się nie udał — wyrażono zgodę na wszystkie warunki strony

polskiej, aby ją uśpić. Grę tę widzę jak na dłoni dopiero dziś, mając za sobą doświadczenia sowieckich łagrów.

Spójrzmy jednak na to wszystko inaczej. Powiedzmy, że z miejsca, już po pierwszym spotkaniu gen. „Wilk" zorientował się, do czego towarzysze czekiści zmierzają i czym to wszystko grozi. I co wtedy? Podjęcie otwartej walki nie wchodziło w rachubę z żadnego względu. Dekonspiracja i walka w podziemiu też nie rokowałaby żadnej perspektywy. Przebijać się między linią frontu? Łupaszka nawet tego dokonał. Skutek w tym przypadku byłby ten sam, znacznie większa byłaby tylko liczba ofiar. To samo NKWD, tylko operujące rękami UB.

Jakże wtedy należy spojrzeć na tę postawę generała „Wilka" i jak ją ocenić?

Przeszedłem dwa różne i w różnym czasie prowadzone śledztwa i dwanaście lat sowieckich łagrów o najcięższym reżymie. Szkoła to zapewne z piekła rodem, ale zebrane doświadczenia ogromne. Mógłbym być ekspertem od przeżyć za drutami i wymuszonej pokuty. Mam więc i swój pogląd na takie, jak ta, sprawy.

Cofnę się pamięcią do roku 1939. Rozbrojono i deportowano 250 tysięcy żołnierzy i oficerów. Powtarzam: 250 tysięcy! W tym również kilkunastu generałów. Oficerów kierowano prawie wszystkich na zatracenie. Czy stało się tak dlatego, że wszyscy oni byli w jakimś znaczeniu naiwni i nie byli dobrymi politykami?

Uniknąłem Katynia, ponieważ wyprowadzony zostałem szczęśliwie przez nie znaną mi dziewczynę z pociągu już w Kowlu. Siedemnastego lipca 1944 roku znów rozbrojono ponad 7 tysięcy żołnierzy i oficerów. Czy również stało się tak dlatego, że byli sami temu winni?

Mnie i tym razem udało się raz jeszcze zbiec już w drodze do obozu w Miednikach. A jaki los spotkał wszystkich, tych rozbrojonych i wywiezionych, i tych, którzy chwilowo aresztowania potrafili jakoś uniknąć? Los był podobny i zbliżony do losu nas wszystkich, ponieważ sedno sprawy: wygrać czy przegrać, dać się złapać czy nie — leżało gdzie indziej i było od nas zupełnie niezależne. Chyba, że ktoś zdecydował się wybrać drogę zdrajcy i poszedł na skrytą lub jawną współpracę. Kilku takich też znamy.

Rozstrzygnięcie wszystkich zdarzeń i losów ludzkich, o których mowa wyżej, zapadło 23 sierpnia 1939 roku w zakończonych w Moskwie, pomiędzy Ribbentropem i Mołotowem, tajnych układach. Zadecydowali o tym dwaj dyktatorzy Stalin i Hitler.

Idźmy teraz prosto tym śladem. Okres od 17 września 1939 roku do 22 czerwca 1941 roku to okupacja połowy zagrabionej przez Stalina Polski. To okres zmasowanych deportacji, przede wszystkim elity narodu polskiego. Wojna z Niemcami, która wybuchła 22.06.1941,

przyniosła zmianę okupanta. Przychodzi jednak znów rok 1944. Tym razem w rękach Stalina znajdzie się cała Polska.

Stalin ma już za sobą konferencję w Teheranie i Jałcie i perfidnie zerwane stosunki z rządem generała Władysława Sikorskiego. Zmierzał konsekwentnie do podporządkowania sobie narodu polskiego, a także innych narodów położonych w Europie Środkowej — łącznie z Jugosławią.

Następuje kolejny okres porywania i deportacji Polaków w głąb Związku Sowieckiego. W trakcie realizacji tego przestępczego zamysłu nie może być pominięta Armia Krajowa — zbrojne ramię budzącej się do życia Rzeczypospolitej. Następny etap to proces szesnastu z generałem Leopoldem Okulickim na czele. Ich również aresztowano podstępnie.

Przypomnieć w tym miejscu należy o przeprowadzonej w latach trzydziestych akcji masowych wywózek z przygranicznych rejonów Białorusi i Ukrainy zamieszkałych tam od wieków setek tysięcy Polaków (400 tys.) do Komi ASSR i Kazachstanu. Rzuceni w najcięższe warunki prymitywnego bytowania, bez polskiej szkoły, religii i języka, skazani zostali na stopniowe wynarodowienie, a liczni na niechybną śmierć. Los wielu innych Polaków zamieszkujących rejony Kamieńca Podolskiego, Żytomierza, Berdyczowa, Mińska, Orszy, Witebska, Leszewa, Homla i innych miejscowości Ukrainy i Białorusi był bardziej tragiczny. Świadczą o tym dziś odkrywane zbiorowe groby w Kuropatach, nad rzeką syberyjską Ob, w rejonie Nowosybirska i wielu innych, jeszcze nie znanych miejscach.

Wreszcie straszliwa zbrodnia w Katyniu. Wystarczy teraz zebrać wszystkie te fakty, by się niechybnie przekonać, że jest to konsekwentnie realizowany plan likwidacji państwa polskiego, które zostało nazwane „bękartem Wersalskiego Traktatu". To państwo o najstarszych tradycjach wolnościowych w Europie Środkowej od wieków było przeszkodą na drodze jeszcze carskiego imperializmu, zmierzającego do wyjścia nad Bałtyk i nad Adriatyk.

Powróćmy do sprawy generała „Wilka". Polak, gorliwy patriota, dobry żołnierz. Spełniał do końca swój żołnierski obowiązek względem Ojczyzny — oddał w kazamatach swe życie. Cześć Jego pamięci!

Armia Krajowa spełniła swój żołnierski obowiązek z honorem. My, żyjący jeszcze akowcy, mamy jedno tylko zadanie do wypełnienia. Uczyńmy wszystko, co w naszej mocy, aby wszyscy przebywający jeszcze w Związku Sowieckim wywiezieni z kraju Polacy powrócili do Ojczyzny, a ci, co już tam się zadomowili, mieli nieskrępowany dostęp do kościołów, do szkół polskich oraz polskich zrzeszeń i stowarzyszeń kulturalnych!

WYKAZ

oficerów, podoficerów i żołnierzy oddziałów SZP, ZWZ i AK Dzielnicy B Wilno-Śródmieście oraz żołnierzy tej formacji przydzielonych później do innych oddziałów konspiracyjnych i partyzanckich, a także wcielonych do jednostek Wojska Polskiego — poległych, rozstrzelanych, pomordowanych lub zmarłych w więzieniach, łagrach i miejscach katorgi

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
1.	Ancewicz Borys	—	st. strzel.	1 bat.	VII.44	Wilno
2.	Bakowicz Andrzej	—	strzel.	—	—	—
3.	Bakowicz Władysław	—	—	—	—	—
4.	Bałachowicz Zdzisław	„Zdrój"	ppor.	6 bat.	—	p. Wilnem
5.	Bałachowicz	—	kpr. pchor.	Nowogródek	—	—
6.	Bancerewicz Włodzimierz	„Włodek"	—	3 bryg.	—	—
7.	Baniuk Władysław	„Turmont"	—	—	—	Workuta
8.	Bazerewski Stanisław	„Barabasz"	por.	Kampinos	IX.44	Jaktorow
9.	Bezpalczew Józef	„Sokół"	pchor.	SZP	18.IX.39	Wilno
10.	Bobiatyński Władysław	—	płk	ofic. szt.	1943	Cherburg
11.	Borysewicz	—	mjr	—	V.42	Ponary
12.	Budzyński Andrzej	—	—	—	VII.44	Wilno
13.	Bzancewicz Józef	—	strzel.	Starachowice	1943	Starachowice
14.	Brodowicz	—	pchor.	Dziel. B	—	rozstrz. Nowogród
15.	Bryłak	—	strzel.	—	VII.44	Wilno
16.	Brzezina Marian	„Maniek"	kpr. pchor.	—	VI.42	ZSRR
17.	Budźko Konstanty	—	—	—	—	—
18.	Budzyński Antoni	„Kmicic"	por.	bryg. „Kmicic"	VII.43	k. Wilna
19.	Cebrowski Jerzy	—	pchor.	Dziel. B	VI.42	Ponary rozstrz
20.	Cikowski Stefan	—	strzel.	—	1948	Ural ZSRR
21.	Ciesielski Zbigniew	—	—	—	9.VII.44	Wilno
22.	Cwyrulis Kazimierz	—	—	sam. plut.	1944	k. Wilna

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
23.	Czaińska Maria	„Maryla"	—	Kedyw	—	—
24.	Czaiński	—	płk	ZWZ	—	ZSRR
25.	Czarnawski Stefan	—	pchor.	Dziel. B	12.V.42	Ponary rozstrz.
26.	Czerepowicz	—	kpr.	—	10.VII.44	Wilno
27.	Czuryło	—	strzel.	Dziel. B	1950	Tajszet ZSRR
28.	Dembowski	—	—	—	1944	k. Ejszyszek
29.	Deniusz Kazimierz Jan	„Wrona"	—	—	VII.44	Wilno
30.	Deniusz Władysław	„Czarny"	—	—	—	ZSRR
31.	Dowiat Olgierd	„Malarz"	strzel.	Dziel. B	1943	Ponary rozstrz.
32.	Dudziak Zbigniew	—	—	—	—	—
33.	Duszyński Józef	„Nałęcz"	rtm.	sam. oddz.	1945	Workuta
34.	Dworakowski Tadeusz	„Tadeusz"	strzel.	Dziel. B	VI.42	Ponary rozstrz.
35.	Dziedziak Zbigniew	—	—	3 bryg.	VI.44	k. Jaszun
36.	Dziwiszkiewicz Kiejstut	—	st. strzel.	—	1943	Ponary rozstrz.
37.	Fedor Antoni	„Sroka"	kpr.	Dziel. B	—	Kołdyczew
38.	Fronczek	—	—	—	—	Soły
39.	Fróg Gracjan	„Szczerbiec"	kpt.	3 bryg.	1951	Warszawa rozstrz.
40.	Hajdul Stanisław	—	strzel.	—	1948	Uchta ZSRR
41.	Garda Jerzy	—	pchor.	Dziel. B	1944	n. Niemnem
42.	Gasinis Piotr	„Bokser"	—	—	1943	Wilno
43.	Gawałkiewicz	—	pchor.	—	—	—
44.	Gigałło Stanisław	„Zamk"	ppor.	Dziel. B	7.VII.44	w. Wierszuliszki
45.	Gorczyński	—	strzel.	—	1943	Ponary rozstrz.
46.	Giebień Henryk	„Henryk"	—	—	16.VI.42	Bieniakonie
47.	Girżylis Witold	„Trocki"	strzel.	—	8.VII.44	Wilno
48.	Gorżałkówna	„Lusia"	sierż.	—	9.VII.44	—
49.	Górski Czesław	—	por.	komp. młodz.	1.V.42	Ponary rozstrz.

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
50.	Górski Zbigniew	—	—	—	1943	Niemcy
51.	Grzegorczyk	„Marian"	pchor.	—	—	—
52.	Hałaburda Kazimierz	„Nil"	por.	SZP	—	ZSRR
53.	Hajdamowicz Czesław	—	—	—	—	k. Sużan
54.	Hawryłkiewicz Władysław	„Henio"	—	—	1943	Wilno
55.	Herman Tadeusz	„Plus"	strzel.	Dziel. B	24.V.44	k. Szklar
56.	Hiller Jan	„Jasiek"	—	3 bryg.	7.VII.44	Kol .Wileńska
57.	Hołubowski Wincenty	—	—	Dziel. B	8.VII.44	Wilno
58.	Homulicki Marian	„Wiktor-2"	ppor.	—	10.VII.44	Łukiszki
59.	Inczyk Leon	„Ilon"	—	—	11.VII.44	Wilno
60.	Ks. Jaskólski	„Kordecki"	kapel.	5 bryg.	1944	—
61.	Juchniewicz Czesław	„Słowik"	—	—	VII.44	—
62.	Koenig Jerzy	„Zośka"	strzel.	1 bat. 77 pp	1943	—
63.	Kimont	—	pchor.	Obw. Kowno	I.45	Kowno
64.	Kossowski	„Stasia"	ppor.	1 bryg.	—	Wilno
65.	Krzyżanowski Bolesław	—	pchor.	Dziel. B	VII.43	Ponary rozstrz.
66.	Kościałkowski Sergiusz	„Fakir"	ppor.	Kedyw	I.45	k. Wilna
67.	Kulikowski Zbigniew	—	strzel.	Dziel. B	1943	Ponary rozstrz.
68.	Korab-Mackiewicz Jan Kazimierz	„Konrad"	kpr. pchor.	komp. młodz.	11.V.42	—
69.	Łapiński Jan	„Dariusz"	ppor.	Dziel. B	1943	—
70.	Mackiewicz Kamil	„Wilia"	kpt.	—	—	—
71.	Mazurkiewicz Emil	—	ppor.	—	1943	Ponary rozstrz.
72.	Mazurkiewicz Czesław	„Młot"	—	—	—	—
73.	Mirkowiczówna Maria	—	—	—	—	—
74.	Moderacki	—	pchor.	—	—	—
75.	Ostik-Kostrowicki	„Konopka"	—	Kedyw	1942	Kowno VII Fort.

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
76.	Owidzki Julian	—	plut. pchor.	—	1944	Wilno
77.	Pietrzykowski Józef	„Józef"	sierż.	—	—	—
78.	Perkowicz Ryszard	—	strzel.	komp. młodz.	11.V.42	Ponary rozstrz.
79.	Pepigisówna	—	strzel.	—	11.V.42	Ponary rozstrz.
80.	Pleśniak Józef	—	kpr.	—	1955	Inta ZSRR
81.	Romańczuk Edward	—	strzel.	—	1950	—
82.	Rutkowski Władysław	„War"	kpr.	—	12.VII.44	Wilno
83.	Rumiński	—	strzel.	komp. młodz.	11.V.42	Ponary rozstrz.
84.	Rzewski	—	pchor.	Dziel. B	—	Wilno
85.	Salski Wiktor	—	pchor.	—	VII.43	Ponary rozstrz.
86.	Soltan Lucjan	„Żniwiarz"	—	Dziel. B	31.I.51	Inta ZSRR
87.	Szot Jan	„Góral"	—	—	18.IX.39	Wilno
88.	Świątecki Witold	„Lwów"	—	—	9.VII.44	—
89.	Taurogiński Witold	—	plut. pchor.	Dziel. B	1945	—
90.	Tuchan-Boruchowska	„Janina"	—	—	1944	Wilno
91.	Turkowski	—	pchor.	Dziel. B	VI.44	—
92.	Wielhorska	—	strzel.	—	VII.44	Puszcza Rudn.
93.	Wiszniewski Władysław	—	kpr.	—	1943	Ponary rozstrz.
94.	Wiszniewski Franciszek	„Twardy"	ppor.	—	—	Anglia
95.	Zaborowski Daniel	—	pchor.	Dziel. B	11.V.42	Ponary rozstrz.
96.	Zaborowski Jerzy	—	ppor.	—	VII.43	—
97.	Zapaśnik Wiktor	—	pchor.	—	1943	k. Nowogr. rozstrz.
98.	Żaba Egon	—	—	Dziel. B	1942	Ponary rozstrz.
99.	NN	„Kos"	strzel.	—	18.IX.39	Wilno rozstrz.
100.	NN	„Błachowicz"	popr.	Dziel. B	—	—
101.	NN Marian	„Mścisław"	pchor.	—	—	—
102.	NN	„Józef"	—	Dziel. B	—	—

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Stopień wojsk.	Formacja ostat.	Kiedy poległ	Gdzie poległ
103.	NN	„Bel Ami"	strzel.	3 bryg.	—	Workuta
104.	NN	„Boryna"	st. strzel	Dziel. B	8.VII.44	Wilno Młynowa
105.	NN	„Jurek	strzel.	—	7.VII.44	—
106.	NN	„Burza"	—	—	—	Skopówka
107.	NN	„Cecora ?"	—	—	—	Młynowa
108.	NN	„Chmura"	—	3 bryg.	13.V.44	Mur. Oszmianka
109.	NN	„Czarny"	pchor.	Dziel. B	11.VII.42	Wilno
110.	NN	„Dotagała"	strzel.	—	7.VII.44	Wilno Młynowa
111.	NN	„Foka"	—	6 bryg.	1944	—
112.	NN	„Grom 2R"	rtm.	Dziel. B	—	ZSRR
113.	NN	„Grzegorz"	pchor.	Wachlarz	VII.42	k. Dźwińska
114.	NN	„Hanka"	strzel.	Dziel. B	1944	k. Wilna
115.	NN	„Hel"	—	6 bryg.	IX.43	k. Sużan
116.	NN	„Mścisław"	ppor.	Dziel. B	I.45	—
117.	NN	„Nat"	pchor.	—	—	—
118.	NN	„Orzeł"	plut. pchor.	Nowogródek	1942	Wilno
119.	NN	„Zagłoba"	strzel.	Dziel. B	1942	Ponary rozstrz.

Załączona tu lista jest niepełna. Uciążliwe prace nad jej uzupełnieniem są już daleko zaawansowane. Zebrane dotychczas materiały wskazują, że ogólna liczba przekroczy tysiąc ofiar. Po zakończeniu prac lista podana zostanie do wiadomości.

Prowadzona po upływie 45 lat ewidencja napotyka ze zrozumiałych względów wiele obiektywnych trudności. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że zaistnieć mogą drobne nieścisłości, za co z góry przepraszam Czytelników. Za wszelkie dodatkowe na ten temat informacje będę szczerze wdzięczny.

Historia zrywu pokolenia przedwojennego do walki o niepodległą Polskę, dzięki usilnym zabiegom polskich i sowieckich komunistów, została całkowicie zakłamana. Musimy to teraz naprawić.

Odkrywa się coraz to nowe miejsca masowych zbrodni, popełnionych przez NKWD w Związku Sowieckim a ich wiernych uczniów w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, w tym również i w naszym kraju. Każdy naród ma prawo i musi znać prawdę o swojej przeszłości. Matki, żony i dzieci pomordowanych patriotów polskich muszą wiedzieć, gdzie są groby ich bliskich.

Naród, który nie zna swojej historii, przestaje być narodem. Ludzie, którzy ją zakłamują i przemilczają — są jakby jawnymi popełnianego przestępstwa współuczestnikami.

WYKAZ

oficerów i żołnierzy Armii Krajowej — więźniów przebywających w łagrze przy kopalni nr 1 „Kapitalnaja", zorganizowanym w 1948 roku w Workucie pod nazwą „RECZ-ŁAG"

Lp.	Nazwisko i imię	Dane personalne	Miejsce zamieszkania
1.	Anikij Ksawery	s. Stanisł. ur. 1897 lub 5	
2.	Asimowicz Leon		Kwidzyń, Kościuszki
3.	Autochiewicz Witold	s. Ksawerego, ur. 1924	Sopot, Bitwy pod Płowcami 41/2
4.	Bauer Aleksander	ps. „Wal"	W-wa, Wiosenna 3/114
5.	Bautrukiewicz Gabriel		Nowe Tychy, Al. Paźdz 88/35
6.	Bąkowski Tadeusz		
7.	Blinstrub Longin	ps. „Lech", por. s. Juliana	W-wa, Włościańska 10a/22
8.	Bołtuć Kazimierz	zm. 197...	Olsztyn, pow. Pasłęk, pocz. Zębrowice
9.	Borysiewicz Władysław	s. Adama nr. 1920	Gorzów Wlkp., Gwardii Ludowej
10.	Brucki Anatol	s. Aleksego ur. 1915	Komi ASSR Workuta. Stacionnaja 13/3
11.	Chmielowicz Grzegorz	s. Juliana	Gliwice, Król. Jadwigi 10/5
12.	Chodorowski Jan		
13.	Ciałowski	inżynier	Moskwa
14.	Cichoń Tadeusz		
15.	Cis Kazimierz	s. Jana, ur. 1919 ps. „Halny"	W-wa, Korotyńskiego 4/24
16.	Czernel		
17.	Diergawka Stan.	s. Bronisława, ur. 1930 zm. w Workucie	
18.	Dobczyński Stan.		
19.	Dobrzyński Jerzy	lekarz med. ps. „Maciej"	W-wa, Tęczowa 12/3
20.	Domaszewicz Zygmunt	z Baranowicz pow. Brześć	
21.	Egert Eugeniusz	s. Franciszka ur. 1924	
22.	Gajek Zbigniew	s. Teofila ur. 1927	
23.	Głuszkiewicz Stanisław		Tatowice 16 Janów, Stawowa 5
24.	Grzywacz Bernard	inż. ps. „Marek" ppor.	Wrocław, Jelenia 46/9
25.	Harganin Edward	s. Jana, ur. 1922	

Lp.	Nazwisko i imię	Dane personalne	Miejsce zamieszkania
26.	Jagoda Wiktor	s. Bronisł. ur. 1915 d-ca 2 komp. 3 bryg. „Szczerbca" zm. 17.11. 1971	
27.	Jakubów	z Kołomyi	
28.	Jakusik Józef		Szczecin, Bałtycka 14/2
29.	Janoś	z Sambora	
30.	Jandulski		ZSRR
31.	Jeżowski Władysław		
32.	Jakucewicz Waldemar	s. Jana, ur. 1932	
33.	Jóźwiak Henryk		Gdańsk, Angielska 7c/1[illegible]
34.	Jurewicz Władysław	s. Kazimierza, ur. 1909	
35.	Karpowicz Józef	s. Andrzeja, ur. 1908	
36.	Karpowicz Władysław	zm. 1972	Żagań, Żelazna 35/7
37.	Karpiński Tadeusz	mjr zaw. lek. dent. z armii gen. Andersa, wyrok 10 lat, po odbyciu wyr. powt. 10 lat (OSO)	Bydgoszcz, Sułkowskiego 23/7 nast. USA
38.	Kiezik Bolesław		
39.	Klimontowicz		
40.	Kociński Antoni		
41.	Kokociński Antoni	ps. „Julian" Bar	W-wa, Nowolipki 4/6
42.	Kosiński Henryk	ps. „Goryl" zm. 15.2.79	Nowa Huta, Szklane Domy 1/93
43.	Kotlarek Konstanty		w. Jerzmionki poczta Ogorzeliny
44.	Kozioł Stanisław		Bytom, Piekarska 5
45.	Kozicz Piotr	s. Aleksandra, ur. 1922	
46.	Kożuchowski Lech	(obecnie Barcz)	W-wa, pl. Konstytucji 5/54b
47.	Krystojć Aleksander		
48.	Kulim Wojciech	ps. „Przytulski" zm. 17.2.86	W-wa, Cilarskiego 35/2
49.	Kuca Jan		
50.	Kurcewicz Bronisław	s. Antoniego, ur. 1921 w Kętrzynie	
51.	Kurcewicz Jan		
52.	Kuszejt Zygmunt	z Borysławia lub z Drohobycza	

Lp.	Nazwisko i imię	Dane personalne	Miejsce zamieszkania
53.	Kiwłon Kazimierz		
54.	Krunun Piotr	s. Alfonsa, ur. 1917	
55.	Kondek Stanisław	s. Aleksandra, ur. 1929	
56.	Kozłowski Wład.		
57.	Leniec Aleksander	s. Jana, ur. 1908	
58.	Leśniak Adolf	ur. 25.4.1912, ps. „Twardy", zmarł 4.11.1964	Rzeszów, Gw. Ludowej 2/18
56.	Kozlowski Władysław		
60.	Luśkiewicz Julian	s. Juliana, ur. 1922	Chorzów, Staszyca 50/4
61.	Lisowski-Jankowski Henryk	zm. 5.6.53 w Workucie	
62.	Lubochoński		
63.	Łyszczyk Wiktor	s. Józefa, ur. 1927	
64.	Maciejewski Stefan		Kalisz, Targowa 3/5
65.	Majewski Marian		Bytom, Głowackiego 6a/19
66.	Małygin Aleksander		Poznań, Grottgera 10/9
67.	Markowski		
68.	Maszkowski	z Żytomierza	Wałbrzych, Nowy Glinnik, Górna 8/12
69.	Mańkowski		
70.	Mieński Władysław		Zabrze, Chełmińskiego 18/8
71.	Mierzanieg Piotr	s. Izydora, ur. 191[illegible] zm. 1964	Legnica, Obr. Stalingradu 9a
72.	Miodowski Stefan		Zabrze, Pytki 8a
73.	Nowik Bolesław	(w łagrze Borsuk)	Konin, Weteranów 12
74.	Ochociński	z Kołomyi	
75.	Peszyński Antoni	s. Józefa, ur. 1925	
76.	Nikonowicz Leon	s. Mikołaja, ur. 1926	Koszalin, pocz. Dubrowo, PGR Boćkówka
77.	Pietkiewicz Igor	inż. mech.	W-wa, Wiatraczna
78.	Pietkiewicz Wincenty		Katowice, Gliwicka 75/9a
79.	Pietryk Teodor	inż. mech. zm. w Wilnie w 1961	
80.	Pięciorak Ludwik	zm. w 1957 w Workucie	
81.	Pilczuk Józef	s. Rafała, ur. 1907 Łódź	
82.	Piotrowski Władysław	z Łotwy	
83.	Plech Gabriel	s. Antoniego, ur. 1926	Starachowice, Staszyca 17/13

Lp.	Nazwisko i imię	Dane personalne	Miejsce zamieszkania
84.	Pras Karol	ur. 1910	Gliwice, Nowotki 13
85.	Prokopowicz Stan.	zm. 1977	Gorzów Wlkp.
86.	Prus Władysław	ur. 8.5.1922 w Siemianówce, zm. 26.10.1987	Przemków, Karpińskiego 11
87.	Pryszmont Bolesław	s. Winc. ur. 1925 zm. 1979	
88.	Puczyński Antoni	s. Alfonsa, ur. 1925	Gdańsk, Karłowicza 29a/3
89.	Pietkiewicz Piotr	inż. bud. zm 1984	Częstochowa, Berlickiego
90.	Radnik		
91.	Reginis Bolesław		
92.	Rajewski Wacław		
93.	Rauba Józef		
94.	Romaniejko		
95.	Roszkowski Wład.	ps. „Biały", por. Dziel. A	Sopot, Puławskiego 30/3
96.	Rymaszewski Anatol	ps. „Andrzej" por. Kedyw	W-wa, Salezego 6/149
97.	Sakowicz Waldemar		Brzeźnica woj. pilskie
98.	Segiet Janusz Maria		Częstochowa, Tuchowskiego 5/9
99.	Sienkiewicz Jan		Ząbrowice k. Pasłęka
100.	Sitnik Franciszek	ur. 27.10.1914 ps. „Stanisław", „Orland", kpr. pchor., zm.	Piekary Śl.
101.	Sobaczewski Walenty		Łódź, Gdańska 29/26
102.	Stablewski Feliks		
103.	Stefanowicz		
104.	Surowiec Antoni	z Wilna	Rzeszów, Waryńskiego 19/3
105.	Szarkin Stanisław	s. Józefa, ur. 1915	
106.	Sznajder Józef	ur. Tarnopol 16.3.23 ps. „Bandaż" plut. pchor.	Kędzierzyn
107.	Szwaj Józef	s. Piotra	
108.	Światłowicz Stanisław	zm. 15.1.1983	Bydgoszcz, Żmudzka 5a/42
109.	Świetlikowski Paweł	s. Rudolfa, ps. „Jerzy" inż. górn., por. d-ca 2 bat. Dziel. B ur. 2.1.15	62-081 Przeźmierowo, Polna 7
110.	Tatarzycki Michał	pchor.	86-300 Toruń, Bema 16a/7
111.	Tejwan Leon	ps. „Ogniwo" por. d-ca 3 Rejonu Dziel. B	W-wa, Środkowa 6/2
112.	Ungurian Aleksander	zm. 1980	W-wa, Krasińskiego 20/101

Lp.	Nazwisko i imię	Dane personalne	Miejsce zamieszkania
113.	Wasilewski Czesław	ps. „Czech", sierż. d-ca plut. 7 komp. 3 bat. Dziel. B	Olsztyn, Lubelska 4/2
114.	Wąsowicz Bolesław	s. Konstantego, ur. 1915	Choszczno, Kościuszki 7
115.	Wąsowicz	zm. 1948 w Workucie brat Bolesława	
116.	Weber Edmund	technik mech.	Konin, Al. 1 Maja 18/28
117.	Wiktor Julian	inż., syn dyr. DOKP Lwów, ps. „Adam" zgin. trag. 1953 w Workucie	
118.	Wilkiel Mieczysław		Wałbrzych, Krzywoustego 4
119.	Wiżys Edward	s. Weroniki, ur. 1913	Łódź, Wapienna 14/8
120.	Waszkiewicz Piotr		
121.	Wojciechowski Józef		Legnica, Asnyka 17/9a
122.	Wróblewski Ignacy	z Kamieńca Podolskiego	
123.	Wyszyński Michał		Kłodzko, Okrzei 26/5/7
124.	Zaduszko Antoni	s. Józefa, ur. 1909	Siniec, pocz. Solanka
125.	Zacharko Andrzej		Żary k. Żagania
126.	Zarzycki Olgierd	ps. „Orkan", zm. 1989	W-wa, Lwa Tołstoja 1/7
127.	Zarzycki Władysław	mjr zaw. d-ca Dziel. B	Grójec k. W-wy, Piotra Skargi 13a/1
128.	Zdaniukiewicz Czesław		Wałcz, Kaszubska 5/6
129.	Zdaniukiewicz	brat Czesława	
130.	Załuga Mieczysław		Szczecin, Zw. Inw. Woj.
131.	Żujewski		Mińsk
132.	Zwinogrodzki Józef	por. „Turkuć" d-ca bat. 77 pp Nowogródek	W-wa, Sokolicz 5/9
133.	Żebryk Bolesław	s. Jana, ur. 1922, ps. „Turkus", Zgrup. Nadniemeńskie	
134.	Żuk Franciszek	zm. 1950 w Workucie	

BIBLIOGRAFIA

Andrys Zygmunt — Relacja pisemna
Blinstrub Longin — Relacje pisemne
Ciesielska Danuta — Relacje pisemne
Cis Kazimierz — Relacje pisemne
Chodyko Stefan — Relacje pisemne
Dąbrowska Krystyna — Relacje pisemne
Dziarmaga-Działyński Józef — Relacje pisemne
Erdman Jan — Osierocone natarcie. Zeszyty Historyczne, Paryż 1980
Jachimowicz Mieczysław — Relacja ustna
Kafarska Józefa — Relacja pisemna o pracy sztabu gen. „Wilka"
Kiałka Stanisław — Relacje pisemne
Konarzewska Wiesława — Relacje pisemne
Korab-Żebryk Roman — Operacja Wileńska AK, Warszawa 1985
Kulikowski Julian — Relacja pisemna — Bitwa o Wilno — kryptonim „Ostra Brama" 6—7.VII. 1944 — 14.VII.1944 r.
Lewkowicz Edmund — Relacja pisemna
Pasierbska Helena — Historia Ponarskiego Lasu
Rymaszewski Anatol — Relacja ustna
Sajdak Zygmunt — Opracowanie wspomnieniowe
Slaski Jerzy — Polska Walcząca 1939—1945, Warszawa 1986
Świetlikowski Antoni — Relacje pisemne
Szantyrówna Stenia — Relacja pisemna
Sznajder Józef — Relacja pisemna — Wykaz katorżan w obozie „Kapitalnaja" i Wykaz ofic. i żołn. poległych i pomordowanych

INDEKS NAZWISK I PSEUDONIMÓW

„Abisynka" 121, 122, 126
Adamowicz Tadeusz „Tadek" 27, 29, 85
„Ala" 42, 121, 125
Andruszkiewicz Jerzy „Jurek" 86
Andruszkiewicz Zygmunt 70
Andrys Zygmunt „Wyrwa" 27, 117
Arcimowiczówna Halina „Linda" 42, 121, 122

Banasikowski Edmund „Jeż" 35, 40
Bartoszewicz Irek 126
Baryń Wiesław „Wiesiek" 87
Barandyn Józef 93
„Basia" 42
Bednarczuk Lech 76
Bekisz Paweł „Wiłkomierz" 93
Bergas 123
Bergienie 120, 123
Bielokur Michał „Lach" 39
Bielicka Hanka 67
Bień Henryk „Grad" 87
Bierut Bolesław 15
Blinstrub Longin „Lech", „Loś" 10, 18, 47, 52, 65, 70, 72, 76, 80, 82, 84, 85, 87, 103, 107, 111, 116, 117, 130, 133
Bojko „Mały" 27, 29, 77, 117
Bohożyński Władysław „Władek" 85
Borowski Henryk 18, 35, 131
Boryczka Adam „Tońko", „Brona", „Broniewski", „Pług" 90
Brodzikowski Zbigniew „Rańcza" 40
Brand Olgierd 16
Brewiński 29
Broniewicz „Zebra" 86
Budkiewicz Michał „Maks", „Sokół" 65, 68, 85
Bujwid Piotr „Piotr" 29, 85
Burak Władysław „Gajewski" 40
Burzyński Antoni „Kmicic" 61
Burzyński „Bury" 29, 85, 77
Budkiewicz Wiesława 68, 69
Budkiewicz Maryla 68
Budkiewicz Sława 68

Cejko Wanda 133
Cetnarowski Zygmunt 26
Cetys Teodor „Sław", „Wiking" 36, 37, 129, 131
Chodyko Stefan „Grunwald" 85, 104
Chodziński Leon 80
Chrząszczewski Wicenty „Kruk" 40
Ciechanowicz Witold „Żaba" 39
Ciesielska Danuta „Ślepowron" 76, 103, 113, 114, 120, 121
Cieleń Tadeusz „Wydra" 87
Cis Kazimierz „Halny" 9, 11, 18, 28, 29, 33, 65, 67, 75, 76, 84, 133
„Cyganka" 41, 121
Chmaj Ldwik „Czeng" 70
Chudyba Tadeusz 100
Czaporo Jerzy „Wiesław" 47
„Czarna" 122
Czepulis 120
Czernik Stefan „Orwit" 37
Czerniachowski Iwan 103, 129, 131

Dąbrowski Władysław „Wojno" 83
Dąbrowski „Kryś" 38
Dąbrowska Krystyna „Zbyszek" 42, 43, 113, 121, 123
Dębicki Czesław „Jarema", „Chudy" 26, 40
Dmochowski Jan „Zaręba" 93
Dobrzyński Wacław „Łuk" 88
Dobrzański Jerzy „Maciej", „Irwit" 25, 37, 70
Dowgiałło 16
Drozdowicz Jan „Trubadur" 39
Dukalska Wanda 65, 67
Duszyński Józef „Nałęcz" 87

Duszyński Jerzy 67
Dziarmaga-Działyński Zygmunt „Józef" 38, 65, 74, 84, 85, 93
„Dziunia" 42, 121
Dziewulska Aniela „Krystyna" 83

Falkowski Czesław 94
Fedorowicz Zygmunt „Albin", „Józef", „Maria" 37, 84, 100
Fippówna Irena „Niemen" 88
„Fornal" 117
Fróg Gracjan „Szczerbiec" 49, 87

Gajewski Zenon 40
Galiński Adam 25
Gałądyka Janusz 25
Gapik Edward „Roland" 39
Gigałło Stanisław „Zamk" 85, 104
Giedrojć Konstanty 105
Ginko Tadeusz „Doktor Jan" 39
Głazek Emil 16
Głębocki Mieczysław „Cecylia" 37
„Głowacki" 104
Godecki Marian 16
Gogoliński Wiktor 93
„Góral" 75
Góra Jerzy „Stanisław" 100
Grabowski Aleksander 93
Gramza Bolesław „Legnica" 91
Grodzicka „Jadzia" 121, 122
Grodzicki Jan 16
„Grom 2R" 106, 107, 111, 116, 120, 121, 130
Grzesiak Józef „Kmita", „Czarny" 84, 105
Gulbinowicz Henryk „Zagłoba" 85, 90, 117

Harkawa 67
Heilman Kazimierz „Tomasz" 37
Hiller Stanisław 18
Hlebowicz Henryk „Słowik" 92
Hołówko Witold 126
Homulicki-Stypułkiewicz Marian „Wiktor II" 76, 77, 82, 85, 103, 107, 111, 112, 114
Hrynkiewicz Michał „Michał" 29, 86, 103, 114, 120
„Hubert" 77
Hurynow Janina „Docent" 88

Iwo-Jaworski 19
„Irena" 42, 121
Iwanowski Lech „Lancet" 76, 88, 131

Jachimowicz Mieczysław „Czarski" 112, 117
„Jaga" 121, 122
Jagoda Wiktor „Brzoza" 105
Jałbrzykowski Romuald 91, 92, 95
„Janek" 117
Jan „Jerzy" 120
Jankowski Kazimierz 76
„Janusz" 87
„Jaskółka" 42, 121
Jaskólski Bolesław „Kordecki" 93
„Jarząbek" 26
„Jasia" 121
„Jasna" 105, 120
Jeremienko Wojciech 126
„Jola" 42, 121
„Józef" 85
Jugnikiel Tadeusz „Sawan" 85
Justyniak 109

Kacperski Bohdan „Danek" 86
Kamiński Jan 39
Kamiński Władysław „Śliwa" 25, 26
Kanigowski Zygmunt „Ordynator" 86, 88
Kasprzycki Jan „Jos" 87
„Kazik" 85
Kiałka Stanisław „Bolesław", „Jelonek", „Szarotka" 70, 89, 94, 104
Kieda Edward „Witold" 11, 13, 18, 27, 76, 88
Kisiel Władysław „Wiąz" 92
Kitowski „Kitek" 85, 105
Klepacz Michał 94
Kliks Czesław „Lucjan" 29, 30, 31, 76, 86
Kochanowski Feliks 94
Kokociński Antoni „Julian", „Tulipan" 26, 37, 70
Konar Władysław 90
Konarzewski Grzegorz „Orlik", „Konar" 68, 69, 85, 90
Kondratowicz Mieczysław „Miecz" 18, 29, 86
Konopko Czesław „Czesław" 45, 86
Kopciówna Halina 100
Kopalko Zbigniew 67
Koplewski Leon „Skarbek" 38, 83
Koprowski Franciszek „Konar" 49, 90
Korab-Żebryk Roman „Korab" 38, 113, 137
Korzeniowski Wacław „Andrzej" 38, 83, 103

Kosiński Henryk „Goryl" 27, 50, 57, 110, 117, 133
Kosmowski „Starża" 90
Kostrowicki Daniel 26
Kowalewicz Leonid „Boy" 100
Kowzon Tadeusz „Żuk" 18, 27, 29, 82, 85, 103, 117
Kozłowski Jan „Jan" 39
Kozierowski „Jur" 105
Krzyżanowski Aleksander „Wilk" 25, 34, 36, 37, 49, 63, 82, 103, 129, 131
Kubilunas 24
Kucharski Kazimierz „Szymon" 25, 26, 92
Kuczkówna Maryla 48
Kulikowski Zbigniew 100
Kulikowski Julian „Ryngraf", „Witold", „Drohomirski" 37, 83, 84
Kwakszys „Kowal" 40

Lachowicz Aleksander „Leszczyna" 84, 85, 93
„Lech" 106
Lenartowicz Józef „Majski" 105, 120
Lenartowicz Maria „Grażyna" 105, 120
Lenkowska-Jacynowska 93
Lewandowski „Tokarczuk" 38
Lewkowicz Edmund „Kalina" 27, 50, 110, 112, 113, 117
Liniarski Władysław „Mścisław" 95
Lipski Jan „Stefan" 85
„Lis" 117
„Lubart" 87
Lulewicz Antoni „Podkowa" 85

Ładysz Bernard 65
Łapiński Adam 48
Łapiński Jan „Dariusz" 87
Łaukajtis 26, 27
Łowkiedraj Antoni 105
Łowmiański Henryk 67
Łoziński Jerzy „Jerzy" 30, 32, 33, 34, 35, 36, 46, 89, 131
Łoziński Leon 36
Łucznik Bolesław „Sław" 105
Łuczyński Stanisław „Laska" 39
„Łukasz" 27, 117

Mackiewicz Kazimierz „Kondrat" 100
Mackiewicz Kazimierz „Kamień", „Wilia" 86
MacKaerney „Kirkor" 86, 87
Maculewicz 16
Maksimowiczówna Żenia 18
Maliszewski Wiktor 16
Marciszewski „Achilles" 40
Manochin 58, 63
Markiewicz Jan 65, 66
Markow Fiodor 57, 59, 61, 63, 64
Matuszczak Mieczysław 76
May Stanisław 40
Mazurowski 16
Mazurkiewicz Czesław „Trzon", „Młot" 87
Mieczkowski Tadeusz „Bończa" 76
Młodecka Maria „Czarna" 121
„Młynek" 105
Mikulski Zenon 16
Milwid 35
Mirska Marta 65, 66
Mokrzycki Włodzimierz 105
Morchowski Marian 70
Morelowski Marian 18, 67
Mościcki Aleksander 94, 95
„Mucha" 41, 43, 44, 86, 116, 121
„Myszka" 42, 83, 121

Nagrabiecki Jan „Wandal" 25, 67, 86
Naumik Mikołaj 87
Norska Anna „Hanka" 42, 114, 121, 133
„Nowicki" 105

Obiezierski Mieczysław 16
Obtułowicz Adam „Leon" 25, 26
Ochocki Stanisław „Argus" 37
Olechnowicz Antoni „Pohorecki" 35, 38
Ostrowski Franciszek „Franek" 27
Owczarek Jan „Owczarek" 38, 83, 104

Paleckis Justas 19
Päts 19
Petrulewicz Edward 35
Pereświet-Sołtan Lucjan „Żniwiarz" 85, 92, 133
Piasecki Bolesław „Sablewski" 74
Piekarski Roman „Żubr" 87, 88
Piekarski Zdzisław 88
Pietkiewicz Wacław „Mocny" 29, 38, 83, 103, 115, 118, 119
Pietkiewicz Piotr 29
Pietraszun Antoni „Kotek" 85
Pietraszewski Kazimierz „Kondrat" 38

Pilecki Giedymin „Długosz" 91
Piłsudski Kazimierz 16
Piłsudski Jan 16
Plater Stanisław „Wisling" 39
Pleśniak Józef 133
Plechaviczius 71
Poniatowska Halina 65
Potocki Mieczysław „Węgielny" 39, 70, 78
Prażmowski 88
Preisser Józef „Protazy" 39
Pyrtek Stanisław „Olszyna" 92
Pupiałło 123

Radzikowski Kazimierz „Dąbek" 37, 47, 75
Rakowski Józef 16
Rasztikis Stasis 71
Rokicki Wincenty „Boruta" 84, 85
Roszkowski Władysław „Biały" 38, 83, 103
Rowecki Stefan „Grot" 24
Rudnicki Tadeusz „Wierzba" 26
Rutkiewicz Regina „Pola" 121
Rutkowska Regina „Wira" 41, 42, 126, 133
Rymaszewski Anatol „Andrzej" 10, 18, 21, 47, 59, 65, 68, 74, 76, 84, 85, 90, 133
„Ryszard" 85, 106, 108
Rynkiewicz Piotr „Piotr", „Aleks" 37, 39, 91

Sadora płk 84
Sakowicz Kazimierz 99
Sakowicz Mieczysław „Rakieta" 27, 50, 57, 108, 110, 112, 113, 117
Saulewiczówna Anastazja 100
Sasinowski Mikołaj 95
Sawicka Wiktoria 33, 46
Sawicki Adam „Stempel" 91, 92
Sawicki Jan „Dorek" 85
Sawicki Teodor „Otto" 84
Sawicz Wacław „Emil" 38
Sedler Michał „Miś" 86
Siczek Piotr 93
Siedlecki Michał „Gil" 39
Siekiewiczówna Halina 65
Sikorski Władysław 12, 24, 51, 71, 93
Skórko Antoni „Róg" 47, 52, 82, 84, 86, 104, 107, 110
Skrzecz Stanisław „Poleski" 38
Skarżanka Barbara „Ewa" 67, 83, 108
Słonina Paweł „Piotr" 86, 90
Słonina Janusz „Piotr" 49
Smela Jan „Janusz", „Szary" 39
Sosnkowski Kazimierz 24, 26
Sobolewski Henryk 76
Staniewicz Witold 70
Stahel 115, 117, 122
Stawiej Stefan „Otto" 37
Steckiewicz Czesław „Ryszard" 112
Strzelecki Edward „Strzelec" 29, 79, 97
Subortowicz Władysław „Hanusz" 35
Suchodolski Zygmunt 65, 66
Sulik Nikodem „Jodko", „Jemioła" 25, 26
Susłow 58
Sukiennicki 132
Suszyński Władysław 94
Suwała Mieczysław „Oro" 93
Sylwanowski Marian „Doktor Jan" 39
„Szach" 50, 57
Szantyrówna Stenia „Hania" 42, 76, 124, 133
Szczaniawski Szczepan 70
Szendzielorz Zygmunt „Łupaszka" 62, 63, 70
Szered Julian „Jul" 86
Szołkiewicz Michał „Żubr" 93
Szyszko Rysiek „Zielonka" 125
Śląski Piotr „Laska" 93
Śleszyński Jan „Jan" 38, 52, 74, 77
Świechowski Stefan „Sulima" 39
Świerzewski Witold 15, 37
Świerczyński Marian „Bajka" 86, 133
Święcicki Andrzej „Frycz" 76
Świerski Ignacy 94
Świrkowski Romuald „Romulus" 26, 92, 100
Świetlikowski Paweł „Jerzy" 13, 18, 27, 47, 50, 52, 65, 82, 84, 85, 86, 103, 107, 115, 122
Świetlikowski Antoni „Włodzimierz" 13, 27, 50, 88, 103, 108, 114, 116, 117

Tarasiewicz Eugeniusz 40
Tarasiewicz Julian „Puchacz" 93
Taurogiński Edward „Dryja" 87
Terlecka Janina „Zanetta" 78, 79
Tejwan Leon „Ogniwo" 38, 133
Tomaszewski Aleksander „Al" 106
Tomkiewicz Antoni 84, 85
Topor-Wąsowski „Nowicki" 39

Trojanowski Ferdynand „Danuta" 65, 66
Trocki senior 73
Trocki syn 79
Trompakajtis Piotr „Leszek" 85, 90
Turonek Witold „Tur" 40

Ugniewski Stefan 94
Ulmanis 19
Urbankiewicz Jerzy 76
Urbanowicz Halina 76
Urbanowicz Antoni „Toniek" 45, 49, 86
Urbanowicz Jan „Ryszard" 38
Urbanowicz Józef „Wiarus" 85, 87

Walczak Adam „Nietoperz" 40
Walicki Wacław „Poręba" 38
Wasilewski Aleksnader „Olesiński" 38, 84
Wasilewski Czesław „Czech" 86, 133
Wądołowski 120
Wąsowicz Stanisław „Słowianin" 38, 83, 103, 106, 111
Weber Zofia 94
Wichert-Kajrukształisowa 67
Wiesław „Kujot" 126
Willner Piotr „Mazur" 87
Wiśniewski Adolf „Rola" 40
Wieczorek 87
„Wita" 105
Wojnicka Janina 84
Wojtukiewicz Józef „Wojciech" 18, 77, 94
Wolańska Halina „Halusza" 18, 52, 55, 79
Wołkowski Stanisław „Sęk" 39
Wróblewski Piotr 100

Zagórny Bolesław „Jan" 38, 83, 102
Zambrzycki Zbigniew „Zbyszek" 67, 85
Zapaśnik Wiktor „Wiktor I" 87
Zarzycki Władysław „Rojan" 38, 51, 52, 72, 76, 82, 84, 101, 106, 133
„Zawisza" 86
„Zdankiewicz" 87
Zdanowicz Wacław 107
Zieliński Karol „Brzoza" 26
Zon Władysław „Dąb" 85
Zwierz Józef „Jeż" 85
Zwierzyński Aleksander 25, 37
„Żagiel" 117
Żelaniec Danuta „Pola" 42, 121
Żelichowski Lucjan „Kamień" 85
Żelichowski Zygmunt „Mirosław" 86, 110
„Żuczek" 42, 121
„Żubr" 86
„Żuk" 27
Żywicki Jan „Świerk" 85, 92

SPIS TREŚCI

Przedmowa 5
Wstęp 7

Narodziny konspiracji 10
Życie codzienne 13
Ciąg dalszy konspiracji 16
Dyktator ujawnia karty 19
Konspiracja na Wileńszczyźnie podczas okupacji niemieckiej . 24
Armia Krajowa 36
Partyzantka sowiecka 57
Nie tylko w konspiracji 64
Główna „Kwatera" Dzielnicy B 67
Hoduciszki 69
Powrót do Wilna 80
Schemat Organizacyjny Garnizonu Miejskiego Okr. Wil. AK (stan na 1.07.1944 roku) 82
Brygada „Błyskawica" 90
Kościół katolicki a Armia Krajowa 91
Ludność Wileńszczyzny 96
Las Ponarski 98
Kryptonim „Ostra Brama" 101
Zdradziecka koncentracja 127

Epilog 134

Wykaz oficerów i żołnierzy AK Dzielnicy B poległych, pomordowanych lub zmarłych w miejscach katorgi . . . 141
Wykaz oficerów i żołnierzy Armii Krajowej — więźniów spec. łagru nr 1 w Workucie 149
Indeks nazwisk i pseudonimów 155

ISBN 83-7015-201-5

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA — POZNAŃ 1991

Wydanie I. Nakład 5000+200 egz. Ark. wyd. 10, ark. druk. 10+0,25 il.
Oddano do składania w maju 1990 r. Druk ukończono w maju 1991 r.

Zakład Poligraficzny Księgarni Św. Wojciecha
Poznań, ul. Jedności Słowiańskiej 5